

Chciwość budzi uśpiony koszmar...

powieść grozy

PODZIEMNE MIASTO



ŁUKASZ HENEL

VIDEOGRAF

Redakcja:

Anna Seweryn-Sakiewicz Projekt okładki:

Pracownia WV

Na okładce wykorzystano: © *Potapov Alexander / shutterstock*

Redakcja techniczna, skład i łamanie: *Damian Walasek* Opracowanie
wersji elektronicznej: *Grzegorz Bociek* Korekta:

Urszula Bańcerek Wydanie I, Chorzów 2015

Wydawca:

Wydawnictwa Videograf SA 41-500 Chorzów, Aleja Harcerska 3c tel. 32-
348-31-33, 32-348-31-35

fax 32-348-31-25

office@videograf.pl *www.videograf.pl* Dystrybucja:

DICTUM Sp. z o.o.

01-942 Warszawa, ul. Kabaretowa 21

tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12

dystribucja@dictum.pl *www.dictum.pl* Tekst © Łukasz Henel

© Copyright by Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2014

ISBN 978-83-7835-394-2

1.

Za oknami powoli zapada już zmierzch. Gasnące czerwonawe światło zamierającego dnia barwi szyby okien, które na chwilę przybierają odcień płomieni. Wokół panuje niczym niezmacona cisza starego domu. We wpadających do pokoju pojedynczych snopach światła dostrzec można wirujące bezszelestnie drobinki kurzu. Wszystko zdaje się znużone całodziennym upałem. Ptaki zamilkły w oczekiwaniu na zbliżającą się noc. Wraz z nią nadciągnie wiatr, budząc las z ospałej drzemki. Rozlegną się szelesty, skrzypienie starych drzew, ciche stukanie gałązek uderzających o spadzisty dach. Mieszkaniec domu jest do tego przyzwyczajony. A jednak od niedawna coś się zmieniło. Może właśnie dlatego, że tak świetnie zna szelest liści i trzeszczenie pni okolicznych dębów, jest w stanie posłyszeć to, co dla kogoś postronnego byłoby nieuchwytnie. Wyczuwa również, że coraz więcej dźwięków przeznaczonych jest dla jego uszu i nawet cisza ma w sobie coś zwodniczego.

Staszewski ma już przeszło osiemdziesiątkę i w swoim domku zamieszkuje od prawie trzydziestu lat. Budynek był niegdyś częścią niewielkiego, poniemieckiego osiedla, z niejasnych przyczyn znanego pod nazwą Martwego Ogrodu. Pozostałe domy opuszczono jeszcze zanim zawitał tu major i od tamtego czasu popadły one w całkowitą ruinę. Być może dlatego, że wszystkie inne, oprócz tego, w którym zamieszkał były żołnierz, w znacznej części wykonano z drewna. Obecnie pozostały z nich podmurówki i resztki ścian, pochłonięte w dużej mierze przez bujną roślinność. Fundamenty zarosła wybujała trawa i pokrzywy. Śnieg załamał dachy, które całkowicie pozapadały się do środka, a wiosenne nawałnice już dawno powybijały szyby. Można odnieść wrażenie, że w tym pozornie naturalnym dziele zniszczenia kryje się jakaś chęć zatarcia wszystkich tajemnic, które skrywa przeszłość. Nikt nie wie, co stało się z mieszkańcami domów, nikt o tym nie rozmawia, przynajmniej nie otwarcie. Przecież tuż po wojnie osiedlały się tu całe rodziny. Ludzie wiedzą więcej, niż się wydaje, ale milczą, i to jest właśnie najbardziej niepokojące. Muszą przecież coś pamiętać, przynajmniej ci najstarsi. Są to jednak zamierzchłe sprawy, o których lepiej nie myśleć. Być może niektórzy z nich miewają koszmary, wspomnienia powracają w snach, o tej szczególnej porze, kiedy noc ma się już ku końcowi, lecz nadal panuje jeszcze ciemność. Ludzki umysł jest wtedy bowiem najbardziej bezbronny i jednocześnie wyczulony na echa dawnych

zdarzeń. Skoro świt zrywają się jednak gwałtownie, przemywają szybko twarz lodowatą wodą i ruszają do pracy. Byle szybciej, brać się do roboty, zająć się czymkolwiek, pogrzebać dawne upiory pod warstwą zapomnienia.

Jeśli od domu majora iść przez kilkaset metrów, można dotrzeć do Kęszycy. Korony drzew uwiły nad leśną dróżką coś na kształt baldachimu, przypominającego sklepienie gotyckiej świątyni, przez które tu i ówdzie w słoneczne dni prześwitują długie snopy światła, rzucające na ścieżkę rozliczne cienie. Wczesnym rankiem często wypełza tam mgła znad mokradeł, a nocą zalega nieprzenikniona ciemność. Obecnie w wielu miejscach gałęzie krzewów opadły pod ciężarem deszczy i trzeba rozgarniać je rękoma, by móc iść dalej. W ten sposób dociera się do niewielkiego skupiska domów, położonego w pobliżu jeziora. Znajduje się tam stary kościół z 1728 roku, do którego w 1886 dobudowano neogotycką wieżę. Patrząc na niego, nawet za dnia, można poczuć się nieswojo. Jest w nim jakiś przytłaczający ciężar, jakby rodzaj nieruchomej groźby, ma w sobie coś z tych ponurych świątyń, które być może jako pierwsze powstawały na polskich ziemiach, kiedy jeszcze starzy bogowie współzawodniczyli z nowym o panowanie nad ludzkimi sercami.

Dalej, od wioski Kęszycy rozpoczyna się kamienista droga, która prowadzi poprzez stare lasy aż do Kęszycy Leśnej. Dzisiaj już mało kto pamięta, że w istocie jest to Baza Dżdżownic, Regenwurmlager, należąca niegdyś do Wehrmachtu. Jej budowa rozpoczęła się w 1927 roku, a uroczyste otwarcie nastąpiło w 1936, w obecności samego wodza Trzeciej Rzeszy, Adolfa Hitlera. Ludzie opowiadają, że nazwa pochodzi od dżdżownicy ryjącej niestrudzenie podziemne korytarze. Mówi się także, że dżdżownice są nieśmiertelne, i nawet przecięte na pół odradzają się i żyją dalej. Trudno zgadnąć, jaką aluzję kryje w sobie to porównanie. Po roku 1945 baza stała się Gródkiem i przeszła w ręce polskiego wojska aż do roku 1956, a mówiąc ściśle, do wiosny 1957, wiosny gwałtownych burz, w przenośni i dosłownie, kiedy to wszystko się zaczęło.

Wraz z zapadnięciem nocy staruszek rozpocznie swój codzienny obchód. Jeszcze raz starannie sprawdzi drzwi. Domkanie też wszystkie okna, z wyjątkiem tego na niskim piętterku, przy którym nawykł czuwać i nasłuchiwać, trzymając w pogotowiu starą, lecz dającą wiele światła wojskową latarkę. Zadziwiające, jak wiele można tu zobaczyć i usłyszeć. Nie sposób później zasnąć, gdy ucho raz pochwyciło te mrozące krew w żyłach

dźwięki. Strzeże więc domu, nocne warty weszły mu w krew. Nadal, choć przekroczył już osiemdziesiątkę, w głębi duszy pozostał żołnierzem. Żołnierzem Wojska Polskiego.

Teraz siada przy wiekowym biurku. Niebawem zapadnie zmierzch, trzeba będzie zapalić lampę. Na razie jest jeszcze na tyle widno, by dało się pisać bez pomocy elektrycznego światła. Trzeba się spieszyć. Dlaczego zabrał się za to aż tak późno? Czyżby sądził, że będzie żył wiecznie? Chyba każdemu z nas w gruncie rzeczy tak się wydaje. Czas jednak nie czeka, lecz przesypuje się między palcami niczym piasek. Nie wolno pozwolić, by czas zwyciężył. By śmierć nadeszła zbyt szybko. Ludzie powinni się o wszystkim dowiedzieć. To nie lenistwo jednak sprawiło, że zabrał się do pracy dopiero teraz, lecz strach. Byłoby błędem uznać, że major należy do ludzi bojaźliwych. Są jednak tajemnice przeszłości tak mroczne, że mówiąc o nich lub pisząc, zawsze ściągamy na siebie wielkie niebezpieczeństwo. Są rzeczy, o których nie wolno rozmawiać z nikim. Nawet z sąsiadami, przyjaciółmi, czy rodziną. Papier pod tym względem może okazać się pewniejszy. Należy zanotować wszystko w nadziei, że po śmierci zapiski jakimś sposobem trafią do odpowiedniej osoby. Jest to nadzieja rozbitka, zamykającego w butelce prośbę o pomoc i rzucającego ją na wzburzone fale bezkresnego oceanu. A jednak major uważa, że należy spróbować, że jest to jego ostatnim, a zarazem najważniejszym obowiązkiem.

Stróżujący przed domem stary pies Alek zrywa się gwałtownie, podzwaniając łańcuchem. Musiał coś posłyszeć, może jakieś zwierzę skrada się gdzieś pośród zarośli.

Poprzedniego dnia major zbudził się w środku nocy i ostrożnie podszedł do okna. Stara podłoga skrzypiała, uginając się pod naciskiem jego stóp. Wyglądający zza postrzępionych chmur księżyc w pełni oświetlał las bladym światłem, rzucając tysiące długich, czarnych cieni. Noc przesycona była zapachem żywicy i deszczu, gdzieś w oddali rozlegały się basowe pomruki przyczajonej burzy. Pośród rzędów drzew ktoś stał, tego jest niemal pewien, bo pies zaczął wyc, a potem umknął do budy. Coś obserwowało jego dom, mimo że od tamtych zdarzeń upłynęło tak wiele lat. „Być może wszystko powraca, może ktoś zrobił coś, czego nie powinien” - przemknęło mu przez myśl.

Przechodzące często nad okolicą wichury z wściekłością szarpia

koronami potężnych drzew, a te z kolei zahaczają o linie energetyczne. Powalone drzewa potrafią nieraz na kilka dni pozbawić Kęszycę światła. Dlatego major zawsze trzyma w pogotowiu swoją latarkę. Gdy dostrzegł ten cień, miał ją w ręce, lecz jej nie zapalił. Mógł skierować snop światła w gęstwinę, tam, gdzie nieopodal martwego, strzaskanego przez piorun dębu dostrzegł ów kształt. Nie uczynił tego jednak, ponieważ w pewien sposób przeczuwał, a może nawet wiedział, co lub kogo mógłby tam ujrzeć.

Czy to możliwe, by ktoś obawiał się tego, co zamierza zrobić? Może ktoś domyśla się, że mógłby spróbować wszystko opisać? Ale to niedorzeczne. Ten, kto znałby sprawę, powinien wiedzieć, że i tak niewielu ludzi potraktowałoby jego opowieść poważnie. Może więc istnieje jakaś inna przyczyna tego wyczuwalnego niepokoju, jaki zdaje się spowijać dom w ostatnich dniach. Tej niezwyklej gęstości powietrza, która sprawia, że ramiona pokrywają się gęsią skórą nawet w ciepłe dni. Nie można wykluczyć, że to Ona coś wyczuwa. Może przecież bardzo wiele i niekoniecznie musi jej się podobać to, co zamierza uczynić stary major. Trudno, trzeba będzie zaryzykować.

Nie jest wcale prawdą, że od 1957 roku nie zrobił w tej sprawie nic. Przed 1993 było to całkiem niemożliwe, z oczywistych powodów, które niebawem zrozumiecie. Jednak potem - w wolnej Polsce - gdy wyjechali ostatni radzieccy żołnierze, łudził się, że prawda wreszcie będzie mogła ujrzeć światło dzienne. Napisał wiele listów do dziennikarzy i redaktorów pracujących w rozmaitych gazetach. Odpowiedzi jednak, o ile w ogóle się zdarzały, miały charakter kurtuazyjny i uprzejmie odmowny. „Z przyczyn od nas niezależnych nie możemy zająć się tą sprawą”. „Zaproponowany przez Pana temat nie wpisuje się w profil tematyczny naszej gazety”. „Choć wzmiankowana przez Pana sprawa wydaje się dość interesująca, to ma ona jedynie mitologiczny charakter i wydaje się sprzeczna z prawdą historyczną. Z tego względu z przykrością musimy odmówić zajęcia się opisywanymi przez Pana zdarzeniami”. Gdyby chcieć wyrazić sens tych słów nieco mniej kolokwialnie i bardziej dosadnie, można by ująć to w ten sposób: „Puknij się pan w głowę i daj ludziom spokój”. Na nic zdały się zapewnienia, że posiada twarde dowody. Zdjęcia, mapy, plany. Oryginalne i opatrzone wojskowymi pieczęciami. Nikt nie chciał potraktować go poważnie.

Ostatecznie zdecydował się udać do prokuratury. Przystępstwa wojenne nie ulegają przedawnieniu i być może na tej zasadzie udałoby się rozpocząć

jakieś śledztwo. Wskazałby miejsca, gdzie należy kopać. Był pewien, że coś by znaleziono. Mógłby także określić rejony, do których nie wolno nikogo dopuścić.

Młody prokurator w Międzyrzeczu potraktował go protekcyjnie. Był ubrany w schludny, idealnie skrojony garnitur. Włosy miał ostrzyżone modnie przez dobrego fryzjera. Na twarzy urzędnika malowała się uprzejmość przywodząca na myśl świeżo odremontowaną fasadę starego budynku. W skupieniu studiował wszystkie dokumenty, wertując je z cichym szelestem. Uważnie obejrzał pieczęcie, choć major był przekonany, że niewiele mu mówią. Zapewne kontakt tego młodego człowieka z historią ograniczał się do wyuczenia na pamięć obszernych fragmentów z podręczników i zaliczeniu na piątkę wymaganych egzaminów. Nic więcej. Zupełnie jak w micie o Dedalu i Ikarze - nie wolno wznosić się za wysoko. W tym przypadku słowo „wysoko” nie było może zbyt adekwatne, lecz oddawało w pewien sposób istotę sprawy, a przynajmniej major tak uważał. Jednak kiedy prokurator podniósł głowę znad dokumentów, major bystrym okiem dostrzegł na jego twarzy coś więcej niż obojętność lub powątpiewanie. Zobaczył źle maskowany strach.

- Sprawy, o których pan opowiada - rzekł wreszcie głuchym głosem urzędnik - nie nadają się do otwarcia jakiegokolwiek śledztwa. To, proszę wybaczyć, rodzaj nedorzecznej fikcji.

- Ale przecież pokazuję panu autentyczne plany podziemi i grup warownych, sporządzone przeze mnie szkice sytuacyjne. - Major Staszewski nie dawał się zbić z tropu.

- Autentyczność prezentowanych przez pana papierów jest trudna do oceny - odparł prokurator. - Być może powinien zająć się tym jakiś specjalista. Mnie te wykresy nic nie mówią.

- To nie są wykresy! To wojskowe szkice sytuacyjne i plany - uniósł się Staszewski. - Tam, w tych koszmarnych podziemiach ginęli ludzie. Istnieje ryzyko, że wszystko się powtórzy. Wejścia nie są dostatecznie zabezpieczone. Czas robi swoje. Ludzie nie zdają sobie sprawy, z jak wielkim zagrożeniem mamy do czynienia. Możliwe... że należałoby wzmocnić jeszcze środki ostrożności. Jest pan urzędnikiem. Może trzeba powiadomić wywiad. Ze mną nie będą chcieli rozmawiać, ale jeśli sygnał wypłynie od prokuratury, z pewnością zainteresują się tą sprawą i podejmą

jakieś kroki.

Starał się nie mówić wszystkiego. Wiedział, że pewne fragmenty historii wydają się (a może nawet są) zbyt nieprawdopodobne, by prokurator mógł w nią uwierzyć. Zależało mu jednak, by choć część ofiar doczekała się godnego pochówku i upamiętnienia. By strzeżono dzień i noc niektórych miejsc, aby nikt przenigdy się do nich nie zbliżył. Nie zdradziłby, a przynajmniej nie teraz, wszystkiego, co wie.

- Przykro mi - uciał urzędnik. - Sprawa może i byłaby interesująca dla jakiegoś historyka amatora lub łowcy duchów. Nie może być jednak mowy o wszczęciu w tej sprawie jakiegokolwiek poważnego dochodzenia. Radzę panu o tym zapomnieć. Tak po ludzku, szczerze. Mam nadzieję, że się rozumiemy.

Major rozumiał aż za dobrze. Wychodząc z gabinetu, dostrzegł kątem oka, jak prokurator niecierpliwym ruchem sięga po telefon. Gdy kroczył sprężystym mimo podeszłego wieku krokiem przez ulice Międzyrzecza, gwałtownie opadły go wątpliwości. Może rzeczywiście należało pozostawić przeszłość samej sobie. Minęła go grupka roześmianej młodzieży, w modnych ubraniach, które tak bardzo różniły się od tych, jakie nosiło się w czasach jego własnej młodości. Pojawiły się telefony komórkowe z dziesiątkami, jeśli nie setkami nowych funkcji, których przeznaczenie nie zawsze było dla niego zrozumiałe. Cienkie, kolorowe telewizory oraz aerodynamiczne, trudne w amatorskiej naprawie i naszpikowane sprzętem elektronicznym samochody. Internet, wynalazek, który pojawił się, patrząc z jego perspektywy, dość niedawno i nadal wydawał mu się jakimś abstrakcyjnym i tajemniczym tworem. W czasach majora wszystko zdawało się bardziej oczywiste i jednoznaczne. Wówczas sądził, że świat zawsze będzie tak wyglądał, a on zawsze będzie młody. Jednak czas go oszukał. Świat pognał naprzód, zostawiając majora na bocznym torze. Technika poszła do przodu. Wszędzie znajdowały się automaty, których obsługi trzeba było się uczyć. Pamiętał, jak spędził przeszło pół godziny, próbując zapłacić za zakupy przy kasie samoobsługowej, słuchając automatycznych poleceń wydawanych uprzejmym damskim głosem. Ponadto tajemnicze bankomaty i karty kredytowe. Czuł jednak, że pod tą warstwą nowoczesności kryje się dawny szkielet ludzkiej natury. Ludzie się nie zmienili. Kierowały nimi te same pragnienia, te same żądze, co kiedyś. Obawiał się tego.

A jeśli prawda jest inna? Może ten cały nowoczesny świat, ze swoimi telefonami komórkowymi, komputerami, satelitami, automatami parkingowymi i gadającymi kasami, jest w stanie niejako samoistnie obronić się przed złem? Może to, co starożytne i przedwieczne, musi samo ukorzyć się przed potęgą nowych czasów... i słowa starca nie są już nikomu potrzebne, lecz przypominają jedynie dziecinniałą paplaninę, niemającą wiele wspólnego z rzeczywistością?

Ktoś musiał być jednak odmiennego zdania. Jeszcze tej samej nocy w domu majora zjawili się nieproszeni goście. Staszewskiego wyrwał ze snu dobiegający z kuchni szelest. Wtedy również pamiętał, by dokładnie zamykać drzwi i okna. Chyba w pewien sposób przeczuwał, że taka chwila musi kiedyś nadejść. Leżał nieruchomo na łóżku, z półprzymkniętymi oczami, i czujnie nasłuchiwał. Nie było wątpliwości, że w domu pojawili się intruzi. Jeśli udało im się tak cicho dostać do środka - musieli być fachowcami. Dobrze wiedział, że istnieją specjalistyczne urządzenia umożliwiające bezszelestne otwarcie zwykłego zamka w kilkanaście sekund. Nie kupuje się ich, rzecz jasna, w sklepie. W domu miał schowaną broń, jeszcze ze starych czasów - wysłużony, lecz niezawodny, wyprodukowany w Radomiu Vis wzór 35. Był on jednak ukryty w schowku na strychu. Tymczasem jeden z włamywaczy znajdował się już kilka metrów od niego. Major wiedział, że jedynym sposobem uratowania życia może być udawanie głębokiego snu. Zawodowcy nigdy nie pozostawiają niewygodnych świadków i potrafią likwidować ludzi w sposób niepozostawiający śladów. Ci, o których wówczas pomyślał, byli mistrzami w swoim fachu. Specjalne aerozole z bakteriami węgliką. Zatrute igły. Neurotoksyczne substancje doprowadzające do samobójstwa. Przez wiele dziesięcioleci poszerzali swoją wiedzę na poligonach i w laboratoriach Związku Radzieckiego. Mieli też jedną najpoważniejszą wadę - istnieli naprawdę.

Spod przymkniętych powiek śledził przesuwający się po pokoju cień. Ciemność rozjaśnił nikły blask latarki punktowej. Niewielki snop światła przeczesywał pokój. Wreszcie zatrzymał się na jego twarzy. Major delikatnie rozchylił usta. Starał się oddychać spokojnie i równomiernie. Zrozumiał, że intruz niespecjalnie boi się, iż go obudzi. Wręcz przeciwnie, jest na taką ewentualność przygotowany i może go zabić.

Jednak nie po to ich przysłano. Światło spełzło z twarzy majora, a kroki oddaliły się w głąb sypialni. Tam, gdzie znajdowała się szafka. Major

usłyszał odgłosy wysuwanych szuflad.

Po chwili włamywacz opuścił pokój, cicho skrzypnęły drzwi od kuchni. Staszewski nadal leżał zupełnie bez ruchu, obawiając się jakiegoś podstępu. Żołnierski instynkt nakazywał mu liczyć się z każdą możliwością. Do jego uszu dobiegł szept, zbyt cichy, by dało się odgadnąć słowa. Podejrzenia majora potwierdziły się - włamywacz nie działał sam, ktoś go ubezpieczał.

Minął dobry kwadrans, zanim Staszewski zdecydował się wstać z łóżka. Uczynił to możliwie ostrożnie, choć stary mebel skrzypiał niemiłosiernie. Nie licząc miarowego tykania zegara, w całym domu panowała cisza, więc doszedł do wniosku, że złodzieje odnaleźli i zabrali to, po co przybyli. Uznali zapewne, że bez jakichkolwiek dowodów będzie całkowicie niegroźny. Ot, szalony dziadek opowiadający swoje niestworzone historyjki. W końcu zdecydował się podejść do kontaktu i zapalić światło. Poszedł do kuchni, a potem do przedsionka. Zamek typu Yale otwarto bez używania siły. Robota zawodowca. Zamknął na powrót drzwi i przekręcił gałkę. Był pewien, że nikogo już nie ma w domu. Wykonali zadanie. Szkice, współrzędne, notatki - przepadły. Mógł mieć żal jedynie do siebie, że nie ukrył ich w bardziej niedostępnym miejscu. Kto wie jednak, co wówczas by się stało. Doskonale rozumiał, że wezwanie policji nie ma najmniejszego sensu. Był pewien, że nie pozostawiono odcisków palców ani żadnych wskazujących na włamanie śladów. Nie musiał nawet sprawdzać, czy z domu jeszcze coś zginęło. Z mocno bijącym sercem wyszedł na podwórze i podszedł do psiej budy. Przykląkł przy zwierzęciu, które leżało na boku. Delikatnie pogładził sierść i wtedy się uspokoił. Zwierzę oddychało, spało. Poczł lekki, drażniący chemiczny zapach. Może izofluran albo halotan? Jeśli dawka nie była zbyt duża, wszystko powinno być w porządku.

*

Wrażenie obecności stawało się coraz silniejsze. Major wyczuwał, że potęguje się ono od czasu kradzieży. Czuł, że nie jest już w domu sam. Pewnej nocy wichura pozbawiła Kęszycę prądu. W domu zgasło światło. Wiatr dał w korony drzew, które z głośnym skrzypieniem uginały się pod jego naporem. Zawiodła też latarka, wyczerpały się baterie. Siedział w swoim pokoiku na piętrze i myślał o ukrytej w szufladzie biurka świecy. Lepiej będzie jej nie zapalać. Ogień może ją przyciągnąć, naprowadzić na trop. To

niebezpieczny żywioł, lepiej z nim nie igrzać.

Posłyszał trzeszczenie schodów. Zbliżali się. Duchy przeszłości. Słyszał, jak wiatr niecierpliwie szarpie gałęziami drzew. Deszcz bębnił o dach, pluskał w rynnach. Nie musiał oglądać się za siebie, by wiedzieć, że są blisko, tuż za jego plecami. Wtedy wyczuł ten niemy nakaz, niemal posłyszał go, wyszeptany zza jego pleców z wielką mocą:

- Pisz!

W tym samym momencie zapaliło się światło.

2.

Kęszyca Leśna, czwartek 25 kwietnia 1957 roku, godzina 6

Młody major Staszewski obudził się z sennego koszmaru. Nie mógł przypomnieć sobie, co tak bardzo go przestraszyło. Zwykle nie obawiał się niczego i spał jak kamień. Tej nocy jednak miał wrażenie, że w sennych majakach ujrzał coś przerażającego, coś, co trudno byłoby nawet nazwać. Ze swojego snu zapamiętał jedynie ogień, ciemność i wrażenie bycia schwytanym w pułapkę bez wyjścia.

Nagle do jego uszu dobiegły głuchoe odgłosy eksplozji. „Znowu ruscy coś wymyślili” - pomyślał z niepokojem. Od czasu przybycia tych rzekomych wyzwolicieli nic nie było już takie samo jak wcześniej. Z częścią Rosjan Staszewski dogadywał się całkiem dobrze. Byli to zwykli żołnierze. Jednak wraz z nimi nadjechało dwudziestu funkcjonariuszy KGB, mających za sobą długi staż w NKWD. Ci ludzie budzili niepokój. Tak naprawdę to oni mieli najwięcej do powiedzenia. Staszewski nie lubił cechujących agentów bezkresnej pewności siebie i pogardy wobec wszystkiego, co zastali, przybywając tutaj. Otaczała ich nieustanna aura tajemnicy, którą sami usilnie pielęgnowali. Chcieli dowiedzieć się jak najwięcej, jednocześnie jak najmniej zdradzając na swój temat. Staszewski zastanawiał się, w jakim celu rzeczywiście przyjechali. Choć starał się unikać tego skojarzenia, na ich widok przychodziło mu na myśl niemieckie SS, Czarny Zakon. Tamci również byli elitą. Oficerowie KGB mieli się za lepszych od zwykłych wojskowych. Ostentacyjnie ignorowali wojskowe szarże, jakby wierząc w jakąś magiczną, chroniącą ich siłę. Zachowywali się niczym władcy świata, a do uszu polskich oficerów docierały już pierwsze plotki o ich bezmyślnym okrucieństwie i terrorze stosowanym wobec mieszkańców okolicznych wsi. Czuli się zupełnie bezkarni, jako reprezentanci nowej władzy. Wszystko to nie budziło sympatii majora, ani tym bardziej jego zaufania.

Zaniepokojony zerwał się z łóżka i podszedł do okna. Otworzył je na oścież, pozwalając, by pachnące świerkiem chłodne powietrze wtargnęło do pokoju szeroką falą. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że wszystko jest w porządku. Piętrowe domy, składające się na niegdysiejszy Gródek, a obecnie bazę Armii Czerwonej, oświetlał łagodny blask poranka. W nocy musiała

przejsć ulewa, a może nawet burza, bo tu i ówdzie dało się dostrzec kałuże, a nawet postręcane wiatrem gałązki sosen oraz świerków. Obecnie panował spokój. Przy bramie wjazdowej, zagrodzonej szlabanem, przechadzało się dwóch radzieckich wartowników. Mieli na sobie długie, przeciwdeszczowe pałatki, wysokie skórzane buty, a na głowach zielone hełmy z wymalowaną czerwoną gwiazdą. Na ramionach pepesze. Skromnym zdaniem majora nie do końca wyglądali na przyjaźnie nastawionych sojuszników.

Polscy żołnierze wynieśli się stąd wraz z początkiem roku, na mocy rozkazu z 17 grudnia 1956 roku. Pozostali tylko oni - dwóch polskich oficerów i dwaj szeregowcy do pomocy, saperzy. Taki rozkaz otrzymali. Mieli być kimś w rodzaju pośredników między żołnierzami radzieckimi a okoliczną ludnością. Do ich zadań należało również przekazywanie Rosjanom wszystkich informacji na temat potężnych podziemnych fortyfikacji Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego, który Polacy wcześniej w niewielkim stopniu zbadali. Tak jakby w ogóle dało się zbadać to, co kryły podziemia... Staszewski szczerze w to wątpił.

Poszedł do łazienki i jak co rano przystąpił do starannej toalety. Ogolił się dokładnie, używając brzytwy i kremu „Junak”. Obserwował przy tym swoją twarz, szarostalowe oczy oraz ciemnokasztanowe włosy, które zaczesywał do tyłu z wykorzystaniem odrobiny brylantyny. Potem wrócił do sypialni i stojąc przodem do otwartego na oścież okna, wykonał kilka prostych ćwiczeń gimnastycznych wzmacniających tężyznę ciała. Przysiady, skłony i wymachy rękoma. Najbardziej lubił właśnie taką, niezbyt wymyślną, poranną koszarową rozgrzewkę. Pomyślał o mocnej czarnej kawie, gdy posłyszał tupot na drewnianych schodach. Ktoś biegł do jego kwatery. Zaraz potem rozległo się stanowcze pukanie. Od czasu przejęcia bazy przez Rosjan major ryglował na noc drzwi. Podeszedł i odciągnął zasuwę. W drzwiach ujrzał Władka. Chłopak był jego rówieśnikiem i także polskim oficerem. Wysoki, szczupły, z jasnymi włosami i niebieskimi oczami, wyglądał na jeszcze młodszego, niż był w rzeczywistości. Jednak pod tą powierzchownością krył się charakter, na którym można było polegać. Rok temu wykazał się bohaterstwem, ratując tonącą w kęszyckim jeziorze młodą dziewczynę, Wandę. Staszewski wiedział, że od paru miesięcy spotykają się i rodzi się między nimi jakieś uczucie.

- Zrobili to. Chcą wejść do środka - oznajmił Władek.

- Idioci - mruknął w odpowiedzi major. - Wiedziałem, że w końcu zrobią coś głupiego. Ci ludzie są nieobliczalni.

- Ciii... - zmitygował go przyjaciel. - Ściany mają uszy. Podobno wyruszyli jeszcze przed świtem. W parę samochodów.

- Musimy ich powstrzymać.

- Czemu właściwie mielibyśmy to robić? - Władek wzruszył ramionami. - Chcą, to niech leżą. W samą paszczę lwa. Dostaną nauczkę. To niebezpieczne miejsca.

- Nie zdajesz sobie sprawy, z czym możemy mieć do czynienia - nieco enigmatycznie oznajmił Staszewski. - pewnej nocy nakreśliłem plany umocnień. Zebrałem nasze obserwacje w jedną całość. Dopiero wtedy można zrozumieć sprytną budowę całego systemu, kiedy spojrzysz na wszystko z lotu ptaka. Przez parę lat badałem podziemia, oczywiście tylko te, do których bezpiecznie dało się wejść. Skala przedsięwzięcia jest ogromna. To coś znacznie więcej, niż linia Maginota. Mam wrażenie, że pływająca wyspa, którą widzieliśmy, to zaledwie niewielki element całej układanki. Zwróć uwagę, że w pobliżu znajdują się potężne jeziora. Chycina, Kursko i Kęszyckie. Wszędzie w lesie pobudowano wielkie mechanicznie sterowane kanały i śluzy. Mam wrażenie, że to wszystko układa się w jakąś całość.

- Myślisz, że hitlerowcy chcieli zatopić okolicę? - z niedowierzaniem zapytał Władek.

- Możliwe. Może w razie ataku chcieli doprowadzić do wylania jezior, tak aby powstały naturalne zapory wodne, trudne do przebycia dla czołgów. Ale to jedynie jedna z wielu hipotez. Chodzi o to, że gdy ruscy zaczną coś wysadzać, kombinować, to nie wiadomo, do czego może dojść. Może zginąć wielu okolicznych mieszkańców. Co naprawdę się tam znajduje? Może ogromne składy amunicji. Może jakaś nowa broń. Wiemy o V1 i V2. Były przecież produkowane w Polsce. Wiemy, że Hitler dysponował bronią chemiczną, i to w ogromnych ilościach. Jakiś czas temu ustalono, że na Dolnym Śląsku znajdował się wielki magazyn rudy uranowej. Sam kompleks Riese nadal pozostaje zagadką. A o czym jeszcze nie wiemy? Dlatego trzeba działać.

Major błyskawicznie dopiął mundur. Założył kaburę z visem. Mieli już wyjść, kiedy Władek złapał go za ramię. Spojrzał na majora przenikliwie.

- Ty coś wiesz. Nie mówisz mi wszystkiego.

- Nie czas teraz na rozmowy - uciał Staszewski, umykając wzrokiem w bok.

Wyminął kolegę i zbiegł po schodach. Władek pośpieszył za nim.

Kiedy dojechali na miejsce, zobaczyli nowiutką szarozieloną ciężarówkę ZIŁ i kilka motocykli. Pojazdy stały na skraju lasu, w miejscu, gdzie znajdowało się jedno z wejść do podziemi. Polscy żołnierze zaparkowali wysłużony motocykl z przyczepą. Staszewski rozglądał się uważnie, wypatrując Rosjan. Nigdzie nie było ich widać, co samo w sobie napełniało go pewnym niepokojem. Wyglądało na to, że rzeczywiście energicznie zabrali się do plądrowania podziemi, zapominając nawet o procedurach bezpieczeństwa wymagających pozostawienia przy samochodach przynajmniej jednego strażnika. Taka właśnie była ich mentalność. Mimo to stanowili niekwestionowaną potęgę.

Przed polskimi oficerami znajdowało się imponujące, sztucznie wzniesione wzgórze. Major dobrze wiedział, co się tam znajduje. Była to tak zwana grupa warowna, zbudowana przez hitlerowców. Potężne ściany o grubości co najmniej metra, wykonane ze zbrojonego betonu, mogły wytrzymać napór ognia artyleryjskiego o dużej sile. Zamaskowane stanowiska strzeleckie umożliwiały zaporowy ostrzał z karabinów maszynowych. Na szczycie wzgórza znajdowały się dwie masywne, obrotowe kopuły, odlane ze stali i zaopatrzone w wąskie okienka. Pierwsza z nich przeznaczona była dla strzelców, a druga kryła w sobie morderczą i okrutną broń - miotacz płomieni. Napędzany specjalną pompą mógł razić cele odległe nawet o kilkaset metrów. Niedaleko, ukryte w trawie rozpoczynały się tak zwane zęby smoka. Wielkie, osadzone w ziemi betonowe ostrosłupy, przypominające kły prehistorycznej bestii. Ciągnęły się kilometrami, tworząc dla czołgów zaporę nie do pokonania. Do tego sztuczne wąwozy, zapadliska, kanały i pola minowe.

Staszewski po raz kolejny nie mógł oprzeć się dziwnemu wrażeniu, że zadaniem tych umocnień nie była jedynie zwykła obrona przed wrogiem. Tym bardziej że Niemcy nigdy nie wykorzystali na większą skalę podziemi w działaniach wojennych. A więc po co to wszystko? Jaki szaleńczy plan mógł powstać w głowie genialnego architekta, który to wszystko projektował? Tego nie wiedział.

Z zamyślenia wyrwał go głos Władka:

- Musieli już wejść do środka.

Po plecach Staszewskiego przeszedł lekki dreszcz. On sam najlepiej wyczuwał mroczną aurę tajemniczości związanej z tym miejscem. Kiedy przybyli do Bazy Dżdżownic, z początku sądził, że mają do czynienia ze zwykłymi bunkrami. Gdy jednak, jeżdżąc po okolicy i sporządzając plany, dostrzegł ogrom przedsięwzięcia, w jego serce zaczął wkradać się niepokój. Niektórzy ludzie miewają podobne odczucia i czasem określa się je mianem intuicji. Staszewski miał dobrze rozwiniętą intuicję. Czasem prowadząc auto, instynktownie potrafił zwolnić, trafnie przewidując, że z lasu nagle wypadnie dzik lub sarna. Nie wiedział o tym, po prostu to czuł. Tak też było w tym przypadku. W tych podziemiach coś się kryło. W jakiś irracjonalny sposób był tego pewien.

Wszystko wyglądało jednak dość niepozornie w porównaniu z tym, co znajdowało się pod ziemią. Niskie i grube na kilkadziesiąt centymetrów stalowe drzwi były otwarte. Z wnętrza wiało wilgocią i nieprzyjemnym chłodem. Niedługo po odkryciu podziemi zabezpieczyli wejście przed nieproszonymi gośćmi. W środku było przecież bardzo niebezpiecznie. Staszewski zauważył zniszczoną masywną kłódkę leżącą nieopodal w trawie i wyrwaną, zapewne za pomocą eksplozji niewielkiego ładunku dynamitu, żelazną sztabę. Więc to tak ludzie Ulianowa dostali się do środka. Bezceremonialnie. Znali tylko jeden sposób pokonywania przeszkód - niszczenie wszystkiego, co stało im na drodze. Wydawało się, że dotyczy to również ludzi.

Znajdowali się wewnątrz wielkiego bunkra, z zewnątrz wyglądającego jak wzgórze porośnięte trawą. Jednego z wielu, jakie udało im się odkryć, rozrzuconych na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów i ukrytych w gęstym lesie. Wszystko wskazywało na to, że przynajmniej część fortyfikacji, a może nawet wszystkie, połączona była podziemnymi korytarzami. Znajdowały się tam ogromne tunele, którymi kursować mogły pociągi. Podziemne fabryki broni. Niezliczone magazyny. Łaźnie, sypialnie, biura, kuchnie i koszary. Więzienia. Izby tortur i śmierci. Ogromna liczba maszyn o trudnym do zidentyfikowania przeznaczeniu. Ta wielka sieć posiadała własny system wodociągów i napowietrzania. Mogła żyć własnym życiem. Podziemne miasto. Przytłaczający ogrom w służbie zła. Gdyby przeczytał o tym w

jakiejś książce, być może wybuchnąłby śmiechem z niedowierzania. Teraz jednak wcale nie było mu do śmiechu. W jaki sposób, u licha, Niemcom udało się zbudować coś takiego w tak krótkim okresie czasu? Jaka była cena, którą musieli zapłacić? W dodatku wiele wskazywało na to, że spora część podziemi nie została jeszcze odkryta i zbadana.

Ruszyli długim betonowym korytarzem, przyświecając sobie latarkami. Niegdyś działały tu agregaty prądotwórcze i Staszewski nie miał wątpliwości, że były takie czasy, gdy tunele rozświetlał blask elektrycznych lamp. Słychać było pokrzykiwania SS-manów i jęki więźniów przymuszanych do niewolniczej pracy. Jednak gdy dotarli tu po raz pierwszy, urządzenia, które udało im się odkryć, zostały już zniszczone bądź zatopione. Prądnice zalała woda, transformatory ktoś wysadził w powietrze. Część kabli została celowo poprzecinana. Teraz rządziła tu ciemność. Skądś dochodziło ciche kapanie wody.

Przypomniał sobie lokalną legendę, którą usłyszał od jakiegoś dzieciaka. Chłopak wybiegł na drogę, częstując ich wodą, kiedy półciężarówkami jechali do bazy przez niedaleką wieś Kursko. Twierdził, że ponoć linie metra biegną aż do samego Berlina. Podobno to w ten sposób przybyli tu nazistowscy namiestnicy. Wówczas Staszewski uznał, że była to jedynie wyssana z palca plotka, podobnie jak ta z pływającą wyspą. A jednak pływającą wyspę ujrzał pewnego dnia na własne oczy. Została dostrzeżona przez patrolującego okolicę żołnierza, który wszczął alarm. Jego niepokój wywołało dziwne światło na nocnym niebie. Wyspa majestatycznie wynurzała się z jeziora Kęszyca, potężna, niczym największa na świecie łódź podwodna. Woda wokoło zdawała się kipieć i przybyli na miejsce polscy wojskowi mogli jedynie obserwować zadziwiające zjawisko. Potężna czarna kopuła, prawdopodobnie w całości wykonana ze stali. Na jej szczycie znajdował się otwór, z którego bił snop jasnego światła, zatrzymujący się dopiero na skłębionych, czarnych chmurach. Przypominało to olbrzymi reflektor przeciwlotniczy dający sygnał. Komu? Nie wiadomo. Staszewski nie mógł sobie nawet wyobrazić potężnej mocy potrzebnej do uruchomienia tak wielkiego mechanizmu. Podstawowym jednak pytaniem było, kto i w jakim celu wprowadził w ruch to niewiarygodne urządzenie. Być może zadziałał jakiś automat, który pod nieznanym wpływem przebudził się z wieloletniego letargu. Niewykluczone jednak, że w podziemiach nadal ktoś mógł przebywać, być może znając sekretne wejścia. Major znał trochę podobnych

spraw, przed przyjazdem do Gródka przeglądał dokumenty i raporty. Niemcy nierzadko pozostawiali strażników, obserwatorów. Często kogoś spośród miejscowych.

Po około godzinie wyspa zanurzyła się z powrotem pod powierzchnię jeziora. W tym czasie zrobiono kilkadziesiąt zdjęć mających udokumentować to niezwykle zdarzenie. Natychmiast wysłano raport do dowództwa. Polscy żołnierze podejrzewali, że do podziemi dostał się ktoś niepowołany i wprawił maszynę w ruch. Długo nie mogli doczekać się odpowiedzi. Wreszcie przybyli nurkowie. Pobieźnie sprawdzili dno jeziora, a przynajmniej widać było, jak zanurzają się pod powierzchnię wody. Nie natrafili na nic niezwykłego. Tak przynajmniej oznajmili i w ten sposób zakończyła się sprawa. Zdjęcia jednak zarekwirovano, uzasadniając to koniecznością dołączenia ich do raportu.

Podziemny korytarz, którym kroczyli teraz polscy żołnierze, ciągnął się przez kilkadziesiąt metrów. Potem zaczynały się liczne mylące rozgałęzienia. W końcu po przejściu kilku klaustrofobicznych pomieszczeń o nieznanym przeznaczeniu dotarli do ogromnego szybu prowadzącego pod ziemię. Miał kształt cylindra o średnicy około dwudziestu metrów. Staszewski nie miał wątpliwości, że Rosjanie podążyli właśnie tą drogą i zapewne byli już na dole. Zeszli krętymi schodami. Major był tu już wcześniej. Oceniał głębokość na dobre trzydzieści metrów. Podejrzewał jednak, że schody prowadzą jedynie do pierwszej kondygnacji podziemi. Sądził, że mogły istnieć głębsze poziomy. Pewność ta brała się w zasadzie przede wszystkim ze zwykłej dedukcji. Zauważył, że przy wznoszeniu umocnień dążono do połączenia ze sobą wszystkich nadziemnych grup warownych. Było to logiczne i uzasadnione z militarnego punktu widzenia. Dzięki temu Niemcy mogliby dostarczać sobie żywność i amunicję, a także ewakuować załogę danej grupy warownej do innej pod ziemią - gdyby zaszła taka potrzeba. Udało im się znaleźć kilkanaście takich połączeń, głównie między mniejszymi bunkrami. Większe grupy warowne również były ze sobą skomunikowane korytarzami, lecz znajdowały się one o poziom niżej. Zdawało się to wskazywać na pewną prawidłowość - umocnienia o większym znaczeniu strategicznym łączono tunelami mieszczącymi się na większej głębokości. Również linia kolejowa, której kilka upiornych i opuszczonych stacji udało im się odkryć, biegła około stu metrów pod powierzchnią ziemi, a zatem na poziomie drugim. Nie udało się wykryć połączeń między wieloma najważniejszymi fortyfikacjami,

gdyż podziemne tunele były zawałone setkami ton gładów i piasku, a w wielu miejscach pozalewała je woda. Przejścia były często zaminowane i po prostu nie warto było narażać życia żołnierzy, by za wszelką cenę posuwać się dalej. To wszystko, zdaniem majora, mogło jednak sugerować, że istnieje również poziom trzeci, do tej pory nieodkryty, spinający ze sobą całość umocnień, poziom najbardziej tajemniczy i o niejasnym przeznaczeniu.

- Zimno tu. - Władek pociągnął nosem.

W tym momencie do ich uszu dobiegł odgłos kolejnej eksplozji. Odruchowo zakryli głowy rękami. Huk nawet tutaj był ogłuszający. Schody pod ich nogami wyraźnie zawibrowały.

- Wysadzają w powietrze ściany. - Staszewskiemu nadal lekko dzwoniło w uszach. - Albo sami natrafili na jakąś minę. To, co robią, jest cholernie niebezpieczne. Gdzieś mogą znajdować się podłożone przez Niemców ładunki wybuchowe. Wszystko może zaważyć się nam na głowy.

- Nie liczą się z niczym - przytaknął Władek. - Widać czegoś szukają. Pewnie po to ich przysłano.

Zbiegnięcie po śliskich i krętych schodach na sam dół zajęło im parę minut. Zewsząd otaczała ich ciemność. Światła latarek zdawały się w niej zupełnie tonąć. Korytarz miał dobre dziesięć metrów szerokości i tyle samo wysokości. Strumień światła wychwyił nieczynne już przymocowane do półkolistego sklepienia elektryczne lampy i kable. Pod stopami ciągnęły się tory kolejowe.

- Tam są - szepnął Władek. W atmosferze tego miejsca było coś, co zmusiło go do ściszenia głosu. - Na samym końcu korytarza widać jakieś światło.

- Musimy być ostrożni - ostrzegł go major.

Dopiero teraz dotarło do niego, jak bardzo nie ufa ludziom Ulianowa. To nie byli żołnierze, choć część z nich chętnie nosiła wojskowe mundury. Zdaniem polskiego oficera przybyli tu raczej w charakterze szpiegów. Kontrolowali nie tylko Polaków, ale również swoich. Przypomniał sobie, jak przy butelce wódki jeden z radzieckich wojskowych opowiedział mu coś, co być może mieli zachowywać jedynie dla siebie. „Kiedy Armia Czerwona parła na zachód - opowiadał - była to wielka zgraja ludzi zegnanych ze stepów Rosji. Wielu z nich nie miało nawet mundurów, mieli za to karabiny

na sznurach przewieszane przez ramię, bo zabrakło dla nich porządných skórzanych pasów. Tę wojnę chciano wygrać za wszelką cenę. Nie licząc się z życiem. Z tyłu, za linią frontu szli oni. Strzelali do każdego, kto odważył się cofnąć. Bez zastanowienia zabijali własnych ludzi”. Spity niemal do nieprzytomności radziecki oficer nie powiedział wyraźnie, że chodzi o ludzi podobnych do tych, którzy przyjechali tu wraz z Ulianowem, nie wspomniał o NKWD, ale major w lot domyślił się wszystkiego. A teraz byli tutaj tylko we dwóch. W podziemiach. Oko w oko z bestiami.

Odruchowo dotknął kabury z bronią. „Może skoro sami dobrali się do sekretów, nie będziemy im już potrzebni” - pomyślał z niepokojem.

Podziemny tunel biegł przez dobre kilkaset metrów i miał kształt łagodnego łuku. Miało to być dodatkowym zabezpieczeniem na wypadek ewentualnej eksplozji ładunku wybuchowego wewnątrz korytarza. Dlatego major w pierwszej chwili nie dostrzegł światła na jego końcu. Wiedział, że właśnie tam znajduje się ślepa ściana. Znał już to miejsce i sam nie miał wątpliwości, że tunel w tym miejscu został celowo zamurowany. Skoro biegły tędy tory kolejowe, musiały przecież dokądś prowadzić. Polacy zastanawiali się nawet, czy nie spróbować wysadzić tej ściany i nie sprawdzić, co znajduje się za nią. Sprzeciwiał się temu między innymi sam Staszewski. Obawiał się, że mogą znajdować się tam jakieś pułapki, być może miny, i próba wysadzenia przeszkody może zakończyć się śmiercią podległych mu żołnierzy. Nie mógłby potem z czystym sumieniem spoglądać we własne odbicie w lustrze, wiedząc, że przez niego zostały osierocone dzieci, a żony straciły swoich mężów. Poza tym - myśląc czysto racjonalnie - taka decyzja, podjęta bez wyraźnego rozkazu, byłaby nadużyciem i samowolą. Zadaniem polskich wojskowych miało być przede wszystkim rozminowywanie lasu i ścieżek, a także prowizoryczne zabezpieczenie podziemi. Zabezpieczenie, a nie płądrowanie.

Spostrzegł już Ulianowa i jego ludzi. Przypominali cienie, a w świetle przenośnego reflektora ich twarze miały w sobie coś upiornego. Sam Ulianow ubrany był w nienaganny mundur radzieckiej armii. Lubił jednak podkreślać, że nie jest wojskowym, lecz agentem. Był to oczywisty paradoks, bo przecież w każdej zwykłej armii człowiek, który nie jest żołnierzem, nie może nosić munduru. Wydawało się jednak, że Ulianow właśnie w ten dziwny sposób lubi manifestować swoją bezkarność. „Mogę nosić mundur, kiedy mam na to ochotę - zdawał się mówić - i nikt z was nie ma

takiej władzy, by mi tego zabronić”. Pozostała część ludzi Ulianowa, nie licząc dwóch zwykłych żołnierzy, ubrana była teraz w czarne, narzucone na mundury skórzane płaszcze. W podziemiach panował przenikliwy chłód. Majorowi znów bezwiednie nasunęło się skojarzenie z SS, jednak szybko odegnał od siebie tę myśl. Ostatecznie byli przecież sprzymierzeńcami. To oni pomogli pokonać nazistów. Bądź co bądź.

- Co za niespodziewana wizyta - zaszydził Ulianow. - Czy aby nie przebudziliście się za wcześnie?

- Przebudziliśmy się za późno, towarzyszu - odparł Staszewski. - Co tu się dzieje?

- Wszystko, co robimy, jest zawsze zgodne z poleceniami władzy radzieckiej - jadowitym głosem odparł Rosjanin. - Powinniście to sobie wbić do głowy. Teraz to my tu rządzymy.

Władek wyraźnie chciał coś powiedzieć, ale major powstrzymał go dyskretnym ruchem dłoni, choć sam z trudem panował nad sobą. Spostrzegł właśnie, że przy pomocy ładunku wybuchowego wykonano otwór w ścianie, a dwaj saperzy to jego podkomendni, Polacy. Miał jednak świadomość, że w obecnych czasach to Ulianow rozdaje karty i że w rzeczywistości władza agenta sięga znacznie dalej niż jego własna. Trzeba było wykazać się sprytem i dyplomacją.

- Widzę, towarzyszu, że pożyczyciście sobie moich ludzi. Tych dwóch podkomendnych, których jeszcze mi pozostawiono, by rozminowywali ścieżki w lesie.

- Chwilowo... - Ulianow uśmiechnął się szatańsko. - ...znalazłem im ciekawsze zajęcie. Zleciłem wysadzenie tej ściany. Zrobiłem więc to, na co wy nie mieliście odwagi. Oczywiście w chwili wybuchu wszyscy, poza waszymi, polskimi saperami, wyszli z tunelu i ukryli się w bezpiecznym miejscu. Nie mogłem przecież ryzykować życiem swoich podwładnych, a tym bardziej własnym, gdyby okazało się, że nasz wybuch aktywuje ukryte przez Niemców miny.

„Tak jakby ryzykowanie życiem podwładnych nie było waszą ulubioną metodą wygrywania wojny” - pomyślał major.

- Zrobiliście to mimo niebezpieczeństwa. Moi ludzie mogli zginąć - powiedział, tłumiąc gniew. - Nie widzieliście ostrzeżenia?

Ulianow roześmiał się głośno, jakby postyszał najlepszy w życiu dowcip. Uwielbiał drażnić i prowokować swoich rozmówców.

- Nie doceniałem was. Znacie niemiecki? Wzięliście na poważnie to idiotyczne zdanie wymalowane na ścianie przez Niemców? „Niech nikt pod żadnym pozorem nie posuwa się dalej”? To groteskowe. Jeśli obawiacie się takich ostrzeżeń, to nic dziwnego, że przegraliście wojnę. Brakuje wam odwagi.

- A jednak to wy schowaliście się na czas wybuchu w bezpiecznym miejscu, wysługując się naszymi saperami - wyrwał się Władek.

Ulianow przyjrzał mu się uważnie. Z twarzy spelzł mu szydery uśmiech. Przez chwilę major zobaczył prawdziwą, zimną i bezlitosną twarz agenta KGB. Twarz człowieka strzelającego do własnych żołnierzy. Twarz bandyty. Przebiegłego skrytobójcy, który zapamiętuje każde słowo, by użyć go we właściwym czasie niczym starannie spreparowaną truciznę.

- Nie wierzymy w ostrzeżenia wypisane na ścianach przez wrogów. Możecie zabrać swoich saperów. Dalej poradzimy sobie sami - oznajmił dziwnie głuchym głosem agent.

Major uważnie przyjrzał się wymalowanej na ścianie przestrodze. Niech nikt pod żadnym pozorem nie posuwa się dalej... Napis wykonano starannie, więc prawdopodobnie na czyjś świadomy rozkaz. Widział już wcześniej to ostrzeżenie. Niżej znajdowała się swastyka. Patrząc na nią, Staszewski miał dziwne uczucie, że coś się nie zgadza. Nie wiedział jednak co dokładnie.

3.

czwartek 25 kwietnia 1957 roku, godzina 9

Ulianow nie odesłałby polskich saperów, gdyby nadal byli mu potrzebni. Był człowiekiem do bólu praktycznym, dla którego liczyła się tylko skuteczność. Wyznawał zasadę, że dobre jest to, co pozwala osiągnąć założony cel. Nie chciał jednak, aby ktokolwiek z Polaków dowiedział się o tym, co mogliby odkryć w podziemiach. Działał na osobiste zlecenie Nikity Chruszczowa, I Sekretarza Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, który objął schedę po Stalinie. Swoją misję Ulianow taktował jako życiową szansę i nie zamierzał jej spartaczyć, bez względu na koszty, jakie należałoby ponieść. Istniały bowiem podejrzenia, że właśnie na terenie Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego Niemcy ukryli coś niezwykle ważnego. Oczywiście można było spróbować rozpocząć poszukiwania na wielką skalę, przysłać tu masę ciężkiego sprzętu, Chruszczowowi zależało jednak na dyskrecji. Nie chciał, by informacja o ewentualnym znalezisku dotarła do uszu niepowołanych osób, a przecież szpiedrzy zagranicznych imperialistycznych mocarstw mogli znajdować się wszędzie.

Wiedza o tajemnicy płynęła z odnalezionych hitlerowskich dokumentów. Po ich odszyfrowaniu okazało się, że zawierały pewne niezbyt jasne i zadziwiająco ogłędne informacje na temat czegoś, co znajdowało się właśnie w tych podziemiach. Przynajmniej tak przedstawiono sprawę Ulianowowi. Miał niezwłocznie udać się do bazy w Kęszycy Leśnej i nie szczędząc sił oraz środków, ustalić, co też Niemcy mogli ukryć w okolicy. Agent KGB sam przypuszczał, że może chodzić o wielkie skarby, zagrabione z europejskich muzeów bezcenne dzieła sztuki, skrzynie ze złotymi sztabami lub nawet legendarną bursztynową komnatę, której gorączkowe poszukiwania dotychczas nie przyniosły żadnego skutku. Niemcy, wycofując się, notorycznie ukrywali podobne skarby na terenie Europy Środkowej. Liczyli, że front znów się przesunie, a oni niebawem powrócą na ziemię, które chwilowo tylko opuszczają. Istotą działalności organizacji Odessa było nie tylko umożliwienie ucieczki hitlerowskim zbrodniarzom, ale także stworzenie ogromnych rezerw, rzędu miliardów dolarów, mających na celu wskrzeszenie Trzeciej Rzeszy i rozpoczęcie kolejnej wojny światowej.

Coś się jednak nie zgadzało. Zabezpieczenie podziemi, przynajmniej jak na możliwości Niemców, w tym przypadku wydawało się względnie prowizoryczne. Ulianow przed przybyciem do bazy miał okazję zapoznać się z raportami dotyczącymi podobnych śledztw, toczących się w różnych miejscach Europy Środkowej. Wiele kryjówek, w których hitlerowcy zgromadzili swoje skarby, było doskonale zabezpieczonych. Sztolnie zalewano wodą, a dna zbiorników wypełniano drutem kolczastym i dziesiątkami min. W sekretnych korytarzach można było natknąć się na tak zwaną ruchomą podłogę. Zapadała się ona pod ciężarem człowieka, który nabijał się na zaostrome stalowe pręty, umieszczone kilkanaście metrów niżej. Częstokroć próba wysadzenia w powietrze jakiegoś odcinka kończyła się jednoczesnym zniszczeniem specjalnych grodzi, w rezultacie czego ogromne masy wody zalewały podziemia. Żołnierzom próbującym dostać się w głąb kryjówek stawały na drodze grube na wiele metrów ściany wykonane ze zbrojonego betonu i odlane ze stali pancerne drzwi o niemalże groteskowej grubości. Zdarzały się również takie odcinki, których forsowanie byłoby oczywistym samobójstwem ze względu na naszpikowanie ich bombami zaopatrzonymi w nietypowe zapalniki, których nikt nie potrafił bezpiecznie rozbroić.

Tymczasem jednak wszystko poszło im niespodziewanie łatwo. Po prostu wysadzili ścianę zagrządzającą tunel, i to w dość oczywistym miejscu. Poradził sobie z tym ładunek wybuchowy o stosunkowo niewielkiej mocy. Ulianow schylił się i podniósł z ziemi bryłę betonu, przez chwilę ważąc ją w dłoni i oglądając z uwagą. Otaczający go agenci stali w milczeniu, czujnie wyczekując kolejnych rozkazów. Zwykły beton. Bez zbrojenia. Możliwości więc były dwie - albo za ścianą nie znajdowało się nic godnego uwagi, albo zabezpieczenia wykonywano prowizorycznie, w dużym pośpiechu. Być może Niemcy wiedzieli, że Armia Radziecka jest już blisko. Być może.

Agent KGB wiedział sporo na temat Umocnionego Łuku Odry i Warty. A przynajmniej tyle, by zadać sobie kilka nasuwających się pytań. Dlaczego udało się go przekroczyć z taką łatwością? Czemu Niemcy bronili się tak słabo? Liczono się przecież z możliwością, że rozległy system umocnień może zatrzymać ofensywę Armii Radzieckiej na wiele tygodni, a nawet miesiące. Były, oczywiście, pojedyncze grupy warowne, które stawiały zaciekły opór. Jak ta w okolicy Wysokiej, wioski znajdującej się na półwyspie wcinającym się w jezioro Paklicko. Wojska pancerne Aleksieja

Karabanowa wjechały do wsi. Doszło do pomyłki, bo droga, którą podążały, była zamknięta przez jezioro. Nagle czołgi z nieznanymi przyczynami utraciły ze sobą łączność. Wtedy właśnie spadł na nie huraganowy ogień z działa i karabinów maszynowych Panzerwerku 775. Dokładnie tego samego, który przed wojną wizytował Adolf Hitler. Rozpoczęły się ciężkie walki. Czołgi Karabanowa atakowały, torując piechocie drogę przez zaskie. Zginęło wielu radzieckich żołnierzy. Nagle ogień z działa ustał. Umilkły karabiny maszynowe. Rosyjscy wojskowi bez skutku wzywali obrońców panzerwerku do poddania się. W lesie zapanowała cisza. Po wysadzeniu potężnych drzwi prowadzących do wnętrza bunkra okazało się, że wszyscy Niemcy nie żyją. Ich ciała zostały rozerwane na strzępy i nosiły wyraźne ślady ognia. Nikt nigdy nie wyjaśnił, jak do tego doszło. Oficjalny raport milczał w tej sprawie.

Ulianow skierował światło latarki w głąb otworu. Albo miał słabą latarkę, albo w jakiś sposób ciemność po drugiej stronie była niezwykle gęsta, niczym syrop. Ze środka płynął przenikliwy chłód i zapach przywodzący na myśl rozległe, ciągnące się bez końca kanały. Oddech agenta zmieniał się w parę. W pierwszej chwili chciał posłać przodem jednego ze swoich ludzi. Niech przejdzie przez otwór w ścianie i zamelduje, co znajduje się po drugiej stronie. Jednak po chwili wahania uznał, że lepiej będzie zaufać własnemu nosowi. Gra toczyła się o zbyt dużą stawkę. Przyświecając sobie, bardzo ostrożnie przestąpił przez wyłom w murze, jednocześnie schylając głowę. Zanim zdecydował się przenieść ciężar ciała na drugą stronę, uważnie oświetlił podłogę. Wyglądała na solidną, betonową. Nic jednak nie było pewne, w istocie mogła to być pokryta warstwą betonu stalowa płyta, mogąca zapaść się pod jego ciężarem. Spozrzegł, że spory kawałek ściany spadł na drugą stronę, mógł ważyć nawet prawie tyle, co on sam, więc jeśli nie uruchomił ukrytej zapadni, istniała spora szansa, że w tym miejscu po prostu jej nie ma. Zdecydował się przekroczyć zagrażające mu drogę kamienie. Znalazł się po drugiej stronie i przeszedł najpierw kilka, potem kilkadziesiąt metrów. Bezpieczne światło reflektora zostało za jego plecami. Tutaj również biegły tory. Tunel był tej samej wielkości, pociąg mógłby dalej nim jechać. Wtedy zauważył jakiś leżący na ziemi kształt. Oświetlił go dokładnie. Niemiecki karabin MP-40. Ulianow uśmiechnął się pod nosem. Spodziewał się czegoś bardziej wyrafinowanego.

Przykucnął i spostrzegł, że betonowa podłoga jest przysypana warstwą piasku. Z pewnością miało to wyglądać naturalnie. Dmuchał parę razy,

patrząc, jak piasek odsłania szarą powierzchnię. Wreszcie znalazł to, czego szukał. Stalową linkę, przywiązaną do osłony spustu. Poszedł tym tropem i odnalazł pułapkę - minę przeciwpancerną ukrytą we wgłębieniu muru, najwyraźniej uzbrojoną. Ostrożnie odpiął linkę. Usuwanie miny zostawi Polakom, choć przeszedł szkolenie z zakresu unieszkodliwiania ładunków wybuchowych. Jedno było pewne - takie proste zabezpieczenie mógł pozostawić jedynie ktoś, komu brakowało czasu na coś bardziej wymyślnego.

Ulianow wiedział, że prędzej czy później będzie musiał zbadać dalszy obszar. Walczyły w nim jednak sprzeczne impulsy. Instynkt samozachowawczy nakazywał zachować daleko posuniętą ostrożność. Paradoksalnie jednak ten sam instynkt nakazywał iść naprzód. Władza radziecka nie znosiła niesubordynacji i z pewnością znalazłoby się wielu chętnych na jego miejsce. Rozpierała go również pewnego rodzaju ciekawość. Żli ludzie chętnie zagląдают do złych miejsc. Agent KGB wiedział, że musiało wydarzyć się tu wiele tragedii. Wyczuwał złowrogą, nieprzyjazną aurę tego miejsca i wzbudzało to w nim niezdrową ekscytację. Ileż istnień ludzkich musiało pochłonąć budowanie tych podziemi, jak wielu ludzi straciło tu życie? Część z nich zapewne wierzyła, że po skończonej pracy powrócą do swoich domów i rodzin, ale zapewne wielu domyślało się, że może nie ujść z życiem. Te mury musiały być przesiąknięte tęsknotą, cierpieniem i rozpaczą.

Wrócił się i zawołał do siebie dwóch zaufanych ludzi - Dymitra i Andrieja. Reszta miała czekać przy otworze w ścianie. Wszyscy trzej mieli dobre wojskowe latarki. Posuwali się na tyle szybko, na ile było to możliwe. Ulianow postanowił zajść tak daleko, jak mu się uda. Nie wiedział, że na dole czeka na niego coś, czego nie spodziewałby się w najgorszych koszmarach. Teoretycznie powinni posuwać się niezwykle powoli, najlepiej sprawdzając podziemny tunel metr po metrze. Na to jednak nie było czasu. Rozglądali się więc tylko uważnie, błędząc światłami latarek po ścianach tunelu, wypatrując min i pułapek. Na wszelki wypadek Ulianow nakazał swoim ludziom iść przodem. Jego wyobraźnią zawładnęła teraz wizja ukrytych przez hitlerowców bogactw.

Zalegające tu i ówdzie piasek i żwir chrzęściły pod podeszwami masywnych butów. Ciemność otwierała się przed nimi na jakieś kilkanaście metrów, a potem zamykała, jakby chcąc schwytać intruzów w pułapkę. Echo kroków, odbijające się od betonowego sklepienia, sprawiało, że odnosili

nieprzyjemne wrażenie, iż ktoś nieustannie podąża ich śladem, cierpliwie i nieubłaganie. Szli niemal w milczeniu, porozumiewając się półsłówkami i gestami. Agent wiedział, że podziemia od dawna są opuszczone i nie spotkają w nich nikogo. Przynajmniej nikogo żywego. Mimo to jego samopoczucie poprawiała świadomość, że są uzbrojeni. Dymitr i Andriej mieli pepesze, a Ulianow przy pasie czuł uspokajający ciężar kabury z pistoletem Makarowa.

Nie był człowiekiem obdarzonym specjalną wyobraźnią i teraz cieszył się z tego. Mimo to jakąś częścią swojego umysłu przeczuwał istnienie przepaści niepokoju i lęku, w którą mógłby się stoczyć, gdyby tylko sobie na to pozwolił. W tych podziemiach było coś, co nakazywało trzymać wyobraźnię na wodzy.

Spodziewał się, że lada chwila dojdą do kolejnej zamurowanej ściany. Tymczasem tunel zdawał ciągnąć się bez końca. Przeszli już dobre kilkaset metrów, kiedy dostrzegli jego kres. Ziejące czernią, przysadziste i półkoliste wejście, kojarzące się ze sztuką romańską. Rosjanin na chwilę zatrzymał się przed nim, zaskoczony. Wejście zbudowano z kamiennych bloków, co było bardzo nietypowe dla bunkrów. Hitlerowcy, wznosząc swoje monumentalne podziemia, zwykle stawiali na wytrzymałość i szybkość, z jaką można było budować fortyfikacje. Królowała przede wszystkim beton zbrojony stalą i proste, wytrzymałe konstrukcje. Kamienne bloki, zwłaszcza ozdobione swastykami, zdawały się zaprzeczeniem tej idei. Gdy podszedł jeszcze bliżej, jego zdumienie zaczęło narastać. U zwieńczenia wejścia dostrzegł wymyślne płaskorzeźby. Część z nich przedstawiała niezrozumiałe symbole, jak gdyby należące do jakiegoś zapomnianego alfabetu. W pierwszej chwili pomyślał o runach, ale to było coś jeszcze innego, jak gdyby bardziej starodawnego. Runy były na swój sposób proste, wyczuwało się w nich jasnego i czystego germańskiego ducha, a to pismo kojarzyło się w przedziwny sposób z wyuzdaniem Wschodu, być może Babilonem czy Mezopotamią... Ulianow nie posiadał wystarczającej wiedzy, by potrafić to ocenić.

Wejście przyozdabiały również motywy roślinne, wizerunki trudnych do zidentyfikowania kwiatów i liści. Z czymś podobnym jeszcze się nie zetknął. Słyszał, że wybitni niemieccy architekci czasem wzorowali się na sztuce zapomnianych już starożytnych plemion, na przykład Etrusków, a także z lubością nawiązywali do estetyki Imperium Rzymskiego. Takie rzeczy zdarzały się jednak zawsze w budowlach reprezentacyjnych, znajdujących się na powierzchni, a nie w podziemnych bunkrach, które z założenia miały

przecież służyć jedynie do obrony. Jakiż mógł być cel umieszczenia tu tych dziwacznych ozdób? Podniesienie morale żołnierzy?

Kiedy przekroczył kamienne wejście, które w nieodparty sposób kojarzyło mu się z bramą jakiegoś zakazanego pogańskiego królestwa, spostrzegł kolejne, wykonane z gładkich, prowadzące w dół schody. Brakowało w tym logiki. Jeśli bowiem korytarzem, którym poruszali się wcześniej, kursował pociąg, to jego trasa musiałaby się tu kończyć. „Być może jednak właśnie tak było - pomyślał Ulianow. - Dowożono nim do tego miejsca coś, co potem znoszono na dół. Broń, amunicję, zaopatrzenie”. W świetle latarki dostrzegł pytające spojrzenia Dymitra i Andrieja. Czekali na dalsze rozkazy.

- Idziemy dalej - zakomenderował, starając się pomimo narastającej niepewności nadać swojemu głosowi energiczne brzmienie.

Światło w jego latarce zaczęło pomału słabnąć, więc energicznie postukał w nią dłońią. Rozbłysła na nowo. Schody prowadziły wciąż w dół, a wokoło robiło się coraz zimniej. Było to niewytłumaczalne zgoła zjawisko. Owszem, pod ziemią panuje zwykle chłód, a jednak temperatura najczęściej waha się w okolicy dziesięciu stopni Celsjusza. Rosjanie odnosili wrażenie, że jest tu jeszcze zimniej, momentami kilka stopni poniżej zera, zupełnie jakby schodzili nie do zwykłych podziemi, lecz do chłodni lub kostnicy.

Zeszli kilkanaście metrów krętymi schodami, przytrzymując się stalowych, zimnych i nieprzyjemnie wilgotnych poręczy. Stopnie były strome, więc należało uważnie patrzeć pod nogi. Wtem Ulianow podniósł rękę. Wszyscy zastygli. Nasłuchiwali. Rosjaninowi zdało się, że posłyszał dochodzący skądś głuchy, przeciągły jęk, jakby wydany przez kogoś żywcem zamurowanego w ścianie. Odgłos jednak nie powtórzył się, Ulianow uznał więc, że się przesłyszał. Podziemia takie jak te z pewnością musiały być pełne niezwykłych dźwięków, jeśli tylko wsłuchać się dobrze. Zmiany temperatury, wilgotności, naprężeń materiału budowlanego, wreszcie wszechobecna wilgoć i woda - mogły być przyczyną najbardziej niesamowitych dźwięków. Zwłaszcza na tle panującej wszędzie głuchej ciszy. Martwej ciszy.

Kiedy schody się skończyły, drogę zagroziła im zbudowana ze skalnych bloków ściana. „Znów te swastyki - pomyślał Ulianow - są na każdym z kamieni”. Zdał sobie sprawę, że z jakiegoś powodu tracił charakterystyczną go

zwykle pewność siebie. Nie był już pewien co do przeznaczenia podziemi. Zdawały się kryć w sobie jakąś - przekraczającą to wszystko, z czym spotykał się do tej pory - tajemnicę. Rosjanina ogarnęło uczucie, że oto napotkał na swojej drodze nowego przeciwnika, milczącego i potężnego. Mury nie chciały zdradzić mu swoich sekretów, nie można było wydobyć ich ani groźbą, ani przekupstwem. Na moment przeniknęło go poczucie bezradności. Dotknął jednego z gładów i wzdrygnął się, czując pod palcami zimno oraz wilgoć. Były szorstkie, jakby ręcznie obrobione dłutami. Wsunął we wgłębienie palec wskazujący i z namysłem powiódł nim po kształcie swastyki.

Tak staranne, rzemieślnicze wykonanie mogło świadczyć, że w podziemiach rzeczywiście ukryto coś niezwykle cennego. Zrabowane obrazy o wielkiej wartości. Być może złoto. Jednak Niemcy nie byli przecież aż tak naiwni. Starając się ukryć wielkie skarby, zrobiliby to w miejscu możliwie najbardziej niepozornym. Ozdobne wejście, przypominające bramę, masywne bloki z odcisniętymi swastykami, tajemnicze płaskorzeźby - to wszystko ewidentnie musiałyby przykuć uwagę każdego, kto dotarłby do tego miejsca. „Więc być może jest to rodzaj pułapki” - skonstatował Ulianow.

Mógłby wezwać tu Polaków i nakazać im rozbiórkę muru, a potem wrócić ze swoimi ludźmi i przekonać się, co kryją te kazamaty. Jednak nie ufał im. Nie mógł pozwolić, by zbyt wiele osób dowiedziało się o ewentualnych znaleziskach. Nie mógł dopuścić, by Polacy sprzątnęli mu skarby sprzed nosa. W obecnej sytuacji politycznej było to mało prawdopodobne, a jednak niczego nie dało się wykluczyć. Poza tym im mniej osób zostanie bezpośrednio wplątanych w akcję, tym lepiej. W głowie powoli krystalizował mu się jeszcze jeden plan, jeszcze jedna możliwość, na pozór szalona. Ale gdyby wziąć ją pod uwagę - im mniej ludzi będzie mu towarzyszyć, tym lepiej. Kto właściwie powiedział, że nie mógłby zagrać na własny rachunek?

- Wracamy na górę - zarządził. - Trzeba wziąć materiały wybuchowe. Kamienne bloki nie będą stawiać takiego oporu jak lita betonowa ściana, więc wystarczy trochę dynamitu. Nie może tego być za dużo. Nie chcę, by wybuch był niebezpieczny dla konstrukcji. Wystarczy otwór, którym da się przejść.

Andriej i Dymitr ze zrozumieniem pokiwali głowami. Nie potrzebowali wielu słów, by nawzajem się porozumiewać. Wystarczyło, że znali się na swojej robocie.

4.

czwartek 25 kwietnia 1957 roku, godzina 11

Na zewnątrz było ciepło, lecz panowała dziwna szarość zapowiadająca nadejście burzy. Raz za razem dało się dosłyszeć jej odległe pomruki. Ptaki zamilkły. Powietrze było parne i nieruchome. Drzewa zdawały się zbierać siły przed uderzeniem wichury, która nieuchronnie musiała nadejść.

Tym razem Ulianow odesłał wszystkich ludzi, z wyjątkiem Andrieja i Dymitra. Małomówni, o lekko azjatyckiej, zdradzającej stepowe pochodzenie urodzie przypominali posągi posłuszne rozkazom dowódcy. Spełniali je bez wahania. Ulianow zastanawiał się czasem, czy posiadają w ogóle własne myśli. Być może nie. Trudno było wyczytać coś w tych kamiennych obliczach.

Bez przeszkód dotarli ponownie aż na samo dno podziemi, do tajemniczej ściany. Ulianow zdawał sobie sprawę, że po odnalezieniu i wywiezieniu wszystkiego, co cenne, trzeba będzie wejście i tunele wysadzić w powietrze, by nikt nigdy nie zdołał więcej się tam dostać. Trzeba było zatrzeć wszystkie ślady, a także usunąć świadków. Taka praca. W KGB, a wcześniej w NKWD nauczyli go nie mieć żadnych sentymentów. Błędem byłoby jednak sądzić, że był człowiekiem bezgranicznie oddanym swojej sprawie. Owszem, partia dała mu wiele. Pochodził z biednej chłopskiej rodziny. Wystarczyło wyróżnić się bezwzględnością i oddaniem, aby zrobić karierę. Perspektywa wielkiego bogactwa i życia w luksusie stanowiła jednak nie lada pokusę. Gdyby zakończył swoją misję powodzeniem, z pewnością doczekałby się awansu, a może nawet sporej finansowej gratyfikacji. To była pierwsza perspektywa. Druga niosła ze sobą znacznie więcej możliwości, choć była bardzo ryzykowna, wszystko zależało bowiem od tego, co właściwie udałoby się znaleźć w podziemiach Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego. Niemcy grabili wiele rzeczy, niektóre z nich trudno byłoby wywieźć i sprzedać. Nie mógł jednak wykluczyć, że natknie się na kosztowności, które dałoby się przeszmyglować za granicę, a następnie uciec z nimi na Zachód. Mógłby wtedy stać się prawdziwym krezusem. Dokumenty agenta KGB mogłyby umożliwić mu przekroczenie granic opanowanych przez komunizm krajów Europy Środkowej, zanim ktokolwiek na górze zorientowałby się, co się

dzieje. Potem musiałyby w jakiś sposób przedostać się ze skarbem na Zachód. Do pewnego momentu mogliby mu nawet pomagać Andriej i Dymitr, potem należałoby ich zlikwidować. Wydostanie się na Zachód, zwłaszcza z tak cennym bagażem, nie byłoby już rzeczą łatwą. Niemniej Ulianow prowadził sam ze sobą myślową grę, układając skrycie coraz to nowe plany. Wierzył ponadto, że wielka fortuna mogłaby mu pomóc w przekroczeniu granicy. Gdyby został schwytany, zapewne postawiono by go przed plutonem egzekucyjnym. Gra była jednak warta świeczki. Może nawet miliona świeczek... Wiedział coś niecoś o życiu na Zachodzie, chociażby na podstawie zdjęć i filmów. Kiedyś na terkoczącym projektorze zobaczył skonfiskowany amerykański czarno-biały film o gangsterach. Hazard, piękne kobiety, szybkie luksusowe samochody. I choć wiedział, że ten świat nie jest do końca prawdziwy i że powstał za sprawą wyobraźni reżysera - zatęsknił za nim.

Eksplozja niewielkiego ładunku wybuchowego rozsadziła zaledwie kilka kamiennych bloków. Przez wyrwę jednak dało się przejść. Tym razem Ulianow, napędzany narastającą chciwością niczym wysokooktanowym paliwem, zdecydował się wejść sam. Coraz bardziej rozbuchana wyobraźnia podsuwała mu obrazy skrzyń ze złotymi sztabami lub - jeszcze lepiej - diamentami, rubinami oraz szmaragdami, które stosunkowo łatwo mógłby spróbować przemycić przez granicę. Po drugiej stronie czekało na niego jednak zdumiewające odkrycie. Skierował snop światła przed siebie i zobaczył, że zanika on w ciemności. Nie było niczego, na czym światło mogłoby się zatrzymać. Czyżby więc kolejny, wysoki, ciągnący się bez końca tunel? Skierował latarkę w prawą, a potem w lewą stronę, spodziewając się ujrzeć ściany, jednak i tu promień światła nie odnalazł żadnego oparcia, nie wydobył z ciemności żadnego kształtu. Zdezorientowany Ulianow postąpił kilka kroków naprzód. Rozległo się zdumiewające echo, odległe i powracające jak gdyby z kilku miejsc. Podobne wrażenie mógłby odnieść, stając głuchą nocą pośrodku pogrążonego w nieprzeniknionej ciemności rzymskiego amfiteatru.

Poświecił sobie pod nogi i zorientował się, że stoi już nie na betonowej podłodze, lecz na czymś, co przypominało brukową kostkę. Nachylił się i postukał ręką o podłogę. Otaczała go głęboka czerń, a jednak akustyka pomieszczenia dobitnie świadczyła o jego ogromnych rozmiarach. Wsłuchał się w ciszę i zdało mu się, że skądś do jego uszu dobiega odległy

odgłos kapiącej wody. Zdumiony, nie bacząc na nic, postąpił naprzód, najpierw kilka, a potem kilkanaście kroków. Kierował latarkę to w jedną, to w drugą stronę, a nawet w górę, starając się wypatrzeć jakąś ścianę lub chociaż strop. Na próżno. Jak wielkie mogło być pomieszczenie, w którym się znalazł? Nie był nawet pewien, czy słowo „pomieszczenie” na pewno jest w tym przypadku najlepsze. Posuwał się ostrożnie, zdając sobie sprawę, że opanowuje go niepokój z wolna przeradzający się w lęk. Czuł się jak w koszmarnym śnie, nieswojo, spodziewając się jakiejś pułapki. Odnosił wrażenie, że grozi mu niebezpieczeństwo, a on, wraz z nikłym światłem, jakie miał do dyspozycji, jest doskonale widoczny dla każdego, kto skrywa się w ciemności. Choć, oczywiście, nikogo tam nie było. Nie mogło być. A jednak... wrażenie, że jest obserwowany nasilało się. Próbował otrząsnąć się z tych myśli, lecz niepokój narastał, sprawiając, że włosy niemal jeżyły mu się na karku. „Być może - pomyślał - cierpię na jakąś ukrytą fobię, a to niezwykle miejsce ją pobudza, muszę opanować ten bezpodstawny lęk, zanim on opanuje mnie”.

Nagle dostrzegł przed sobą jakąś krawędź. Podeszedł do niej ostrożnie i stwierdził, że znajduje się na brzegu zbiornika wypełnionego czarną jak smoła wodą. Promień światła spoczywał na gładkiej i zupełnie nieruchomej tafli przypominającej zwierciadło. Obejrzał się za siebie, bowiem nagle gdzieś z tyłu posłyszał delikatny jak tchnienie plusk wody. Zupełnie jakby ktoś niezwykle ostrożnie wypełził z jej głębi. Wyczuł na twarzy minimalny ruch powietrza. Poświecił w tamtą stronę. Nic.

Nie widział już wyrwy w murze, przez którą tu się dostał. Zapewne Andriej i Dymitr posłusznie spełniali rozkazy, czekając po drugiej stronie, a światła ich latarek nie można już było dojrzeć. Czy to możliwe? Tak, jeśli bezwiednie przesunął się w prawą lub lewą stronę i znajdował się pod kątem uniemożliwiającym dostrzeżenie nikłego blasku. To było jedyne racjonalne wyjaśnienie. Znów ten plusk, teraz jakby nieco bliżej. „Może to szczury. W podziemiach może ich być sporo” - pomyślał Ulianow. Próbował pozbyć się skojarzenia, jakie nagle rozpanoszyło się w jego wyobraźni - nagie ciało wychodzące z wody i mokra bosa stopa lub dłoń ostrożnie położona na kamieniu. To był ten dźwięk.

Powoli przestawał myśleć racjonalnie. Drżącą ręką odpiął kaburę i wydobył z niej makarowa. Odbezpieczył broń, przeładował. Nie poznawał sam siebie. Sądził, że jest twardym, pozbawionym uczucia strachu

człowiekiem. W tym miejscu jednak nie miał do czynienia z przeciwnikiem, którego mógłby pobić, zastraszyć lub zabić. Z czym miałyby walczyć? Z ciemnością? Z ogromem tego pomieszczenia? Z tym niezwykłym wrażeniem, że każdy jego krok jest pilnie śledzony, a tuż za plecami czai się niebezpieczeństwo? Tutaj musiał zmierzyć się z własnym lękiem i okazało się, że jest to przeciwnik trudniejszy, niż przypuszczał. „Mam broń, nic nie może mi się stać. Tu nikogo nie ma” - powtarzał te słowa w myślach jak mantrę.

Przemknęło mu przez głowę, że być może trafił do jakiejś ogromnej hali produkcyjnej, gdzie Niemcy wytwarzali silniki do samolotów albo nawet całe maszyny. Może nawet do rakiet V1 i V2. Czemu więc nie ma tu żadnych urządzeń ani stalowych elementów? Oczywiście... pewnie je wywieziono. Lecz czy to możliwe, by nie pozostało zgoła nic, żadnych szyn i dźwigów, konstrukcji nośnych, suwnic, łańcuchów, gigantycznych przekładni i kół zębatych...?

Odwrócił się i właśnie w tym momencie spostrzegł stojącą nieopodal postać. Zdała mu się wielka, co najmniej dwumetrowej wysokości. Zareagował błyskawicznie, zupełnie instynktownie. Trening na poligonie nie poszedł na marne. W momencie wymierzył broń i oddał w tamtą stronę kilka strzałów, nie bacząc na nic. W ciągu tych ułamków sekund nie zastanawiał się, do kogo strzela i w jaki sposób ten ktoś się tu znalazł. Echo wystrzałów powróciło do niego dopiero po kilku sekundach. Wyrzucone z broni łuski potoczyły się po kamiennej podłodze z brzdękiem i znieruchomiały. Postać stała jednak nadal, wielka, ciemna i niewzruszona jak przeznaczenie. Ostrożnie, cały czas trzymając broń w pogotowiu, podszedł bliżej. Wtedy zorientował się dopiero, że stoi przed nim kamienny posąg. Rzeczywiście miał dobrze ponad dwa metry wysokości. Ulianow czuł, że po skroniach spływa mu pot, chociaż wokoło było bardzo zimno.

- Towarzyszu! Towarzyszu Ulianow! - rozległo się wołanie.

Świecąc latarkami nadbiegali Andriej i Dymitr, zaniepokojeni strzałami. On tymczasem stał nieruchomo, ze zdumieniem wpatrując się w pokraczną kamienną rzeźbę. Przedstawiała zagadkową postać, z której ust wysuwał się długi, rozdwojony na końcu język żmii. W półotwartych ustach dawało się dostrzec ostre kły. Rzeźba posiadała kilka par rąk, a w każdej z nich trzymała ludzką czaszkę. Także jej szyję zdobił naszyjnik z ludzkich głów. Na czole

stwora widniała swastyka.

*

Ulianow surowo zakazał swoim ludziom rozprowadzania komukolwiek o tym, co zostało odkryte. Potrzebował czasu, by uporządkować myśli i przygotować plan działania. Być może mieli do czynienia z czymś w rodzaju budowli sakralnej lub świątyni. Nazistowska świątynia. Brama z płaskorzeźbami, kamienie ze swastykami, a wreszcie pokraczna rzeźba - wszystko zdawało się potwierdzać tę niezwykłą tezę. Jego wiedza w tej dziedzinie nie była wielka, a jednak, przygotowując się do misji poszukiwania skarbów na terenie Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego, musiał zapoznać się z odkryciami agentów radzieckiego wywiadu. Zdawał sobie sprawę, że coś podobnego może istnieć i istnieje rzeczywiście, na przykład w okolicach Wałbrzycha - Totenburg, ponura świątynia wzorowana na mauzoleach Mezopotamii. To właśnie tam członkowie Czarnej Zakonu SS przechodzili swój chrzest, grzebani żywcem pod ziemią na trzy dni, a następnie „wskrzeszani”, jako żywe bestie, nadludzie. Tylko człowiek, który zetknął się z takim koszmarem, sam mógł stać się prawdziwym potworem. Według wszelkiego prawdopodobieństwa w tych miejscach składano ofiary z ludzi, by później zyskać pomyślność na polu walki. Zajmowano się astrologią i okultyzmem.

Fakt odkrycia Totenburgu i wielu podobnych nazistowskich okultystycznych świątyń otoczony został najściślejszą tajemnicą. Nie wolno było o tej sprawie ani pisać, ani mówić. Być może dlatego tak niewielu ludzi zdawało sobie sprawę, że nazizm był w istocie demonicznym kultem. Jego korzenie nie tkwiły wcale w dwudziestym wieku, lecz w czasach, gdy nie istniało jeszcze nawet chrześcijaństwo. Organizacje Thule i Vril poszukiwały tajemniczej mocy, o której wspominało już w starożytnych pismach. Ulianow czytał o tym w tajnych raportach, nigdy jednak nie przeszłoby mu przez myśl, że z czymś podobnym zetknie się w trakcie wykonywania swojej misji ani że takie mauzoleum mogłoby znajdować się w podziemiach Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego.

Sam oczywiście nie wierzył w żadną religię ani tym bardziej magię. Uważał siebie za oświeconego marksistę i często lubił cytować zdanie, że religia jest opium dla ludu. W Związku Radzieckim nie było miejsca na

jakąkolwiek wiarę i zabobony. Przesady bezwzględnie tępiono. Kościoły pozamieniano na zwykłe magazyny, w których trzymano zboże, paszę i części do maszyn rolniczych. Uczni dowiedli ponad wszelką wątpliwość, że poza materią nie istnieje nic więcej. Radzieccy naukowcy udowodnili że to, co uważano za niebo, jest w rzeczywistości bezkresnym kosmosem, w którym nie ma żadnego Boga. Darwin wyjaśnił zagadkę powstania człowieka, a teoria Wielkiego Wybuchu tłumaczyła, jak powstał wszechświat. Być może dlatego tak nie znosił Polaków, od pierwszych bowiem dni dostrzegał ich przywiązanie do wiary. Drażniły go otwarte wciąż kościoły, przydrożne kapliczki, procesje ze śpiewem i drewniane krzyże na rozstajnych drogach. Kilka razy nawet kazał swoim ludziom je spalić. Najwyższy czas wyplenić tę ciemnotę i wsteczność.

W świetle dnia, gdy opuścił mroczne podziemia i stanął przed potężnym panzerwerkiem, na nowo poczuł się pewnie. Uznał, że lęk, który ogarnął go w podziemiach, musiał być przejściowym stanem, chwilową słabością. Świątynia czy nie, należało ją zbadać. Istniała możliwość, że w środku mogą znajdować się kosztowności. Przeczynał jednak, że miejsce, do którego dotarł, było jedynie przyczółkiem monumentalnej podziemnej budowli. Jej przeszukanie, choćby powierzchowne, musiało trochę potrwać. Być może kilka dni, może kilka tygodni, a może... znacznie dłużej. W tym czasie najlepiej byłoby, gdyby w okolicy nie kręcił się nikt niepowołany, trzeba będzie zatem pozostawić przy podziemiach zaufanych strażników. Polakom, oczywiście, na razie nic nie powie. Jeśli coś znajdzie - zachowa tę wiedzę dla siebie.

Wiatr uderzył gwałtownie w korony drzew. W górę wzbily się stada spłoszonego ptactwa. Niebo przecięła oślepiająco jasna błyskawica. Rozległ się ogłuszający huk, piorun widać musiał uderzyć gdzieś niedaleko. Runęły strugi deszczu. Ulianow podszedł do swoich ludzi i nieznoszącym sprzeciwu głosem przekazał im rozkazy. Słuchali w milczeniu, delikatnie przytakując. Wiedzieli, że ich dowódca oczekuje dokładnego wykonywania poleceń. Andriej miał natychmiast powrócić do podziemi i z bronią w ręku trzymać wartę przy wejściu do nazistowskiego mauzoleum. Tak, to określenie na razie będzie musiało wystarczyć, przynajmniej dopóki nie przekona się, z czym tak naprawdę ma do czynienia. Dymitr otrzymał dyspozycję, by powrócić do bazy, zabrać zapas żywności, dobre latarki i koce, a następnie dołączyć do swojego towarzysza w podziemnych czeluściach.

5.

Kursko, czwartek 25 kwietnia 1957 roku, godzina 13

Wanda z niecierpliwością wyczekiwała, aż pojawi się Władek. Spóźniał się, a to było do niego niepodobne. Spotykali się już od prawie roku, od tamtej strasznej przygody nad jeziorem, kiedy była przekonana, że utonie. Do tej pory nie mogła zrozumieć, co właściwie się stało. Na rowerze dotarła aż tam, w pobliże Gródka. Piękny las, niewielka, lecz czysta plaża. Bezchmurne niebo i spokojna tafla wody. Umiała dobrze pływać, bo od dziecka kąpała się z przyjaciółkami w Bugu, na Wołyniu, skąd cała rodzina została przesiedlona. Właściwie z dnia na dzień okazało się, że w swoich rodzinnych stronach są nieproszonymi gośćmi. Ludzi całymi rodzinami ładowano na furmanki, nieraz bez niczego, a czasem pozwalając jedynie na zabranie niewielkiego bagażu. Musieli zostawić niemal wszystko - jeden z najładniejszych domów w wiosce, wielkie pole, gdzie latem mogła bawić się w zbożu, duży sad z gruszami, smakującymi jak żadne inne na świecie.

W zamian za to wysłano ich w daleką i ciężką podróż na zachód Polski. Tutaj czekały na nich nowe domy po Niemcach, którzy uciekli. Chodziły jednak słuchy, że budynki posiadają swoją mroczną historię. Plotki głosiły, że w wielkiej wojennej zawierusze całe niemieckie rodziny zostały wymordowane, a ich ciała pochowano w bezimiennych grobach, w lesie. W ten sposób zrobiono im miejsce, by trwale ustanowić nowe granice, które miały nigdy się nie zmienić. Pogłoski te przekazywano sobie jedynie w tajemnicy, nigdy otwarcie, bowiem były to sprawy, o których nie wolno było głośno mówić. Na początku obawiali się nowego miejsca.

Ludzie, jakby na przekór wszystkiemu, podsycali jeszcze tę atmosferę, strasząc się nawzajem niestworzonymi opowieściami. Lasy miały być pełne duchów, nieraz nieprzyjaznych i zwodzących nieostrożnych wędrowców na niebezpieczne mokradła. Wzmiankowano coś o zdradzieckich światłach, płomieniach, a także tajemniczej „Płaczce”, która swoim szlochem wabi człowieka ku pewnej zgubie. Niejeden przepadł tu bez wieści. Ostrzegano więc dzieci, by nie oddalały się zbyt od domów, a nie było prawie nikogo, kto bez ważnej potrzeby wychodziłby po zmroku z domu. Gdy zapadał zmierzch, starannie ryglowano drzwi, a okiennice zamykano.

Nieopodal, w Gródku, stacjonowali polscy żołnierze. Ich też się początkowo trochę bali, okazało się jednak, że niepotrzebnie. To byli inni ludzie, nie tacy jak ci, którzy kazali im wynosić się z rodzinnych stron. Wanda nieraz spotykała polskich wojskowych, gdy czekała na kursujący dwa razy na dzień autobus do szkoły w Międzyrzeczu. Byli sympatyczni, weseli, lubili żartować, ale nigdy nie przekraczali granicy dobrego smaku. Nie byli nachalni, nie zaczepiali ich w ordynarny sposób. Kilka razy nawet samochodem podwieźli dziewczyny aż do samego Międzyrzecza, przy okazji obdzielając je sporym zapasem świetnych wojskowych słodyczy, dla rodziny. Polskie patrole rozbrajały ponemieckie miny, sprawiały, że wędrowki po lesie stawały się bezpieczniejsze. Później, kiedy działo się coś złego, posyłano po nich. Gdy w jeziorze tonął rybak, to oni brali udział w akcji ratowniczej. Teraz jednak coś zaczęło się zmieniać. Plotki głosiły, że do Gródka przyjeżdżają Rosjanie. Wanda i jej przyjaciółka Jadzia nie wiedziały, czy będzie to zmiana na dobre. Tym bardziej że wraz z żołnierzami radzieckimi pojawił się jeszcze ktoś... Mówiono o budzącym strach oddziale niebezpiecznych żołnierzy, nieznających litości bandytów, którzy posuwali się nawet do płądrowania domów i napadania na okolicznych mieszkańców.

Wtedy, będąc nad jeziorem, zdecydowała się na kąpiel. Była rozmarzona, przypominały jej się chwile spędzane nad brzegami Bugu. Skromny, zбитy z desek pomost zdawał się zapraszać do kąpieli. Najpierw zdjęła sandały i bosymi stopami dotknęła rozgrzanego słońcem piasku. Rozpuściła jasne jak łany zboża włosy, które wcześniej miała upięte w duży kok. Wokoło szumiały drzewa, z wybująłych traw rozlegało się ciche, pracowite cykanie świerszczy. Rozejrzała się uważnie - wokoło ani żywej duszy. W końcu zdecydowała się zdjąć białą, lnianą letnią sukienkę. W samej bieliźnie weszła do przyjemnie ciepłej wody, czując, jak niewielkie fale pieszczotliwie ogarniają jej ciało. Idąc za impulsem, zanurzyła się, najpierw do kolan, później po pas, a w końcu zdecydowała się popływać. Była w odległości może dwudziestu metrów od brzegu, gdy nagle poczuła szarpnięcie za kostkę. W pierwszej chwili pomyślała, że to skurcz. Jednak nie, chyba o coś zaczepiła.

Momentalnie zdała sobie sprawę z grozy swojej sytuacji. Wokół nie było nikogo, kto mógłby pośpieszyć jej na ratunek. Jak oszalała młóciła wokoło rękoma, starając się jednocześnie nie ulegać panice. Nie za bardzo jej się to udawało. Wkrótce znalazła się pod wodą i w ułamku sekundy przemknęła jej

myśl, czy to prawda, że w chwili śmierci człowiek widzi całe swoje życie. Podejrzewała, że niebawem się o tym przekona. Z trudem usiłowała utrzymać w płucach resztki powietrza. Przed oczyma tańczyły jej czarno-czerwone plamy. „Do diabła!” - pomyślała. - „To nieprawda, że śmierć przez utonięcie jest łagodna. Człowiek walczy do ostatniego przeblysku świadomości”.

Nie miała pojęcia, co się dzieje. Myśli przebiegały jej z prędkością błyskawic. Drut pozostawiony na dnie jeziora? Może stara rybacka sieć? Nie, to było coś innego, coś gorszego, coś, co trzymało ją za nogę i wciągało coraz głębiej. Przypomniła sobie, że miejscowi unikali tego miejsca. Opowiadano coś o duchu topielca, ale przecież kto przy zdrowych zmysłach wierzyłby w taką historyjkę, kto uwierzyłby w nią w blasku słońca?

Na moment udało się jej wychylić ponad powierzchnię wody. Nabrała wielki haust powietrza i wrzasnęła z całych sił: „Ratunku! Ludzie, na pomoc!”.

Wiedziała, że w pobliżu nie ma nikogo i być może są to ostatnie słowa, jakie wypowiada w życiu, gdyż nieugięta siła wciągała ją pod wodę. Nagle coś pochwyciło ją również za włosy, a potem w pasie. Próbowwała walczyć, wyrwać się. Przerazenie zaślepiło ją, nie była w stanie zidentyfikować, z czym tak naprawdę się zмага. Przez krótką chwilę zdało jej się, że dostrzega w wodzie kogoś jeszcze, jak gdyby unoszące się w wodzie martwe ciało. Czyżby już nie żyła i widziała samą siebie? Wtem poczuła, że do jej płuc na powrót wdziera się powietrze. Było to jak ponowne narodziny. Jakaś siła ciągnęła ją, holowała... pojawiła się pomoc. Na przekór rozsądkowi starała się jak najmocniej uchwycić swojego wybawcę, choć mogło mu to utrudniać poruszanie się. W końcu znalazła się na brzegu, leżąc, krztusząc się i kasłając. Nad nią stał młody, wysoki i muskularny, szczupły mężczyzna o ciemnoblonde włosach. Zdążył zrzucić z siebie koszulę, zanim wskoczył do wody. On również dyszał głośno, z wysiłku. „Nic ci nie jest? - zapytał przejęty. - Nie, nie wstawaj, leż i przewróć się na bok. Musisz wykaślać z siebie tę całą wodę, której się nałykałaś”. Okazało się, że to żołnierz z pobliskiego Gródka, który patrolował okolicę na motorze. Usłyszał wołanie o pomoc i bez namysłu pośpieszył na ratunek. Choć było to niezmiernie dziecinne, Wanda wówczas zobaczyła w nim kogoś w rodzaju rycerza z bajki. Zjawił się w samą porę, uratował ją, a potem odwiózł do domu, i to na rumaku, tyle że stalowym.

Świat Wandy zawsze miał w sobie coś z baśni. Szczególnie teraz, wyczekując na ukochanego, wysilała swoją intuicję. Wydawało jej się, że jakimś wewnętrznym okiem widzi Władka, jak na wyproszonym u Staszewskiego wysłużonym motorze jedzie po kamienistej drodze prowadzącej przez las. Uczucie miłości, jakie od pewnego czasu rozkwitało w jej sercu, sprawiało, że wnikała w jego duszę głębiej, niż mogła to uczynić w przypadku obojętnych jej ludzi. Czuła zapachy, które wyczuwać musiał jej Władek, choć jego umysł zdawał się zgoła pochłonięty zupełnie innymi sprawami. Aromaty leśnych ziół - pokrzywy, mniszka, podbiału i skrzypu. W koronach drzew słyszała niestrudzone ćwierkanie wróbli i stukanie dzięcioła. Przyroda zawsze była dla niej czymś żywym, świadomym, otaczającym człowieka swoją opieką, niczym matka.

Przez moment jak gdyby znajdowała się w umyśle Władka. Poczowała bijące od silnika ciepło i dające mu się we znaki wstrząsy, gdy motocykl podskakiwał na kamieniach i wystających korzeniach drzew. Poczowała zapach żywicy, smaru silnikowego i spalin. Wyczuła jakiś nieokreślony niepokój. Widocznie coś niezwykłego musiało się wydarzyć.

Wanda mimo swojej marzycielskiej natury była jednak w gruncie rzeczy dziewczyną mocno stąpającą po ziemi. W jej żyłach płynęła krew rolników, ludzi bardzo zżytych z codziennością. Wciąż jeszcze nieco dziecinny sposób bycia, połączony z dojrzałą kobiecą intuicją oraz codziennym pragmatyzmem, tworzył charakter trudny do podrobienia. Dość wspomnieć, że czekając na Władka, zrobiła porządne pranie, rozwieszając śnieżnobiałą pościel na sznurach przed domem, posprzątała podwórze, dokarmiła koty i przygotowała rodzinny przysmak, kalabos, przypominający bigos, w którym kapusta została zastąpiona przez strączkową fasolę.

Wreszcie posłyszała odgłos pracującego silnika, a za chwilę motocykl z przyczepą wjechał na podwórze. Cieszyła się, że rodziców nie ma akurat w domu, mieli chwilę jedynie dla siebie. Podbiegła do Władka i pocałowała go na powitanie w policzek, chociaż miała nieodparte wrażenie, że usta chłopaka niecierpliwie szukają jej ust. Mimo to odsunęła go łagodnie od siebie i ujęła jego dłonie w swoje własne. Takie bowiem miała wyobrażenie o sztuce uwodzenia mężczyzn - nie można było ich do siebie dopuścić zbyt blisko. Płynęło ono głównie z angielskich romansów, których akcja nieodmiennie rozgrywała się w dalekich Indiach, a które dziewczyna skrycie czytywała z wypiekami na twarzy.

Usiedli najpierw na ławce przed domem, zbitej przez jej ojca, i delektowali się ciepłymi promieniami słońca padającymi na młode twarze. Czas jakby się zatrzymał, cały świat znieruchomiał w idealnej równowadze. Gdzieś w trawie cykały świerszcze. Zdarzają się takie momenty w życiu, które naszym zdaniem powinny trwać wiecznie. Niestety, los często ma w tej sprawie odmienne zdanie.

Potem Wanda wstała i przyniosła do picia zimny kompot z wiśni. Wracając, spostrzegła, że Władek jak zwykle ma broń przy pasie.

- Po co ci to? - spytała z przekorą, stawiając wypełnione czerwonym płynem szklanki na stole. Mimochodem zauważyła, jak wzrok chłopaka prześlizguje się po jej figurze. Zarumieniła się, ale było to miłe uczucie.

- Czasy są niepewne, a w lesie niebezpiecznie - pół żartem, pół serio odparł żołnierz.

- A co tu się może stać? - zdziwiła się dziewczyna. - Można iść kilometrami przez las i nie napotkać żywej duszy. Sąsiedzi są przyjaźni. Wszyscy się znają. Nie to, co w miastach.

- Pojawił się ktoś nowy... - ostrożnie zaczął Władek. - I teraz, z tego, co wiem, trzeba bardziej na siebie uważać. Szczególnie kobiety powinny być ostrożne. To Rosjanie. Większość z nich jest w porządku, wielu to równe chłopaki. Ale są też i inni, specjalny oddział, który przyjechał tutaj w jakimś dziwnym celu.

- Pewnie po to, żeby pilnować naszego bezpieczeństwa. - Dziewczyna upiła łyk kompotu. - I wspierać was, polskich żołnierzy.

Władek uśmiechnął się pod nosem. Uwielbiał Wandę, właściwie czuł do niej nawet coś więcej. Trudno mu było jednak wytłumaczyć dziewczynie sprawy, których, szczerze mówiąc, sam do końca nie rozumiał. Wiedza, jaką posiadał, nie była rozległa. Jego znajomość wielkiej polityki ograniczała się do tej, jaką mógł zaczerpnąć z propagandowych kronik filmowych, jakie czasem odtwarzano w oficerskiej kantine na ekranie z białego płótna. Wynikało z nich, że Polska wprawdzie odzyskała wolność po wojnie światowej, a jednak nadal istnieli wrogowie mogący dybać na jej suwerenność. Dwa lata temu, w maju, kraj stał się częścią Układu Warszawskiego. Na terenie Polski stacjonować miały zaprzyjaźnione wojska radzieckie, ponoć w odpowiedzi na zagrożenia płynące z Zachodu i

włączenie Niemiec Zachodnich do NATO. Związek Radziecki musiał bronić się przed możliwym atakiem. Stany Zjednoczone Ameryki nieustannie szykowały się do wojny, doskonaliąc straszną broń masowej zagłady. Między starszymi rangą polskimi wojskowymi mówiło się coś pokątnie o złożoności całej sytuacji. Wspominało się po kryjomu o potężnych bunkrach, które jakoby miały powstawać na Dolnym Śląsku, wyposażonych w broń atomową, wspominało się o dziesiątkach głowic nuklearnych ukrytych w potężnych schronach i silosach startowych. Ponoć właśnie stamtąd miało ruszyć główne uderzenie odwetowe na kraje NATO.

Ile było prawdy w tych plotkach - nie wiedział. Przeczuwał jednak, że nie mówi im się wszystkiego. Sama obecność obcych wojsk na terytorium Rzeczypospolitej wydawała mu się nieco podejrzana i na wyrost. Z lekcji historii wiedział dobrze, że zwykle stacjonowanie obcego wojska na terenie państwa, choćby i zaprzyjaźnionego, stanowi naruszenie jego suwerenności. Oznacza poddaństwo i kolonizację. Nie jemu jednak było oceniać decyzje wielkich tego świata. Miał na głowie ważniejsze sprawy - Wandę, o której myślał coraz bardziej poważnie i której zamierzał się niebawem oświadczyć, oraz problem podziemi, do których niepowstrzymanie wdzierał się Ulianow. Nie chciał także zdradzać dziewczynie zbyt wiele. Nie dlatego, że jej nie ufał. Chciał przestrzegać naturalnej dla wojskowych tajemnicy, lecz przede wszystkim troszczył się o jej bezpieczeństwo. To, że nie do końca rozumiał sytuację, w jakiej znalazła się Polska, nie oznaczało, że nie budziła ona w nim podejrzeń i niepokoju.

- Jest wiele przyjemniejszych rzeczy, o których można rozmawiać - zauważył z uśmiechem - ale uważam, że powinnaś bardziej na siebie uważać. Nie chodzić nigdzie sama, zwłaszcza po zmroku.

- Straszysz mnie. - Dała mu prztyczka w nos.

Władek roześmiał się. Coś było w atmosferze tego ogrodu, tego lata, że łatwo wybuchalo się głośnym śmiechem.

- Nie straszę. W końcu mówią, że co ma być, to będzie.

- Wierzysz w przeznaczenie? - Wanda zmieniła temat.

- Sam nie wiem. Jestem żołnierzem, a nie filozofem. Ale mówią, że niektóre rzeczy są już postanowione, zanim się staną. Na długo wcześniej. Że nie sposób ich uniknąć.

Miał, oczywiście, na myśli swoją znajomość z Wandą, a motyw przeznaczenia wydał mu się całkiem dobry do rozpoczęcia nieco poważniejszej rozmowy o łączącym ich uczuciu. Jednak Wanda nagle zerwała się z miejsca.

- Poczekaj.

Wróciła z wnętrza domu, niosąc niewielką drewnianą skrzynkę.

- Co to takiego? - zainteresował się Włodek.

- Mama przywiozła to ze sobą, ponoć należało do jakiejś starej Cyganki.

- To na Wołyniu też byli Cyganie? - zdziwił się Włodek, który już nieco poznał historię dziewczyny.

- A tak, są wszędzie. Pojawiają się i znikają jak duchy. Mówiło się, że jednego dnia są na polanie, a potem już ich nie ma. Czasem nie widać nawet śladów kół należących do ich wozów, zupełnie jakby rozpułynęli się w powietrzu albo w porannej mgle.

Włodek przyjrzał się uważnie tajemniczemu pudełku. Wyglądało na stare i w pewien sposób kosztowne. Drewniane wieko inkrustowano czymś na kształt masy perłowej i ozdobiono wizerunkiem jakiegoś potwora, tak przynajmniej ocenił to wówczas polski żołnierz. Była to kobieta posiadająca kilka par rąk, w każdej z nich trzymała ludzką czaszkę. Jej język był nadnaturalnie długi i rozdwojony na końcu jak u jadowitej żmii. Z jej ust sterczały kły, sprawiające wrażenie niezwykle ostrych, a wydatne piersi, całkowicie obnażone, zdawały się sugerować jakąś nieokiełznaną i perwersyjną zmysłowość. Nad jej głowią unosił się wąski płomień ognia.

- Co to za bohomas? - Zaśmiał się, choć widniejący na pudełku wizerunek nieco zbił go z tropu. Było w nim coś hipnotyzującego, co przykuwało uwagę. Zupełnie jakby wyczuwał wielość znaczeń kryjących się pod tą zawilą symboliką.

- Pojęcia nie mam - odparła Wanda, otwierając skrzynkę - ale w środku znajduje się coś ciekawego. Przypomina to karty do gry, a jednak nie są to zwykłe karty. Są większe, mają rozmiar dłoni dorosłego mężczyzny. Widać na nich rysunki, napisy i części ludzkiego ciała.

Zdumiony Włodek wyciągnął z pudełka jedną z kart. Czegoś podobnego jeszcze nie widział. Z pewnością nie były to karty do gry, a jeśli tak, to gra ta

musiałyby być wytworem jakiegoś wynaturzonego umysłu, bowiem obrazy przedstawiały szkice anatomiczne różnych części ciała, również tych najbardziej intymnych. Na karcie, którą trzymał Władek, widać było profil głowy, dokładny rysunek stopy i wewnętrzną stronę dłoni wraz z przebiegającymi na niej liniami.

- Podobno jest to narzędzie do jakiejś dziwnej odmiany chiromancji, którą uprawiali starzy Cyganie. - Wanda odruchowo ściszyła głos do szeptu, jakby mówiła o czymś tajnym i zakazanym. - Dziś już mało kto wie, co mogły oznaczać te szkice. Mówi się, że niektórzy Cyganie potrafili przewidzieć los człowieka, jedynie na niego spoglądając. Nazywali to, nie wiedzieć czemu, „wiedzą królów” lub „nauką z gwiazd”. Uważali, że przyszłość człowieka jest zapisana w jego własnym ciele, trzeba tylko potrafić odczytać ten przekaz.

- Zaraz, zaraz... - Zaśmiał się szczerze. - Nie wierzę, żeby można było poznać przyszłość człowieka na podstawie kształtu i budowy jego stopy albo rysów twarzy... nie wspominając już o innych częściach ciała. To bajki.

- Może i tak - odparła z pewnym zażenowaniem Wanda. - Ale pewnie słyszałeś kiedyś o nadczłowieku?

- Nadczłowiek... - Władek spochmurniał. - Tak, obito mi się to o uszy. Chodzi o te hitlerowskie brednie o nowej rasie. Rasie panów. Jasne włosy i niebieskie oczy... tak jak moje, choć przyznaję, że jestem jedynie ciemnym blondynem, więc na miano nadczłowieka pewnie nie zasługuję.

- Myślałam trochę o tym - ostrożnie stwierdziła Wanda. - Może ta hitlerowska nauka ma coś wspólnego z tym, w co wierzyli starzy Cyganie?

- To zupełnie niemożliwe - stwierdził Władek. - Nawet ja wiem, że Cyganie byli w hitlerowskich Niemczech wyjęci spod prawa i prześladowani.

- Może właśnie dlatego - zauważyła Wanda - że wiedzieli zbyt dużo, że znali jakiś klucz do tajemnicy. Postanowiono więc ich wymordować. Wszystkie pokolenia, ponieważ zawsze ktoś, nawet ktoś bardzo młody, mógł posiadać tę wiedzę.

- Myślę, że ponosi cię wyobraźnia. - Ta rozmowa z niejasnych przyczyn zaczynała niepokoić żołnierza, choć starał się tego po sobie nie pokazać. - Nie powinnaś rozmyślać o takich sprawach.

Wanda w milczeniu skinęła głową, zabrała wyjętą kartę i schowała ją z powrotem do pudełka. Zrobiło jej się głupio. Wyszła na nawiedzoną wariatkę w oczach mężczyzny, na którym jej zależało. Inne dziewczyny w jej wieku na pewno potrafiłyby poprowadzić rozmowę w znacznie bardziej ciekawy sposób. Dlaczego w ogóle wyjęła to przeklęte pudełko? Karty miały w sobie coś magnetycznego, co przyciągało ją do siebie. Nie potrafiła zrozumieć większości znaczeń, a jednak zawsze, kiedy brała pudełko w dłonie, wydawało jej się, że dotyka jakiegoś żywego stworzenia. Czuła lekkie ciepło bijące ze skrzynki. Tak, to w pewnym stopniu dziwne karty zmusiły ją do tego, by je wyciągnęła, przywołały ją do siebie. Teraz, kiedy trzymała je w rękach, znów poczuła ów niemy nakaz i słowa jakby same padły z jej ust.

- Umiem wróżyć z ręki - powiedziała. - Powrózę ci, jeśli chcesz.

Władek już otwierał usta, aby odmówić i obrócić całą sprawę w żart, jednak możliwość, że dziewczyna ujmie jego dłoń we własne, wydała mu się nader przyjemna. W dodatku przez głowę przemknęła mu jeszcze jedna myśl. Może ta cała rozmowa o przewidywaniu przyszłości jest zwykłą przykrywką, a dość nieśmiała dziewczyna usiłuje mu coś powiedzieć, posługując się wróżbą jako pretekstem.

- Zaczynaj więc. - Wyszczrzył białe jak śnieg zęby w szerokim uśmiechu. - Zobaczymy, co potrafisz.

Wanda kłamała i wiedziała o tym. Nigdy nie potrafiła wróżyć. Kiedyś wygłupiały się z przyjaciółkami, udawały że wróżą, wiedziała, gdzie przebiegają linie serca, głowy, losu, a nawet znała położenie wzgórek Merkurego, ale nic ponadto. Lecz coś nakazało jej złożyć tę propozycję, coś silniejszego niż ona sama. Dużo silniejszego. Odniosła niezwykle wrażenie, że jej dłonie przeobraziły się, stały się stare i doświadczone. Przebiegłe i zręczne. Wyczuła czyjąś obecność, jakby tuż za jej plecami stał jeszcze ktoś trzeci. Szybko spojrzała na Władka. Czekał. Nie spostrzegł niczego. Ze zdumieniem obserwowała, jak jej własne dłonie ujmują rękę mężczyzny, badają łokieć i posuwają się w kierunku dłoni. Kość łokciowa i promieniowa - dłonie oceniły ich ukształtowanie i wyciągnęły wnioski. To była stara, bardzo stara wiedza. W dziesiątym roku życia mężczyzna stracił wuję, do którego był bardzo przywiązany. Wuj zginął podczas pracy w polu. Kości nadgarstka i śródreżca. Człowiek silnego charakteru, uzdolniony muzycznie, a jednak nierealizujący się w tym kierunku. Jeśli przekroczy pięćdziesiąty rok

życia, zapadnie na przewlekłą chorobę żołądka. Kostki śródrezcza i palców. Jej dłoń dotykała ich, oceniała grubość i rozmieszczenie. Wreszcie linie na dłoni, odpowiadające różnym żywiolom i planetom. Tak, jest w nich zawarte ostrzeżenie, które pojawiło się całkiem niedawno, na skutek niespotykanej zmiany losu. Zły człowiek, wojskowy, przekroczył niebezpieczną granicę. Kieruje nim chciwość i żądza zysku. Nie cofnie się przed niczym, snuje podstępne plany. Nie wie, że jest tylko narzędziem. Ale czym? Coś strasznego kryje się w tej przepowiedni. Zagłada, strach, śmierć. Życie Władka niebawem spocznie na szali, można jeszcze uciec, porzucając wszystko, potem jednak będzie już za późno. Wielkie rozstrzygnięcie. Wielka walka. Echa zdarzeń sięgną w daleką przyszłość. Zło zmierzy się z dobrem. Wynik walki nie jest przesądzony. Zbyt wielkie siły zostały zaangażowane w to, co ma się zdarzyć już niebawem. Coś kryje się pod ziemią...

- Co jest?

Poczuła, jak Władek łapie ją za ramię. Kręciło jej się w głowie. Chyba musiała na chwilę zasłabnąć. Było jej dziwnie zimno.

- To nic - wyszeptała. - Zabierz ode mnie to pudło.

Władek siedział jeszcze z Wandą dobre pół godziny. Dziewczyna doszła do siebie, lecz nadal wydawała się nieco zamyślona i nieobecna. Stare cygańskie karty spoczywały w głębi domu.

- Czy ja... coś mówiłam? - zapytała w końcu. - Wtedy, gdy poczułam się źle?

Władek zawahał się. Nie chciał jej niepokoić.

- Nie - skłamał. - Po prostu na chwilę zemdlałaś. Gdybym nie złapał cię w porę, nabiłabyś sobie tęgiego guza.

W końcu postanowili się rozstać. Władek musiał wracać do bazy w Kęszycy Leśnej, a rodzice Wandy mieli zjawić się lada chwila.

- Uważaj na siebie - rzucił Władek, pieszczotliwym ruchem odgarnął długie włosy Wandy i pocałował ją w usta. Miał lekkie wyrzuty sumienia, że tak perfidnie wykorzystał oszołomienie dziewczyny.

- Nie - odparła Wanda, szeroko otwierając oczy. - To ty uważaj na siebie. Aha, jeszcze jedno... Wiedziałeś, że Cyganie przybyli z Indii?

Władek zaskoczony pokręcił głową.

- Nie, nie wiedziałem. To trochę niezwykle...

- Wyczytałam to w jednej... ze swoich książek. - Wanda lekko się zarumieniła.

- Książki nie zawsze mówią prawdę - odparł Władek - a ty nie powinnaś wierzyć we wszystko co przeczytasz. Muszę wracać... - Uśmiechnął się, wskoczył na motocykl, energicznie odpalił silnik i opuścił podwórze, wyjeżdżając na kamienistą drogę.

Jadąc, myślał o tym, co się zdarzyło. „Coś kryje się pod ziemią” - dziwne słowa, które padły z ust Wandy tuż przed omdleniem. Ale co? Skarby? Miny? Bunkry? W dodatku te zamknięte w tajemniczym pudełku karty. Nadczłowiek... części ciała... anatomia... Czy to wszystko nie łączyło się ze sobą w jakąś potworną całość? Przecież hitlerowcy dokonywali odrażających pseudonaukowych eksperymentów, mających na celu stworzenie przedstawicieli nowej rasy, rasy panów. Dokładne szkice stóp, dłoni i twarzy zdawały się tańczyć mu przed oczyma jakiś obłąkany taniec. Przeznaczenie człowieka jest zapisane w jego ciele... Skąd wzięła się ta dziwna idea, ten złowieszczy pomysł? Do tej pory sądził, że był to jedynie wymysł garstki obłąkańców towarzyszących wodzowi Trzeciej Rzeszy. Ale czy na pewno?

Ostatnie słowa Wandy dźwięczały mu w uszach, choć przecież zbagatelizował je. „Czy wiesz, że Cyganie przybyli z Indii?”. Odnosił teraz wrażenie, że ta informacja może mieć jakieś znaczenie oraz że będąc u Wandy, dostrzegł coś ważnego, coś, co już wcześniej gdzieś widział, skądś znał, a jednak w żaden sposób nie mógł uświadomić sobie, co to mogło być.

6.

Za oknami już zupełnie ciemno. Może gdyby nie gęsty las, dałoby się dostrzec jakieś odległe światło lampy, dobiegające aż tutaj z Kęszycy. Nic jednak nie chce przynieść otuchy. Nawet gwiazdy świecą jakby słabiej, wydają się odleglejsze, wiatr zamarł, a las pełen jest niepokojących, przypominających ciche szepty szelestów. Alek jest niespokojny, łańcuch podzwania raz po raz, lecz pies nie szczeka. To jeszcze bardziej niepokoi majora. Zwierzęta przeczuwają, kiedy zbliża się coś złego.

Major siedział przy biurku i zawzięcie pisał tak długo, aż zmęczyły się oczy i rozboleła dłoń. Jak to wiele razy bywało, wraz z nadciągającą nocą nadchodzą ponure myśli. Nie jest pisarzem, nie umie dobrze formułować swoich myśli, wyrazić przypuszczeń, nadać ostrzeżeniom autentyczności. Nikt nie zechce czytać tych lakonicznych zapisków, równoważników zdań zappełniających całe długie strony. Może gdyby był młody, potraktowano by go poważnie; gdyby nadal pozostał prawdziwym wojskowym, z przysługującą mu emeryturą, ktoś zechciałby go wysłuchać. Jest jednak człowiekiem zdegradowanym, nic niewartym dla współczesnego świata. Listonosz co miesiąc przyjeżdża na rowerze i przywozi mu skromną rentę, która wydaje się ponurym żartem. Chodzi w starych, znoszonych ubraniach. Czyż nie mówi się, że bieda chodzi w parze z głupotą? Musieli wiedzieć, że w ten sposób najłatwiej będzie pozbawić go wiarygodności.

W latach dziewięćdziesiątych, kiedy - jak sądził - wszystko się zmieniło, starał się o przywrócenie wojskowych dystynkcji i emerytury. Na próżno. Ponoć zaginęły dokumenty związane z jego osobą. Wierzył, że dzięki temu mógłby coś zdziałać, może nawiązać kontakty z miejscową prasą, założyć jakieś koło pasjonatów, a nawet - jak snuł to czasem w swoich fantazjach - stworzyć coś na kształt tajnego stowarzyszenia zajmującego się strzeżeniem okolicznych mieszkańców przed tym, co kryło się pod ziemią. Przecież na świecie istniały takie organizacje, a on, jako przeszkolony wojskowy, mógłby zaprowadzić w tych szeregach odpowiednią dyscyplinę i karność. Strażnicy mieliby za zadanie przemierzać las, szczególnie w najbardziej niebezpiecznych rejonach, ostrzegać turystów i bronić miejscową ludność przed niebezpieczeństwem. A nade wszystko - czuwać. Ponieważ sprawa nie została załatwiona do końca, tego był pewien.

Kilka dni temu wyruszył w las. Przeszedł przez Kęszycę, kierując się w stronę Kęszycy Leśnej, tam, gdzie niegdyś znajdowała się baza wojskowa. Jego baza. Zgodnie ze swoim zwyczajem zoczył z utartej trasy, prowadzącej szerokim traktem utorowanym przez ciężkie maszyny wywożące z lasu drewno. Wszedł między drzewa, kierując się nieomylną intuicją i wewnętrznym kompasem. Są rzeczy, których się nie zapomina. Jego umysł nieświadomie rejestrował położenie słońca, wyszukiwał charakterystyczne punkty orientacyjne, zapamiętywał trasę. Mimo to szedł ostrożnie, rozglądając się na boki. W tych lasach łatwo się zgubić. Zadziwiająco łatwo.

Przedzierając się przez zarośla, wymijając obrosłe mchem buki, wyszedł wreszcie na polanę, na której znajdował się jeden z dawnych panzerwerków. Z niepokojem spostrzegł zaparkowany terenowy jeep. Posłyszał stłumione ludzkie głosy. Łagodnym stokiem wszedł na przysypaną ziemią i porośniętą trawą kopułę. Instynktownie zachowywał ostrożność. Postanowił położyć się na ziemi i podczołgać do krawędzi, by stamtąd ogarnąć wzrokiem teren przed wejściem do bunkra.

To tutaj. Tu właśnie znajdowało się jedno z wejść do podziemnego miasta. Sporą część korytarzy wysadzono za pomocą dynamitu, a zatrzymana woda z padających przez lata deszczy zalała część pomieszczeń, tworząc trudne do pokonania bariery. Jeśli przybyli turyści lub nawet zwykli hobbyści wycofają się wkrótce, to skończy się na zdjęciach, być może uda im się z wielkim wysiłkiem odwalić kilka gładów i na tym koniec. Podziemia zazdrośnie kryją swoje sekrety. Mimo to nie powinni się tu kręcić. Trudno powiedzieć, jak cienka może być granica, której nie wolno przekraczać.

Stojący nieopodal zielonoszary jeep wyglądał profesjonalnie. Trzeba mieć sporo pieniędzy, by sprawić sobie takie auto. Nikogo nie było widać, zapewne więc udało im się wejść do środka. Ale jak? Przecież wejście do bunkra zostało zapieczętowane, zaspawane stalowymi blachami i sztabami... Musieli użyć jakiegoś dobrego sprzętu, zwykła piła do metalu by nie wystarczała, chyba że chciało się spędzić na pracy wiele dni.

Już miał zejść na dół i przyłapać plądrujących podziemia intruzów, ostrzec ich przed niebezpieczeństwami, jakie mogą im grozić przy tego typu eskapadach. Oczywiście nie przed tymi prawdziwymi, bo wtedy zostałby uznany za nieszkodliwego wariata i zlekceważony. Lecz podziemia nadal

były groźne, również w tym najbardziej potocznym znaczeniu. Znał budowę panzerwerków, wiedział, że już za drzwiami wejściowymi często znajdowała się stalowa zapadnia, fałszywa podłoga, a każdy, kto na niej stanął, mógł wpaść do betonowego pomieszczenia, którego podłoga wyłożona była stalowymi ostrzami. Oczywiście po wojnie wiele z tego rodzaju pułapek unieszkodliwiono, lecz nie wszystkie i nie wszędzie.

Nagle posłyszał rozmowę. Ktoś wychodził z bunkra. Postanowił na razie nie zdradzać swojej obecności i pozostać w ukryciu. Żołnierski instynkt nakazał mu najpierw rozpoznać, z kim może mieć do czynienia. Z wnętrza betonowego bunkra wyłoniły się cztery osoby. Trzech mężczyzn i kobieta. Każdy z nich dźwigał sprzęt, jakieś urządzenia elektroniczne. Taszczyli też coś, co wyglądało na akumulator, nożyce hydrauliczne i mechaniczną piłę tarczową. Nie było to z pewnością standardowe wyposażenie przeciętnego turysty. Cała czwórka miała na sobie wojskowe stroje maskujące, major dostrzegł też z zaskoczeniem, że posiadają przy sobie również broń. Długie wojskowe szturmowe noże tkwiły w przymocowanych do pasów pochwach. Każdy z nich miał również przypiętą kaburę, a w niej dało się dostrzec pistolet. Istniała oczywiście możliwość, że ma do czynienia z grupą rekonstruktorów, a broń to jedynie rekwizyty. Poza tym świadkiem takiej inscenizacji powinna chyba być jakaś kamera, tej nie mógł jednak nigdzie dostrzec.

Nagle major posłyszał cichą wymianę zdań. Rozmawiali po rosyjsku. Przypadł jeszcze bardziej do ziemi, wietrząc jakąś tajemnicę. Kimkolwiek byli przybysze, z pewnością nie potrzebowali niewygodnych świadków. Obserwował ich z ukrycia, jak zmierzają do jeepa sprężystym krokiem, w którym wprawne oko Staszewskiego potrafiło dostrzec efekt wojskowego szkolenia. Szybko spakowali sprzęt do samochodu. Wyglądało to tak, jakby każdy z nich miał przydzielone własne zadanie, zakres czynności, które tylko on powinien sprawnie wykonać. Z pewnością nie byli to amatorzy, działali w sposób zorganizowany. Po chwili samochód odjechał, zostawiając za sobą chmurę kurzu i zapach spalin w powietrzu. Major leżał jeszcze chwilę w trawie, ciesząc się, że go nie zauważyli, po czym wycofał się ostrożnie w stronę świerkowego lasu.

Stare sprawy mogły znów obudzić czyjeś zainteresowanie. Ktoś dotarł do dokumentów. Możliwe, że czekano długo, rozważano wszystkie za i przeciw. Jeśli jednak ten ktoś wie, co robi, musi mieć w tym jakiś plan. Po tych

wywiadowcach zjawia się następni, wyposażeni we wszystko co potrzeba. Najgorsze, że może im się udać.

*

Nagle z zamyślenia wyrywa go przeciągły skowyt dobiegający z głębi lasu. Zrywa się z krzesła i ostrożnie podchodzi do okna. Uchyła jedno z jego skrzydeł, pozwalając, by delikatne światło księżycy szerszą strugą wlało się do wnętrza i nadało meblom bardziej wyraziste kształty. Wyteża wzrok, wbija go w czarne kontury świerków i sosen. Znów skowyt. Być może jakiś pies, a jednak... coś przerażająco ludzkiego jest w tym dźwięku. Jakaś rozpacz i skarga. Major czuje, że kark i ręce pokrywa mu gęsia skórka. Wycie cichnie, a jednak w lesie ktoś jest. Trzaska złamana gałązka. Najpierw gdzieś w oddali, lecz po chwili dużo bliżej. Na podwórzu dzwoni łańcuch, szura, trąc o drewno. To Alek umyka do budy, zwierzęcy instynkt każe mu się ukryć. Coś pojawiło się w lesie, znajduje się blisko domu.

Major zastanawia się, co robić. Czuje się nagle bardzo stary i niedołężny. Opada go zwątpienie we własne siły. Wie jednak, że nie może poddać się temu paraliżującemu uczuciu. Stara się odpędzić od siebie to straszne przypuszczenie, które pojawia się w jego umyśle, że może już być za późno. Dziwni przybysze plądrujący bunkry mogli posunąć się za daleko. Może już być na wolności.

Zastanawia się, co począć dalej. Mógłby wyjść przed dom, z visem w jednej ręce i latarką w drugiej, stawić czoło niebezpieczeństwu. Wie, że nie będzie miał szans. Poległby jednak godnie, w walce, jak na polskiego żołnierza przystało. Bo przecież żołnierzem jest się w głębi serca. Nie liczą się odebrane dystynkcje. Nie liczą się zarekwirowane dokumenty. Nie liczy się pogarda i zapomnienie, którą otaczano go przez te wszystkie lata.

Jest już prawie gotów, kiedy świta mu w głowie pewna myśl: „Jeszcze nie czas. Jeszcze nie teraz. Być może ona rzeczywiście tam jest i właśnie tego chce”. Zapala światło, zbiega po schodach, sprawdza, czy drzwi frontowe są dobrze zamknięte. Przysuwa do nich ciężką szafkę. Równie dobrze mógłby stanąć naprzeciw burzy morskiej uzbrojony w wykałaczkę, a jednak ten symboliczny gest poprawia nieco jego samopoczucie. Wdrapuje się z powrotem na górę, czując, że serce łomocze mu w piersi. Czy to nie jest w

pewien sposób zabawne, że tak wiele zależy od jednego, starego serca?

Zapala lampkę przy biurku i, nie bacząc na zmęczenie, zaczyna gorączkowo pisać. Ludzie, fakty, zdarzenia. Trzeba notować. Kolejny trzask za oknem. Już bardzo blisko. Pomarszczona, lekko drżąca dłoń przesuwa się, trzymając wieczne pióro. Papier zapełniają kolejne litery, słowa, zdania. W tym pisaniu jest jakaś prawdziwa, potężna magia. Magia historii, która musi zostać opowiedziana do końca. Gdy stawia kolejne słowa, znika powoli słaby starzec, a pojawia się znów pełen sił i werwy major Staszewski. Duchy przeszłości zabierają go z wolna do siebie. Gdyby ktokolwiek znajdował się wówczas w tym pokoju, odniósłby zdumiewające wrażenie, że sylwetka majora staje się mniej wyraźna i jakby nieobecna. Major przez pewien czas pozostaje bezpieczny, ponieważ w starym domu jest jedynie jego piszące ciało, a on sam chwilowo przebywa zupełnie gdzieś indziej.

7.

Okolice Kęszycy Leśnej, czwartek 25 kwietnia 1957 roku, godzina 23.30

Andriej z rosnącą niecierpliwością wyczekiwał powrotu swojego towarzysza. Dziwne podziemia działały mu na nerwy. W życiu widział wiele bunkrów, ukrytych korytarzy, a jednak te wydawały się inne niż wszystkie. Czuwał przy samym wejściu do tajemniczego rozległego pomieszczenia, zięjącego nieprzeniknioną ciemnością, wilgocią i chłodem. Marzył coraz bardziej i nasłuchiwał czujnie. Do jego uszu dobiegał skądś monotony odgłos kapiącej wody. Kilka razy gdzieś z głębokich otchłani dotarł przytłumiony szczeł, jakby uruchamiała się jakaś wielka maszyna. Światło latarki przygasało z każdą chwilą, lada moment bateria całkiem się wyczerpie. Popukał w nią dłonią, rozbłysła na nowo, lecz świeciła już zdecydowanie słabiej. „Gdzie, u diabła, jest Dymitr? Dlaczego powrót zabiera mu aż tyle czasu?”. Ciemność niemal napierała na niego, spowijając ciasnym kokonem.

W jego myśli z wolna zaczęła wkradać się podejrzliwość. KGB było organizacją, w której wielu ludzi prowadziło swoją własną grę, szczególnie tych pełniących ważniejsze funkcje. To było coś w rodzaju państwa w państwie, rządzącego się własnymi, bezwzględными regułami gry. Właściwie cała armia radziecka funkcjonowała w ten sposób. Los zwykłego żołnierza nie miał w niej żadnego znaczenia. W czasie wojny dowódcy prześcigali się, współzawodniczyli w wyścigu o honory i bogactwa. Oficjalnie mówiło się o walce z faszyzmem, w istocie chodziło o zagarnięcie jak największych połaci ziemi i wyprzedzenie aliantów. Wystarczyło wspomnieć Berlińską Strategiczną Operację Ofensywną, czyli wielką bitwę o Berlin. Andriej nie brał w niej bezpośredniego udziału, ale jako młody agent NKWD zabezpieczał tyły i tropił zdrajców. Również tych spośród Polaków, mających coś wspólnego ze współpracującą z Londynem Armią Krajową. Wiedział jednak sporo. Dwa fronty radzieckie zaatakowały Berlin, miażdżąc bezlitośnie zuchwały, lecz jednocześnie straceńczy zapal broniących miasta młodzików z Hitlerjugend i ochotników Volkssturmu. Na gruzach dogorywającego miasta spotkały się dwie armie, Front Białoruski Żukowa i Front Ukraiński pod dowództwem Koniewa. Noc była jasna jak dzień od wybuchających bomb, granatów i rakiet. Obydwaj dowódcy

współzawodniczyli ze sobą zaciekle, spodziewając się zagarnąć bajeczne skarby Trzeciej Rzeszy, największe bogactwa jakie kiedykolwiek zgromadziła ludzkość. Kiedy opór niemiecki został przełamany, współzawodnictwo przerodziło się w otwartą walkę między samymi Rosjanami, padły strzały i zabici po obu stronach. Rosjanie grabili wszystko, co popadło. Przerażeni żołnierze niemieccy uciekali w panice, chcąc poddać się aliantom, lecz nie im.

Andriejowi imponował taki sposób działania. Podobała mu się bezwzględna siła. Strach i terror to najlepsze narzędzia kontrolowania ludzi, również swoich własnych. Teraz jednak zaświtała mu w głowie myśl, że i sam mógłby paść ofiarą takiej gry, stać się jednym z pionków przemielonych przez bezwzględne mechanizmy KGB. Po raz pierwszy przeszło mu przez myśl, że jest jedynie narzędziem w rękach Ulianowa.

„Kto wie, może Dymitra nie ma tak długo, bo dowódca przekazuje mu jakieś sekretne rozkazy? Do diabła z tym wszystkim - pomyślał. - W takich sprawach korzyść odnoszą jedynie oficerowie, inni zaś sprowadzeni zostają do roli mięsa armatniego”.

Chuchnął w dłonie. Z namaszczeniem skręcił i zapalił papierosa. Dobry radziecki tytoń. Zaczął rozmyślać, co też może kryć się w podziemiach. Ulianow pozostawił go na straży, przykazał, że ma pilnie strzec wyjścia. Powiedział „wyjścia”. Zwykle przejęzyczenie, czy może coś więcej? Co właściwie miałyby nie wyjść z tych mrocznych katakumb? Dlaczego Ulianow, doświadczony i pozbawiony, zdawałoby się, lęku oficer KGB, strzelał?

Poruszył się niespokojnie. Od dłuższego już czasu siedział nieruchomo na sporym fragmencie muru, wyrwanym ze ściany energią wybuchu, i ścierpł porządnie. Wydobył z kabury pistolet i począł się nim bawić. Uspokajało go to. Nigdy nie wiadomo, gdzie kryje się niebezpieczeństwo, lepiej mieć broń w pogotowiu. Dotyk zimnego metalu i ciężar w dłoni, dodawały pewności siebie. Już niedługo, spokojnie. Zaraz wróci Dymitr, przyniesie latarki, ciepłe koce, jedzenie i... pewnie nawet przemyci coś mocniejszego. Po kilku godzinach, zapewne nad ranem, ktoś przyjdzie ich zmienić. W zamyśleniu potarł zapalką o draskę i obserwował, jak dogorywa płomień.

Nagle postyszał jakiś przytłumiony stukot, dobiegający z wielkiego pomieszczenia po drugiej stronie, tego, w którym wcześniej strzelał Ulianow.

Mogło to być cokolwiek, jednak w bunkrach takich jak ten, gdzie nie ma wiatru, każdy dźwięk może świadczyć o czyjejs obecności. Z doświadczenia wiedział, że szczury stosunkowo niechętnie zapuszczają się aż tak głęboko, więc to chyba raczej żaden z nich. Ścisnął mocniej kolbę pistoletu i wyteżył słuch.

Cichy plusk wody. Ktoś mógł ukrywać się w podziemiach. Może członkowie jakiejś uzbrojonej formacji? Władza radziecka miała przecież na tych ziemiach swoich ukrytych wrogów i dywersantów. Do bunkrów mogło jeszcze prowadzić jakieś inne wejście. Zgasił latarkę. Przeciwnik zawsze strzela w światło latarki.

Opadła na niego jak gdyby nieprzenikniona kurtyna czerni, niemal poczuł jej aksamitny dotyk na swojej twarzy. Tam, gdzie nie ma żadnego źródła światła, oczy nie mogą przyzwyczaić się do ciemności. Stał się więc niczym ślepiec.

Cicho, po omacku, podpełzł do wyrwy w murze, wyczuwając pod dłońmi fragmenty chłodnego, wilgotnego betonu. Tak, nie było wątpliwości, znów posłyszał jakiś szelest, jakby czegoś ocierającego się o mur, gdzieś tam w głębi, a jednocześnie jakby bliżej. Poczuł, jak poci mu się dłoń, w której trzymał makarowa. Wreszcie do jego uszu dotarł jakiś dźwięk przypominający najcichszy szept. Żadną miarą nie dałoby się rozróżnić słów. Zastanawiał się, co robić dalej. Serce mu przyspieszyło. Jego wyobraźnię zaczynał opanowywać zabobonny lęk, którego istnienia nigdy by u siebie nie podejrzewał. Przypomniawsobie stare ludowe bajdy, opowiadane niegdyś przez prababkę, o duchach i zjawach, które zamieszkują opuszczone podziemia. Duchy zmarłych, które nigdy nie odnalazły drogi do innego świata, ponieważ pozostawiły tu na ziemi swoje niedokończone sprawy lub rozstały się z życiem w tragicznych okolicznościach. Powracały nieraz, żądne zemsty i wrogo nastawione do żywych. Nie mógł opanować tych myśli, chociaż był jednocześnie głęboko przekonany, że duchy nie istnieją. Był przecież świadkiem śmierci wielu ludzi, niektórzy z nich zginęli z jego własnej ręki, a nigdy nie ujrzawszy wypływającej z ciała jakiegokolwiek duszy. Wszystko to więc jedynie zabobony i przesady świata, w którym rozum i technika nie wygrały jeszcze ostatecznej bitwy o ludzkie myślenie.

Przelazł ostrożnie na drugą stronę wyrwy w murze. Odczuwał lęk, lecz jako wyszkolony żołnierz potrafił nad nim panować. Nie mógł tak po prostu

uciec, pokazać się na oczy Ulianowowi i opowiedzieć o dziwnych dźwiękach dobiegających z zagadkowego pomieszczenia. Za coś takiego groziła kula w łeb, a w najlepszym wypadku „psychuszka”, czyli zakład dla obłąkanych. Taki, w którym polewają człowieka lodowatą wodą i podłączają do prądu... nazywając to ładnie elektrowstrząsami. Bądź co bądź, opuszczenie posterunku bez zgody dowódcy jest formą dezercji. Należało zatem wykonać rozpoznanie, zidentyfikować ewentualnego przeciwnika, ocenić swoje i jego szanse, a dopiero potem wycofać się lub podjąć walkę. Tego nauczyli go w KGB. Szkoda tylko, że został zupełnie sam.

Poruszając się w absolutnej ciemności, postąpił kilka kroków naprzód. Gdzieś tu zaczynał się kanał z wodą, nie mógł więc po ciemku iść dalej. Postanowił na powrót zapalić latarkę, lecz trzymać ją w wyciągniętej ręce możliwie jak najdalej od siebie, tak, by nie ułatwić zadania potencjalnemu strzelcowi. Przesunął włącznik. Żaróweczka rozjarzyła się na krótką chwilę nikłym pomarańczowym światłem i przygasła całkowicie, jakby jakaś siła wyssała z niej całe światło. Takie przynajmniej odniósł wrażenie. Mimo to przez tę krótką chwilę Andriej kątem oka coś spostrzegł. Coś, co bardzo mu się nie spodobało. Potężną postać, stojącą nieruchomo, znajdującą się nie więcej niż kilka metrów od niego samego. W panice cofnął się kilka kroków, na oślep mierząc przed siebie z broni.

- Kto tu jest? - zapytał nieswoim głosem.

Zamiast odpowiedzi znów posłyszał przypominający szelest suchych liści szept. A może nie był to wcale szept? Teraz dziwny dźwięk skojarzył mu się z cichym skwierczeniem, jakie czasem wydają płonące w ognisku szczapy drewna. Na twarzy wyczuł powiew wiatru. Poczł zapach, niezwykły, zaskakujący, nieprzyjemny, ale w pewien sposób jednocześnie fascynujący, dziki, nieokiełznany, wręcz seksualnie podniecający; tak muszą pachnieć spalone wsie, gdy wiatr roznosi dymy po bezkresnych pustkowiach.

Szelest. Kimkolwiek był ten, kto znajdował się w ciemnościach, stał tuż obok niego. W panice pociągnął za spust. Raz, dwa, trzy... odrzut szarpał jego ramieniem, wyrzucane łuski z brzdękiem opadały na kamienną podłogę. Osiem strzałów w różne strony, osiem naboju wystrzelonych i wreszcie cichy trzask iglicy. Komora była pusta. Dałby wszystko, by posłyszeć jakiś okrzyk bólu, jakiś zduszony jęk, chrapliwe wołanie o pomoc. Miałby wówczas pewność, że dopadł czającego się przeciwnika. Nic takiego nie nastąpiło.

Nagle z przerażeniem poczuł, że coś pochwyciło go za gardło i unosi w górę z nieubłaganą siłą. Machał nogami w powietrzu, starając się znaleźć jakieś oparcie lub kopnąć swojego niewidzialnego oprawcę. Usiłował zaczerpnąć powietrza i krzyżeć, choć czuł, że jest to bezcelowe. Posłyszał jedynie swój własny przedśmiertny charkot. Coś ciepłego i lepkiego zaczęło spływać po jego ciele i zdał sobie sprawę, że krwawi. Zdobył się jeszcze na jeden desperacki wysiłek, zamachnął się trzymającą pistolet ręką, ta jednak przecięła jedynie powietrze. Posłyszał cichy trzask i uświadomił sobie, że właśnie pękły jego kręgi szyjne. W ostatnim przebłysku życia poczuł wbijające się w jego ciało ostre jak brzytwy kły i chciwy język zlizujący łapczywie jego własną krew. To coś było głodne, bardzo głodne, niezwykle spragnione. Wlokło go ze sobą do swojego siedliska.

*

Gdyby nie paskudna przygoda na leśnej drodze, Dymitr byłby na miejscu znacznie wcześniej. Tutejsze leśne trakty, wyłożone kamieniami, dobre były może dla czołgów, ale nie zawsze dla motocykla z przyczepą, na którym agent KGB wyruszył w drogę do bunkra. Szczególnie po zmroku jazda nie była bezpieczna. Może gdyby trzymał się głównego traktu, nie doszłoby do awarii, a jednak niepotrzebnie postanowił skrócić nieco trasę, wjeżdżając w rzadziej uczęszczaną odnogę wiodącą przez szpaler starych, suchych sosen, przypominających z daleka okutanych w czarne opony zbłąkanych pielgrzymów. Jechał jak zwykle dość brawurowo, nie biorąc pod uwagę ciemności, stanowczo częściej korzystając z gazu niż z hamulca. Może gdyby był bardziej ostrożny, zauważyłby sporą wyrwę w ziemi i obłamany, spoczywający na ziemi konar drzewa. Motocykl z impetem uderzył w przeszkodę, odrzucił ją, silnik jednak zgasł i nie dało się go z powrotem uruchomić. Dobrze kilka godzin grzebał i dłubał przy gaźniku, przyświecając sobie przygasającą latarką i klnąc pod nosem, kiedy wreszcie udało mu się ruszyć w dalszą drogę. Zgodnie z poleceniami Ulianowa mieli pełnić straż aż do świtu, do przybycia kolejnej zmiany warty.

Gdy dotarł na miejsce, zaparkował swój pojazd tuż przy wejściu do bunkra, zabrał wszystkie potrzebne rzeczy i zszedł do podziemi. Na horyzoncie bledły już gwiazdy. Po pokonaniu długich korytarzy i szeregu, zdawałoby się, niezliczonych prowadzących w dół krętych schodów doszedł

wreszcie do miejsca, w którym straż miał pełnić Andriej. Spodziewał się ujrzeć blask należącej do niego latarki, lecz powitała go zupełna ciemność i głucha cisza. Nie zaskoczyło go to jednak specjalnie, pomyślał, że zapewne Andriej świadomie ją wyłączył lub po prostu wyczerpała się bateria. To było zupełnie prawdopodobne. Rozmyślał raczej nad czymś innym; obawiał się konsekwencji ze strony Ulianowa, choć przecież awaria motocykla nie nastąpiła z jego winy. W każdym razie nie do końca. Miał nadzieję, że Andriej zachowa sprawę spóźnienia dla siebie. Da mu paczkę dobrych papierosów w zamian za tę dyskrecję.

Kiedy jednak dotarł do wyrwy w murze, nie zobaczył nigdzie swojego współtowarzysza. Rzucił pakunek z kocami na ziemię i rozejrzał się uważnie. Czyżby Andriej samowolnie oddalił się z posterunku? Postanowił zbadać podziemia na własną rękę? Z pewnością nie mieściło się to w ramach przyjętych zasad postępowania. Niemniej to nawet dobrze, jeśli Andriej miałby zamiar donieść Ulianowowi o jego wielogodzinnym spóźnieniu, to i on sam będzie miał małego asa w rękawie. Postanowił usiąść na kamieniu i czekać na powrót towarzysza. Czerniejąca wyrwa w murze coraz mocniej przyciągała jego uwagę. Czy to możliwe, by Andriej tam poszedł? A jeśli tak, to w jakim celu? To oczywiste, że w podziemiach, ukrytych i zamurowanych tak jak te, które właśnie odkryli, mogły kryć się skarby. Hitlerowcy, opuszczając te ziemie, wciąż liczyli na szybki powrót. Nie opłacało się wozic ze sobą wielkich bogactw, skrzyń ze złotem, kosztownościami lub dziełami sztuki. Może Andrieja skusiła wizja szybkiego wzbogacenia się? Może już teraz napełniał swoje kieszenie bezcennymi diamentami?

Postanowił wstrzymać się jeszcze kwadrans, a potem pójść na poszukiwanie współtowarzysza. Przynajmniej miał dobry pretekst, by przekonać się dokładniej, co kryło wielkie tajemnicze pomieszczenie po drugiej stronie. Odczekał dziesięć minut, zerkając co chwilę na swój nakręcany zegarek z fosforyzującymi w ciemności wskazówkami. W końcu wstał, za pasek wetknął dodatkową, zapasową latarkę, na ramię zarzucił pepeszę i przyświecając sobie, przeszedł przez wyłom w murze. Szedł pewnie, a jasny snop elektrycznego światła dodawał mu otuchy. Skierował go nawet ku górze, by sprawdzić, jak wysoko może znajdować się sklepienie.

- Będzie chyba co najmniej z piętnaście metrów, a może więcej - mruknął sam do siebie. - Zresztą diabli wiedzą...

Szedł dość śmiało i dotarł w ten sposób do pierwszego wypełnionego czarną, nieprzejrzystą wodą kanału. Miał on parę metrów szerokości. Nawet najmniejsza zmarszczka nie pojawiała się na tej przypominającej ciemne zwierciadło tafli. Światło latarki kładło się na niej zwartym snopem i spoczywało nieruchomo. „Martwa woda” - przemknęło mu przez myśl. Przez chwilę zastanawiał się, czy jednak nie wrócić. Kto wie, co kryły podziemia, co znajdowało się jeszcze dalej, za tym dziwnym mauzoleum, za tym pomieszczeniem pełnym ciszy i nieprzeniknionej ciemności. Przypomniał sobie naraz, jak pewnego razu, za młodziaka, wszedł do starej cerkwi, opuszczonej i mającej stać się niebawem magazynem zboża. Część ołtarza rozwalono, po podłodze walały się resztki ławek. Ikony rozkradziono lub spalono w ognisku. Wówczas, stojąc pośrodku tej zniszczonej, zbezczeszczonej świątyni uczuł nagle, że nie jest w niej sam. Doświadczył wrażenia czyjejś obecności i z przestachem obejrzał się przez ramię. Tutaj to uczucie powróciło, ale jeszcze silniejsze. Coś tu było, oprócz niego, nie Andriej, ale ktoś inny. Ktoś mu się przyglądał, tak... był tego właściwie pewien.

Chciał zawołać swojego towarzysza po imieniu, instynkt jednak nakazał mu milczeć.

Wtem przez moment ujrzał czyjąś sylwetkę, zdającą się tkwić nieruchomo jakieś kilkanaście metrów od niego. Czarną postać ledwie odcinającą się konturem na tle ciemności.

- Andriej? - zawołał niezbyt głośno.

Jednocześnie jego dłoń automatycznie powędrowała do przewieszanej przez ramię pepeszy. To była dobra broń, bębnekowy magazynek mieścił siedemdziesiąt jeden naboju i zapewniał huraganową siłę ognia przy względnie dobrej celności na krótki dystans. Jeśli tylko zacznie w porę strzelać, poradzi sobie z każdym napastnikiem. Wetknął latarkę za pas, ujął karabin oburącz i ostrożnie ruszył przed siebie. Mrok rozstępował się przed nim z wolna i niechętnie. Wojskowe buty szurały cicho na kamiennej powierzchni. Cień, który dostrzegł uprzednio, gdzieś zniknął, przed nim nie było nikogo. Może uległ przywidzeniu?

„A jeśli to Andriej? Jeśli znalazł jakieś kosztowności i teraz czai się gdzieś w ciemności z ostrym jak brzytwa wojskowym bagnetem w ręce, chcąc się go pozbyć? Może wpadł na trop czegoś wartościowego i pragnie tę

wiedzę zachować tylko dla siebie? Należy być ostrożnym” - pomyślał Dymitr.

Wędrował nadal brzegiem wąskiego zbiornika wodnego, który zagradzał mu drogę. Zdał sobie już sprawę, że porusza się po okręgu. Nagle dojrzał przejście przez kanał, szerokie na jakieś dwa metry. Postanowił iść dalej. Istniała również taka możliwość, że Andriej dotarł tutaj, a następnie wpadł do kanału i utonął. Wydawało się to w zasadzie mało prawdopodobne, ponieważ jak wszyscy agenci KGB dobrze pływał. Jednak pod zdradliwą tonią wody coś mogło się kryć - zwoje drutu kolczastego, ustawione na sztorc zaostrome stalowe pręty czy wreszcie miny. Andriej mógł zwyczajnie wpaść w tego typu pułapkę.

Wokoło panował coraz większy ziąb, tak że Dymitr mógł dostrzec delikatną chmurkę własnego oddechu. Pokonał betonowy pomost, przeszedł kilkadziesiąt metrów i natknął się na kolejny kanał. Szedł dalej jego brzegiem, wciąż trzymając pewnie broń i czujnie rozglądając się na boki. Był coraz bardziej zdumiony rozmiarami pomieszczenia. Kolejny pomost. Zaczął już rozumieć nieco logikę i rozkład tego wielkiego podziemnego mauzoleum. Prawie na pewno miało ono kształt koła oraz potężne, okrągłe betonowe sklepienie. W podłodze znajdowały się kanały, mające również kształt okręgów, o coraz mniejszej średnicy. Każdy z okręgów znajdował się wewnątrz drugiego, a połączenia prowadziły przez umieszczone w różnych miejscach pomosty. „Licho wie w takim razie... - pomyślał - co znajduje się w samym środku, w kole centralnym”.

Chęć poznania tajemnicy podziemnej budowli i ciekawość tak bardzo nim zawładnęły, że parł naprzód, mało zważając już na niebezpieczeństwo. Podejrzał, że w samym środku koncentrycznych kół, tworzonych przez wodne kanały, może znajdować się coś bardzo cennego. Aby nieco dodać sobie pewności, przewiesił na moment pepeszę przez ramię, wydobyl z kieszeni papierosa i zapalił go lekko drżącymi dłońmi, zaciągając się głęboko. Ognik rozjarzył się w ciemności.

W końcu światło jego latarki wydobyl zarys dużego sześcianu wykonanego z czarnego, lśniącego kamienia. Miał dobre półtora metra wysokości i jakieś cztery metry długości, przy słabym świetle trudno było jednak dokładnie oszacować wymiary bryły. Przywodziła na myśl ołtarz z granitu bądź starożytną arkę. Cechowała go niespotykana jak na surową

niemiecką estetykę szczegółowość detali. W nikłym elektrycznym blasku lśniły skomplikowane motywy i ornamenty roślinne. Kiedy podszedł bliżej, dostrzegł płaskorzeźby przedstawiające mitologiczne stworzenia, bestie, bóstwa, demony i hybrydy, które jemu samemu kojarzyły się z rycinami, jakie niegdyś ujrzał w starym podręczniku do historii, w rozdziale mówiącym o kulturze Azteków. W tym galimatiasie zdobień dało się zauważyć wszechobecne symbole swastyki.

Dymitr jednak nie był archeologiem czy znawcą dawnych kultów. W pierwszej kolejności pomyślał o skarbach. Była to myśl niezbyt rozsądna, bowiem trudno było przypuszczać, by hitlerowcy ukryli cenne wojenne łupy w taki sposób, na widoku i w samym centrum wielkiego, kolistego pomieszczenia. A więc co to? Grobowiec? To skojarzenie wydało mu się najbardziej trafne. Niemieckie mauzolea nie należały do rzadkości. Grzebano w nich wielkich przywódców i bohaterów. Wystarczyło wspomnieć znane Mauzoleum Hindenburga, które istniało aż do końca wojny, między Olsztynkiem i Sudwą. Być może w tym przypadku zetknął się z czymś podobnym. Jednak również myśl, że ktokolwiek mógł zostać tu pochowany, w podziemiach Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego, wydawała się zaskakująca. Powszechnie przecież uważano, że został on stworzony przede wszystkim do zadań militarnych.

Dotknął ręką sarkofagu i cofnął ją z obrzydzeniem. Był wilgotny, przeraźliwie zimny i w pewien szczególny sposób nieprzyjemny. Odniosłby podobne wrażenie, dotykając jadowitego węża lub tarantuli. Nagle spostrzegł, że pokrywa grobowca była lekko uchylona. Przez plecy przebiegł mu mimowolny nieprzyjemny dreszcz. Zaraz jednak stłumił w sobie uczucie lęku. W starożytnych kulturach władców często chowano w otoczeniu cennych przedmiotów. Zwyczaj ten dotyczył królów i wodzów, a także wsławionych na polach bitew wojowników. Bezcenne klejnoty, złote monety, drogie kamienie - to wszystko umieszczano nieraz w sarkofagach, aby zmarły, przechodząc na drugą stronę rzeki zapomnienia, nie musiał cierpieć biedy. Nie można było wykluczyć, a nawet wydawało się to całkiem prawdopodobne, że podobny zwyczaj mógł dotyczyć także miejsc pochówku wysokich rangą hitlerowskich dostojników.

Oczywiście grobowiec mógł być po prostu pusty i przygotowany dopiero na przyjęcie zwłok oraz umieszczenie w nim kosztowności. Uwagę Dymitra przykuł niezwykle wizerunek znajdujący się na ciężkiej pokrywie. Było to

jakieś bóstwo, jakby kobiece, choć rysy jego twarzy wydawały się nacechowane gniewem i okrucieństwem. Spostrzegł długi język, sięgający niemal do brzucha, i ostre kły, wyłaniające się spod zmysłowo pełnych i kształtnych warg. Kilkoro rąk bóstwa dzierżyło sierpy, a wokoło widać było odcięte ludzkie głowy. Na brzegach płyty umieszczono płomienie, tak jakby chcąc zasugerować, że istota ta przychodzi w towarzystwie ognia, pożogi i zniszczenia. Nagle między oczyma bóstwa spostrzegł jakiś czerwony błysk. Obszedł sarkofag i przyjrzał się lepiej swojemu odkryciu. Był tak zaaferowany, że niemal przestał zwracać uwagę na otoczenie. Wyjął z pochwy ostry wojskowy nóż i ostrożnie podważył sporych rozmiarów kamyk. Wydłubał go, wziął do ręki i przyjrzał się uważnie. Kamyk skrzył się i wyglądał jak zakrzepła krew. Rubin?

Znalezisko zelektryzowało go. Nikt nie ozdabia sarkofagu rubinami, jeśli w środku nie ma czegoś cennego. Napał więc z całych sił na ciężką płytę, natężył wszystkie mięśnie i z wielkim wysiłkiem odsuwał ją centymetr po centymetrze. Nagle do jego uszu dobiegł cichy szelest. Mogło to być cokolwiek. Zamarł na chwilę, starając się dosłyszeć coś więcej niż tylko łomotanie własnego serca. Mimo chłodu pot ściekał mu z czoła grubymi kroplami. Pomyślał o Andrieju. Może był tuż za jego plecami, unosił bagnet, przygotowując się do zadania niespodziewanego ciosu. Może chciał go zabić... Odwrócił się gwałtownie, skierował latarkę w mrok. Najpierw w jedną, a potem w drugą stronę. Snop światła zatapiał się w ciemności, nie znajdował żadnego oparcia. Dymitra opanowała naraz irracjonalna, atawistyczna obawa, że ciemność jest bezkresna, że utonie w niej jak w morzu. Otrząsnął się jednak, odwrócił i znów z całych sił napał na pokrywę. W środku mogła się znajdować fortuna. Udało mu się już przesunąć płytę o dobre kilkadziesiąt centymetrów, postanowił więc zajrzeć do środka.

Przysunął blisko twarz i przyświecił sobie latarką. To, co ujrzał, sprawiło, że jego serce przyśpieszyło jeszcze bardziej. Nie bał się trupów, nie bał się walki. Widział już w swoim życiu wielu martwych ludzi. Przerażeniem napęliło go przesłanie, jakie niosło ze sobą makabryczne znalezisko - wewnątrz sarkofagu znajdowały się bowiem ludzkie zwłoki, spoczywające w pełnej rozpaczynie. Zupełnie jakby śmierć zwolniła migawkę aparatu fotograficznego, zatrzymała dla tego człowieka czas właśnie w momencie jego pełnej bólu agonii. Nadpalona czaszka wydawała się rozwarta od krzyku. Puste oczodoły wpatrywały się w twarz Dymitra. Wyciągnięta ręka

końcami palców dotykała jeszcze krawędzi sarkofagu, jakby zatrzymana w geście rozpaczliwej obrony, walki lub ucieczki. Rozpoznał radziecki mundur, choć w wielu miejscach rozdarty był na strzępy. Nagle zrozumiał. To Andriej! Cofnął się przerażony. Co tu się stało? Czemu jest w sarkofagu? Co go tutaj przywlokło? Pozostał zaledwie sam szkielet i ścięgna. Wyglądało to jak, jakby coś wysssało z niego życie, krew, i zmumifikowało swoją ofiarę do takiej postaci. Cóż to jednak mogło być? Jakaś żrąca substancja, może gaz, a może wstrzyknięty do żył jakiś chemiczny związek. Może jakaś łatwopalna substancja?

Należało jak najszybciej uciekać z tego przeklętego miejsca i powiadomić o wszystkim Ulianowa. Odwrócił się i właśnie wtedy posłyszał odgłos, który momentalnie zmroził mu krew w żyłach. Suchy szelest dobiegający z wnętrza sarkofagu, gdzie najwyraźniej znajdował się jeszcze ktoś inny. Było jednak za późno, by zrobić cokolwiek. Coś pochwyciło go za tchawicę, kościste palce wbiły się w jego gardło, odbierając oddech. Poczł rozdzierający ból w trzewiach, ktoś rozrywał, rozszarpywał jego wnętrzności. Z przerażeniem uświadomił sobie, że ogarniają go płomienie. Płonął całym żywym pochodnią.

„Jestem w piekle - pomyślał. - Umieram, ponieważ nigdy nie powinienem tu wchodzić”.

8.

Jakiś podejrzany dźwięk wyrwał starego majora z drzemki, a przynajmniej tak mu się zdawało. Pokój zalany był łagodnym światłem poranka. Mimo uchylonego okna z lasu nie dochodził zwyczajny o tej porze dnia hałaśliwy świergot ptaków. Podniósł głowę znad zalegających blat biurka notatek. „Zmógł mnie sen” - pomyślał. Przed nim leżało mnóstwo zapisanych kartek, poplamionych tu i ówdzie atramentem. Trudno mu było jednak ocenić, jak wiele już udało się przelać na papier. Pisał aż do momentu, kiedy jego głowa opadła na blat, a pióro wysunęło się ze zmęczonej ręki. To, co w jego mniemaniu zostało już zapisane, stapiało się jakby w jedną całość z koszmarem, który śnił podczas tych kilku godzin.

Wstał od biurka i podszedł do okna, chcąc zaczerpnąć haust świeżego powietrza. Jeden rzut okiem na podwórze wystarczył, by przekonać się, że wydarzyło się coś złego. Serce niemal podeszło mu do gardła. Pies Alek leżał z oderwaną głową. Jego sierść była szerniała, jak od ognia. Przerażony Staszewski zbiegł po drewnianych schodach, odsunął barykadującą drzwi szafkę, przekręcił zamek i wypadł na podwórze. Czuł, że w jego sercu wzbiera wielki gniew. Przypadł do zwłok zwierzęcia i pogładził je czule. Była tutaj, to nie ulegało wątpliwości. Takie bestialstwo nie mogło być dziełem przypadku. Zadowolona się zwierzęciem, trudno zgadnąć dlaczego. Być może Alek zginął zamiast niego. Z jakiegoś powodu nie doszła jeszcze do domu. Niewykluczone, że jest jeszcze słaba.

Musiało więc nadejść to, czego obawiał się przez te wszystkie lata - niebezpieczna granica znów została przekroczona. Uspione zło przebudziło się, opuściło podziemne czeluście, do których nie dochodzi światło dnia. Nie można było wykluczyć, że tajemniczy „wojskowi” znów odwiedzili podziemia, tym razem ze znacznie gorszym skutkiem niż poprzednio. Możliwe, że użyli silnych materiałów wybuchowych. Mógłby pójść na miejsce i sprawdzić, choć wiązało się to z ogromnym ryzykiem i najprawdopodobniej skończyłoby się jego śmiercią, a i tak nic by to pewnie nie dało. Jak to jest powiedziane w tych starych pismach? „Niczym burza w polu, ogień w stercie drewna, wiatr, co wywraca największe drzewa”.

- Dlaczego spalił pan tego psa? - Postyszał nagle za plecami jakiś głos.

Odwrócił się gwałtownie. Na podwórku stała może dziesięcioletnia

dziewczynka, z włosami upiętymi w dwa kucyki. Tkwiła tam nieruchomo i wpatrywała się w niego, trzymając w rękach sfatygowanego pluszowego królika. Jej skryte za okularami oczy wydawały się w tej chwili dwukrotnie większe, niż były w rzeczywistości. Tak, teraz sobie przypomniał. Miała na imię Alicja i mieszkała w Kęszycy Leśnej przy rozstaju dróg. Chyba wiedział nawet, w którym domu.

- Nie spaliłem go - odparł zmieszany.

- Aha. A czemu pies się spalił?

- Nie spaliłem go - powtórzył. - Spalił go odwieczny ogień.

- Aha. - Dziewczynka ze zrozumieniem pokiwała głową. - Czyli ten ogień jest bardzo zły? A panu jest teraz pewnie bardzo smutno?

Major poczuł się nagle zmęczony i, co tu ukrywać, strasznie stary. Jeśli mała powie komuś o tym, co widziała, mogą czekać go kłopoty. I tak cieszył się w okolicy wątpliwą sławą odludka i dziwaka. Teraz jeszcze zrobią z niego sadystę. Obrońcy praw zwierząt dobiorą mu się do skóry. Przyjedzie policja. Będzie musiał odpowiedzieć na wiele trudnych pytań.

Podszedł do dziewczynki.

- Tak, jest mi smutno. To był mój ostatni przyjaciel. - Westchnął. - Co tu robisz?

- No więc tak... - odparła rzeczowo. - Wyszłam z domu, bo chciałam nazbierać trochę trawy dla Mimi. - Wykonała znaczący ruch rękami, dając majorowi do zrozumienia, że chodzi o pluszowego królika. - Ale potem zmieniłam zdanie. Mimi jest już duży. Sam sobie znajdzie trawę, jeśli przyjdzie mu na to ochota.

- Czy Mimi jest chłopcem czy dziewczynką? - zapytał ostrożnie major Staszewski.

Alicja wzruszyła ramionami.

- Raz jest chłopcem, a raz dziewczynką. A czasem to po prostu ono.

- Ono, czyli trzecia płęć.

- Nie ma czegoś takiego jak trzecia płęć. Ja tak sobie to tylko wyobrażam.

- Ależ jest. - Mimowolnie się uśmiechnął. - W Indiach. Przedstawiciele

tej trzeciej płci to jakby kobiety i mężczyźni w jednym. Żyją otoczeni wielkim szacunkiem.

- Skąd pan to wie? Był pan kiedyś w Indiach?

- Nie byłem. Ale wiem o nich znacznie więcej, niż chciałbym - odparł major.

Alicja przytaknęła z absolutnym zrozumieniem.

- Odprowadzę cię teraz do twojego domu - powiedział. - Nie mogę pozwolić, żeby stała ci się jakaś krzywda. Poczekaj tu na mnie chwilę i nigdzie nie odchodź, rozumiałaś? Zaraz wracam.

- Boi się pan, że w lesie jest ogień, który pali psy?

- Tak, z grubsza mówiąc, coś w tym rodzaju - odparł.

Chciał dodać coś jeszcze, ale ugryzł się w język. Lepiej będzie, jeśli mała nie dowie się za wiele. Pochwycił wielki worek wiszący na wbitym do ściany domu haku. Zwykle służył mu do przechowywania drewna na opał, teraz jednak był pusty. Podszedł i nakrył nim to, co pozostało ze zwierzęcia. Nie chciał, by dziewczynka przyglądała się zmasakrowanym szczątkom. Musiała odznaczać się niezwykłą psychiczną odpornością, jeśli zachowała spokój i nie wpadła na ten okropny widok w panikę. Wszedł do domu. Zabieranie ze sobą broni nie miało w gruncie rzeczy większego sensu. Było jednak coś innego, co mogło się przydać. Tylko gdzie to jest? Już tak dawno nie było używane. Należało szukać w wypełnionej zakurzonymi książkami biblioteczkę. Wreszcie - jest. Oprawiona w skórę książka, stare wydanie, końcówka dziewiętnastego wieku. Zerknął na okładkę i uśmiechnął się krzywo, widząc wytłoczoną swastykę. To było to, czego potrzebował. Być może te słowa jakoś mu pomogą.

Wracając na podwórze, spodziewał się, że dziewczynki już nie będzie. Stała tam jednak nadal i pomyślał, że niech skona, jeśli na jej twarzy nie malowało się zaciekawienie. Dzieci posiadają niezwykłą psychiczną siłę, w wielu okolicznościach okazują się odporniejsze niż dorośli. Wetknął szybko książkę za pas i nakrył koszulą, chcąc uniknąć niewygodnych pytań.

- Jestem gotowy, idziemy.

Ruszyli ścieżką prowadzącą od domu pod baldachimem drzew. Major czujnie rozglądał się na boki, w każdej chwili gotów porwać dziecko na ręce i

popędzić przed siebie, gdyby tylko pojawiło się jakieś zagrożenie. To prawda, że był stary i słaby, ale na tyle jeszcze mógł się zdobyć. A w ostateczności... czy w istocie nie wiedział, w głębi serca nie przeczuwał, co należy uczynić? Kątem oka dostrzegł osmalone czubki starych drzew. Można się było tego spodziewać. Niebezpieczeństwo jednak pojawiało się najczęściej po zmroku. Możliwe więc, że chwilowo byli bezpieczni. Przeszli ścieżką przez las i dotarli do jednego z domów, niskiego, o spadzistym dachu, z płotem niedawno pomalowanym krzykliwą, zieloną farbą. Wszystko tchnęło tu normalnością, gdzieś w oddali hałasował traktor. Na podwórzu domu stał jakiś mężczyzna i majstrował przy rolniczej maszynie. Kiedy spostrzegł majora i Alicję, ruszył w ich stronę energicznym krokiem.

- Ty, dziadek, co robisz z moim dzieckiem? My go już szukali! - rzucił ostro, wbijając gniewne spojrzenie w twarz majora.

Staszewskiemu przeszło przez myśl, że facet bynajmniej nie wyglądał na specjalnie zmartwionego ani takiego, który właśnie wróciłby z dalekich poszukiwań. Odpowiedział twardym spojrzeniem.

- Dziecko zabłądziło w lesie, więc je odprowadziłem - oznajmił sucho.

- Temu panu - wtrąciła się niepotrzebnie Alicja - spalił się pies. To znaczy spalił go wieczny ogień. To straszne.

Ojciec złapał dziewczynkę i bezceremonialnie odciągnął z dala od majora, jakby ten był źródłem jakiejś zaraźliwej choroby.

- Słuchaj, stary! - warknął. - Znam cię. Słyszałem o tobie niejedno, bo ludzie tu gadają. Masz swoje za uszami. Mnie nie obchodzi, co tam sobie w tej chacie wyrabiasz. Ale od dzieciaków wara. A ty, gówniario, marsz do domu.

Majorowi krew odpłynęła z twarzy. Poczul narastający gniew. Pogarda, z jaką odnosił się do niego ten człowiek, była jak policzek, jak splunięcie w twarz. Nie spodziewał się, że przez te lata sprawy zaszły aż tak daleko. Unikał kontaktów z ludźmi. Widać jednak wzięto go na języki i mieszano z błotem. Mimo to trzymał nerwy na wodzy, chociaż czuł, że w tej chwili, i to mimo swojej osiemdziesiątki na karku, mógłby tamtemu napędzić niezłego stracha. Widział w swoim życiu rzeczy, o których jemu się nie śniło, i stawiał czoło niebezpieczeństwu znacznie większemu niż gniew rosnącego mężczyzny. Coś musiało być w stalowoszarym spojrzeniu jego oczu, że ojciec

dziewczynki cofnął się o krok, zmieszał i odwrócił wzrok.

Major odszedł wolnym krokiem, kierując się w stronę swojego domu. Cały czas rozsadał go wewnętrzny gniew. Musiał jednak nad nim zapanować i myśleć racjonalnie. Wszedł w las i postanowił wykonać niewielki zwiad. Przypominał sobie zdarzenia sprzed lat i usiłował połączyć fakty w jakąś spójną całość. Każda informacja, nawet ta pozornie błaha, mogła okazać się ważna. Nie było czasu do stracenia. Rozgrywka się rozpoczęła. Mieszkańcom wsi groziło śmiertelne niebezpieczeństwo, choć jeszcze nie zdawali sobie z tego sprawy. Przedzierał się przez zarośla, obserwując ślady nadpaleń na drzewach. Tropił zwierzynę o wiele silniejszą od niego i wyciągał coraz bardziej ponure wnioski. Wiedział już z doświadczenia, że z czasem jej moc będzie rosła. Spoczywała bez pokarmu, bez ofiary przez dziesiątki lat. Niebawem znajdzie jednak wiele okazji, aby się pożywić. Wiedział też już, choć jeszcze nie na pewno, do czego będzie dążyła i co daje jej największą siłę. Najgorsze było to, że w istocie nie była zła. A jednak zło, jakie przynosiła ze sobą, było bezkresne. Wszystko zależało od okoliczności. Wszystko było względne.

Mógłby spróbować ostrzec mieszkańców przed zagrożeniem. Ostatnia rozmowa przekonała go jednak, że, delikatnie mówiąc, nie jest osobą cieszącą się we wsi zaufaniem i pewnie nikt by mu nie uwierzył. Wręcz przeciwnie, niewykluczone, że wykorzystano by plotkę o jego szaleństwie, by przejąć mały domek i działkę w lesie, a jego samego wysłać na dożywotnią emeryturę do zakładu psychiatrycznego. Znał dobrze ciemne strony ludzkiej natury i wiedział, że i taki scenariusz nie jest bynajmniej nieprawdopodobny.

Ślady nadpaleń zdawały się wieść w kierunku wsi. A zatem tej nocy była już bardzo blisko, węszyła niczym dziki zwierz. „Będzie miała co jeść - pomyślał. - Wielu z tych ludzi chętnie zagra w scenariuszu, jaki ona dla nich napisze. To pewne, jak w banku”. Zląkł się o Alicję, małą dziewczynkę, która nie była przecież niczemu winna.

Postanowił wrócić do domu i przespać się. Wiek robił swoje, a słabo przespana noc dawała mu się we znaki. Zamknął więc starannie drzwi, poszedł do biblioteczki i odłożył na półkę „Dzieła zebrane” - „Dewimahatmja”, „Lingapurana” i „Tantrasara”. Potem wykapał się i zaległ na łóżku. Musiał zebrać siły. Coś mówiło mu, że nadchodząca noc będzie

wyjątkowo niespokojna.

9.

Okolice Kęszycy Leśnej, piątek 26 kwietnia 1957 roku, godzina 6

- Jak mogło do tego dojść?! - wrzeszczał poczerwieniały z wściekłości Ulianow. - Dwóch ludzi. Dwóch ludzi! Dobrze uzbrojonych.

Stali przed wejściem do bunkra. Na mokrej od nocnego deszczu trawie leżały nakryte płachtami ciała, a raczej to, co z nich pozostało. Nad nimi z wywieszonym ozorem ziajał owczarek niemiecki. Staszewski uważnie obserwował Ulianowa. Nie pozwalał, żeby wrzaski Rosjanina wyprowadziły go z równowagi i odebrały zdolność chłodnej oceny sytuacji. Kątem oka zerkał na Władka i nie mógł oprzeć się wrażeniu, że przyjaciel krzywo się uśmiechnął. Chyba potrafił się domyślić źródła tej nie do końca szlachetnej, złośliwej satysfakcji. Oto nieustraszony, dzielny Ulianow, uosabiający, przynajmniej we własnym przekonaniu, nieskończenie potężny majestat Związku Radzieckiego i Armii Czerwonej - zwyczajnie stracił głowę. Również reszta jego ludzi wydawała się zbита z tropu. Do tej pory to zwykle oni byli górą, zawsze gotowi i czujni, zawsze bezwzględni i budzący strach. Tarcza i miecz partii... Tym razem jednak ktoś z nich zadrwił, i to w wyjątkowo okrutny sposób.

- Towarzyszu, może pozabijali się sami? - rzucił nieśmiało któryś z żołnierzy.

Ulianow posłał mu spojrzenie zdolne zabić tura.

- Jak to, błźnie, pozabijali się sami? - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Tamten zreflektował się, że palnął głupotę. Był to szczupły i wysoki Rosjanin, zwykły żołnierz, nienależący do KGB.

- Wyjaśnij mi to - zażądał nagle Ulianow.

- Może pokłócili się, grali w karty, poszło o pieniądze... Nie wiem, towarzyszu... - bronił się wypłosz, wyraźnie wystraszony.

- Jak to więc możliwe... - odparł oficer KGB - ...że zmasakrowane ciało jednego znaleźliśmy dopiero przy pomocy psa tropiącego, przy sarkofagu w sanktuarium, w którym leżał już drugi?

Staszewskiego uderzyło słowo „sanktuarium”. Czyżby wszyscy mieli podobne odczucia, choć używali różnych określeń? Czyżby istotnie mieli do czynienia z miejscem jakiegoś kultu?

- Nie wiem, towarzyszu - brnął dalej młodzik. - Tak tylko powiedziałem. Mogli pokłuć się nożami, walczyć na śmierć i życie. Stąd te rany. Potem jeden z nich, Andriej, próbował uciekać do wyjścia, dlatego jego ciało znaleźliśmy jako pierwsze.

- Pokłuli się nożami? - parsknął Ulianow. Podeszedł do ciał i poderwał zakrywające je płachty. - Popatrz jeszcze raz! Czy tak twoim zdaniem wyglądają ludzie po walce na noże?!

Staszewski zauważył, że Władek i niektórzy Rosjanie odwracają wzrok. Jedyne kilku oficerów KGB w pałatkach przyglądało się z niezdrową fascynacją. Przypominali stado padlinożerców, które zleciało się na żer.

Niebo pociemniało jeszcze bardziej, zaczął siąpić deszcz. Staszewski odniósł dziwne wrażenie, że bierze udział w jakimś ponurym spektaklu odbywającym się na scenie śmierci. Podeszedł bliżej i pochylił się nad ciałami. Widok rzeczywiście mógł wywoływać mdłości. Głowy Andrieja i Dymitra były niemal całkowicie oderwane od ciał. Trzymały się jedynie na skrawkach skóry, żył i ścięgien. Kręgosłupy szyjne zostały uszkodzone. Były także inne rany, jakby od szponów, głównie na brzuchu, lecz także na rękach i nogach. Mogła to być natychmiastowa śmierć, lecz wcale nie musiała. „Zależy, w jakiej kolejności zadano te rany” - pomyślał Staszewski. Dotknął skrawków munduru. W wielu miejscach dawało się dostrzec jakby ślady ognia. Ciała, podobnie jak odzież, były przypalone.

- Nie ma krwi - zauważył chłodno.

- Co? - zachnął się Ulianow.

- Przy takich obrażeniach powinno być mnóstwo krwi. Powinna znajdować się na mundurach i w miejscu, gdzie znaleźliśmy zwłoki. Tymczasem jej nie ma. Jakby została wchłonięta.

W jego przekonaniu same obrażenia przypominały najbardziej te, które mogą powstać na skutek wybuchu granatu. Rozerwane ciało, mundur w strzępach.

- Należy dokładnie zbadać zwłoki - stwierdził Staszewski - i poszukać w

nich odłamków.

Była to już jakaś hipoteza. Major zdawał sobie sprawę, że niezbyt mocna, istniały bowiem granaty bezodłamkowe, rażące samą falą uderzeniową. Kłopot jednak w tym, że takie nie występowały zbyt często na wyposażeniu Armii Radzieckiej, używającej przede wszystkim granatów zaczepno-odłamkowych i odłamkowych obronnych.

Ulianow podszedł do niego tak blisko, że Staszewski sądził, iż za chwilę go uderzy.

- Sam decyduję o tym, co robić z ciałami moich ludzi - stwierdził zimno.
- I nie potrzeba mi wielu badań, żeby wiedzieć, co się stało. Wystarczy zwykła dedukcja. W okolicy pojawiła się grupa niebezpiecznych dywersantów. Musieli obserwować nas od pewnego czasu. Zauważyli, że badamy bunkier i zdecydowali nam w tym przeszkodzić. Czekali, aż odjedziemy, potem postanowili sami wejść do podziemi, być może nie spodziewając się, że pozostawiliśmy tam naszych ludzi. Wywiązała się nierówna walka. Andriej i Dymitr walczyli do ostatniej kropli krwi. To dlatego ich ciała są w takim stanie. Polegli za Związek Radziecki.

- Dziwne to trochę, towarzyszu, że wasi ludzie walczyli tak zaciekle i nie położyli trupem ani jednego z dywersantów, bo żadnego przecież więcej ciała nie odkryliśmy - wtrącił się Władek z właściwą sobie zapalczywością.

Ulianow przyjrzał mu się z takim zainteresowaniem, z jakim grabarz ogląda trupa, chcąc wziąć z niego miarę przed zrobieniem trumny.

- Dywersanci... - Zaakcentował pierwsze słowo. - ...zabrali ze sobą ciała, chcąc zatrzeć ślady. Tym razem jednak nie damy się tak łatwo zaskoczyć.

Potem odwrócił się i zaczął wydawać swoim ludziom rozkazy, kompletnie ignorując polskich oficerów. Ciała żołnierzy wrzucono na ciężarówki i odjechało. Wkrótce na polanie pozostało jedynie trzech funkcjonariuszy KGB, tym razem uzbrojonych i wyekwipowanych jeszcze lepiej. Każdy z nich posiadał pas wraz z ładownicą, w której mieściły się trzy granaty F-1. Mieli również krótką broń, nowoczesne pistolety Makarowa, a każdy z nich zgodnie z rozkazem Ulianowa miał przewieszony przez ramię pistolet automatyczny PPSz, znany także jako pepesza. Ubrani byli jak zwykli żołnierze, a jednak swoim wyszkoleniem i bezwzględnością daleko ich prześcigali. Głównym zadaniem tych funkcjonariuszy było zbieranie

informacji wywiadowczych. Błędem byłoby jednak sądzić, że nie byli świetnie przygotowani również do innych zadań. Szkolono ich w dywersji, obsłudze i podkładaniu materiałów wybuchowych, skokach spadochronowych, prowadzeniu wszelkich pojazdów zmechanizowanych, z czołgami włącznie, walce wręcz oraz z wykorzystaniem różnych rodzajów broni. Wielu z nich swego czasu wykonywało tak zwane *mokryje diela*, polegające na likwidacji wyznaczonych osób, a wielu posiadało mniejszą lub większą wojenną zaprawę, zdobytą na polach bitewnych drugiej wojny światowej.

Ulianow zdecydował, że wejście do bunkra powinno być nadal strzeżone. Najwyraźniej nosił się z zamiarem dokładnego penetrowania podziemi w poszukiwaniu wartościowych przedmiotów. Nie zamierzał rezygnować. Wprost przeciwnie, w jego umyśle zaczęły kiełkować coraz to nowe przypuszczenia, utwierdzające go jedynie w przeświadczeniu, że dalsza gra jest warta ryzyka. Owszem, można było przyjąć możliwość, że zamach na jego ludzi był zwykłą akcją odwetową. Chociażby za niedawne puszczenie z dymem paru przydrożnych, drewnianych krzyży. Istniało aż nazbyt wiele formacji i ludzi, którzy mogliby obserwować ich działania i w odpowiedniej chwili przypuścić atak. Tak, Ulianow dobrze wiedział, kogo ma na myśli i kogo obawia się najbardziej. Niemniej znacznie bardziej kusząca wydawała mu się możliwość, że wywiad jakiegoś innego państwa lub nawet ktoś działający w najbliższej okolicy dowiedział się o odkryciu podziemnego mauzoleum. Być może właśnie ów ktoś wiedział, że pod ziemią muszą znajdować się ukryte skarby Trzeciej Rzeszy. Postanowił więc wykorzystać okazję, by dostać się do środka. Co było dalej, nietrudno się domyślić.

Istniała również kolejna ewentualność. Oficer KGB obawiał się, że dywersanci po zabiciu jego ludzi istotnie splądrowali mauzoleum, zbadali je dokładnie, odnaleźli skarby i najzwyczajniej w świecie sprzątnęli mu je sprzed nosa. Mógłby mieć wtedy pretensje jedynie do siebie, za spartaczenie roboty i za to, że sam z dużą grupą podwładnych nie zdecydował się rozpocząć natychmiastowej i dokładnej eksploracji podziemi. Jednak instynkt, doświadczenie, jak i dokładniejsza ocena sytuacji zdawały się prawie wykluczać taką możliwość. Owszem, kiedy dotarli do sarkofagu, przekonali się, że z wyjątkiem zmumifikowanych i noszących ślady obrażeń zwłok jest on pusty. Pomieszczenie miało jednak charakter ceremonialny. Było niezwykle mało prawdopodobne, by hitlerowcy ukryli większe

bogactwa w taki sposób i w takim miejscu. Ulianow potrafił docenić ich spryt. Zrabowane bogactwa do tej pory odkrywano w niedostępnych, zalanych wodą sztolniach nieczynnych kopalń, doskonale zabezpieczone dziesiątkami min i pułapek. Możliwość, że cenne przedmioty ukryto w sarkofagu lub gdzieś na widoku, pasowała raczej do opowieści o grobowcach faraona, lecz nie do twardych i bezwzględnych reguł współczesnych działań wojennych. Więc... więc skarby mogły nadal gdzieś się znajdować. Gdzieś poza mauzoleum.

Tym razem zdecydował się rozmieścić swoich ludzi na zewnątrz, aby zminimalizować możliwość zaskoczenia ich przez dywersantów. Był praktycznie przekonany, że kimkolwiek byli, wrócą ponownie, przynajmniej jeśli nie znaleźli jeszcze tego, czego szukali. W podziemiach, pod osłoną ciemności, w zamkniętej przestrzeni - zaskoczenie było względnie łatwiejsze. Teraz strażnicy posiadali przenośną radiostację, umożliwiającą wezwanie pomocy z bazy. Każdy z nich został dodatkowo wyposażony w pistolet sygnałowy, czyli tak zwaną raketnicę, na wypadek gdyby z jakiegoś powodu, na przykład w wyniku błyskawicznego ataku, skorzystanie z łączności okazało się utrudnione lub nawet niemożliwe. Ulianow przewidział wszystko i był pewien, że nic złego więcej nie może się wydarzyć.

Postanowił jeszcze tego samego dnia, po południu, powrócić z kilkunastoma swoimi ludźmi i zabrać się do przeczesywania podziemi. Oględziny ciał nie miały dla niego większego znaczenia. Chciał tylko, aby polscy oficerowie jak najszybciej się stamtąd zabrali i nie mogli być świadkami jego ewentualnego odkrycia. Nie chciał, aby wiedzieli, co robi. Wynikało to z prostej przyczyny: jeśli bowiem założyć, że dywersanci dowiedzieli się o prowadzonych przez KGB poszukiwaniach, to powstawało interesujące pytanie - skąd? Odpowiedź na nie mogła okazać się bardzo ważna.

*

- Nic tu po nas - zawyrokował Staszewski.

- Może powinniśmy wejść do tego dziwnego mauzoleum i rozejrzeć się? Może zauważymy coś? - zasugerował Władek. - Nie za bardzo chce mi się wierzyć w tę historyjkę o dywersantach. Widzieliśmy ciała. Wyglądało to

raczej, jakby zostali zaatakowani przez jakieś wygłodniałe, rozwścieczone zwierzę.

- Po czym to zwierzę potraktowało ich dodatkowo miotaczem płomieni - z ponurym uśmieszkiem dodał major. - Ta wersja też nie trzyma się kupy, może dokładniejsze oględziny ciała przyniosłyby jakąś odpowiedź. Szkoda że Ulianow jest taki uparty i sądzi, że wie wszystko najlepiej. Niemniej zgadzam się, to dobry pomysł, by się rozejrzeć.

Ruszyli w stronę wejścia do bunkra, lecz w tym momencie jeden z wartowników pozornie powoli i ospale zagroził im drogę.

- Przejścia nie ma - stwierdził po rosyjsku.

Był jeszcze wyższy od majora, kościsty i miał nieco tatarskie rysy twarzy.

- Jestem polskim oficerem - odparł major bez zmrużenia oka. - A my jesteśmy na terytorium Polski. Mam równe prawo jak wy zbadać tę sprawę.

- Jesteśmy na terytorium Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej - odparł tamten z lekceważącym uśmiechem, wciąż posługując się językiem rosyjskim, choć major dobrze wiedział, że każdy z nich znał polski przynajmniej w stopniu podstawowym. - Towarzysz Ulianow wydał kategoryczny zakaz, by ktokolwiek zbliżał się do bunkra.

Władek wysunął się nieco naprzód. Wzrostem dorównywał Rosjaninowi. Atmosfera zgęstniała i zastygła. Pozostali dwaj wartownicy obserwowali całą sytuację z pozornym spokojem, pod którym kryła się stał. To byli ludzie przeszkoleni do zabijania, ślepo wierni rozkazom. Ze zwykłymi ruskimi byłby się dogadał, ale nie z nimi. Major kątem oka dostrzegł, jak jeden ze strażników niedbałym ruchem oparł dłoń o sterczącą z pochwy rękojeść bagnetu. „Nie posunęliby się chyba aż tak daleko - pomyślał. - Choć w obecnych czasach niczego nie można być do końca pewnym”.

- Chodź, Władek. - Złapał przyjaciela za ramię. - Nie warto.

Strażnik triumfująco uśmiechnął się pod nosem.

*

- Rządzą się u nas, jakby to oni byli u siebie, a nie odwrotnie. Mogłem natrzeć im uszu! - pieklił się Władek.

Przekrzykiwał głośny warkot motocykla, siedząc w podskakującej na kamienistej leśnej drodze przyczepie. Major prowadził. Wracali do bazy, którą między sobą tak jak dawniej nazywali Gródkiem.

- Daj spokój! - odkrzyknął Staszewski. - Na razie to ich gra. Zobaczymy, co będzie dalej. Musimy wykazać się sprytem, a nie wszczynać awanturę. Kto wie, może nawet byłoby im to na rękę? Mogliby nas wtedy pozamykać. Napaść na bratniego żołnierza? O cholera, za to byłby pewnie pluton egzekucyjny.

- Widzę, że humor ci dopisuje. Może ci dywersanci ich dopadną! - zawołał Władek.

- Jeśli ich dopadną, to są bardzo dobrzy - ocenił major. - Wystarczy, że jeden z nich wystrzelił rakieta w niebo, a wszyscy rusczy z okolicy popędzą na ratunek. Dziesięć minut i będą na miejscu. Jak trzeba będzie, sprowadzą wozy pancerne albo i czołgi.

- Może i o to komuś chodzi - odparł pół żartem, pół serio Władek. - Wywabią ich z bazy, a potem przypuszczą atak, kiedy ta będzie słabo broniona.

Major tylko uśmiechnął się pod nosem na tę fantastyczną koncepcję. Myśl, że ktoś mógłby zaatakować radziecką bazę na terenie Polski, wydawała mu się co najmniej nieprawdopodobna. Wiedział, owszem, sporo i zdawał sobie sprawę, że Rosjanie nie są tak do końca bezpieczni, jak mogłoby się niektórym wydawać. Ale radzieckich żołnierzy było tu kilkuset, dobrze uzbrojonych, a niebawem miało być ich jeszcze więcej. Poza tym w każdej chwili mogli łatwo wezwać odsiecz przez radiostacje. Zapewne nie dalej jak w godzinę na miejsce dotarłyby z pomocą nawet dywizje pancerne.

- Ty...! - zawołał nagle Władek. - Patrz! Spadochron!

Major podążył wzrokiem w kierunku wskazanym przez przyjaciela. Zatrzymał motor i wyłączył silnik. W uszach na nowo zadźwięczał im śpiew ptaków, skrytych w koronach drzew.

- Faktycznie, jest. - Spostrzegł szarą kopułę, opadającą dość szybko i niknącą między drzewami.

- Blisko wylądował - ocenił Władek. - Dziwne, że nie słyszeliśmy samolotu.

- Może silnik go zagłuszył - odparł major. - Ledwo słyszałem ciebie. Może leciał wysoko. Szalony skok. Kto skacze ze spadochronem na las? Albo wariat, albo ktoś naprawdę dobry. Albo jedno i drugie. Idziemy sprawdzić kto to.

Ukryli motocykl w krzakach i ruszyli w stronę, gdzie dostrzegli spadochron.

- Musimy być bardzo ostrożni - ostrzegł major. - Coś podpowiada mi, że możemy mieć do czynienia z nie lada asem. Niemniej jednak powinniśmy to sprawdzić.

- Czemu zaraz asem? - zdziwił się Władek.

Major tylko się uśmiechnął. Wiedział więcej, ale nie chciał zbyt wiele mówić. Nie dlatego, żeby nie ufał przyjacielowi, po prostu bezpieczniej było o pewnych sprawach nie wiedzieć.

Przedzierali się przez zarośla, omijali wysokie świerki i sosny. Niebo było nadal zachmurzone, korony drzew odcinały się na nim ostrą, nasyconą zielenią. Czuć było zapach żywicy i ściółki. Major starał się iść cicho, ale był przekonany, że dla wprawnych uszu robili hałas niczym stado słońi. Wpatrywał się w szczyty drzew, wyglądając jakiejś przerwy i słusznie przypuszczając, że skoczek musiał wylądować na polanie. Już samo to nappełniało go podziwem. Sterowanie spadochronem musiało być bardzo trudne, zwłaszcza przy tej pogodzie i niemalym wcale wietrze, jaki zapewne wiał na większej wysokości. A może skoczka po prostu zniósł, może miał zostać zrzucony gdzieś w polu? Wyglądało jednak na to, że poradził sobie, nigdzie bowiem nie można było dostrzec zaczepionej o drzewo płachty spadochronu. Świadczyło to o szczęściu lub wyjątkowych umiejętnościach skaczącego. Bądź o jednym i drugim.

Nie minęło więcej niż pięć minut, kiedy dotarli do polany.

- To musiało być gdzieś tutaj, jestem prawie pewien. - Władek powiódł wokoło wzrokiem. Gęsta trawa i pokrzywy sięgały im do kolan.

- To było tutaj - stwierdził Staszewski, ścisząc głos do szeptu. - Popatrz tam, trawa jest lekko przygnieciona na większym obszarze.

- Więc gdzie on się podział? - Władek rozglądał się wokół.

„Może być wszędzie” - pomyślał major. I wiedział, że jeśli jego

podejrzenia są słuszne, nie było w tym najmniejszej przesady. Władek, w gorącej wodzie kąpany, odpiął kaburę i oparł dłoń na kolbie visa. Wtem tuż za ich plecami rozległ się spokojny głos:

- Nie ruszajcie się. Trzymam was na muszce.

Władek ani myślał się poddawać. Uchylił się błyskawicznie, zapewne chcąc zejść z linii strzału. Major też odskoczył nieco w bok, również sięgając po broń. Cholerna wojskowa zapinana kabura - wydobywanie broni zajmowało prawie kilka sekund. Właśnie te kilka sekund przesądziło o rozwoju sytuacji. Władek był szybki. Zaskakująco szybki, ale niewystarczająco. Błyskawiczne kopnięcie wytrąciło mu broń z ręki. Napastnik w jednej sekundzie znalazł się za jego plecami, wykręcił ramię, złapał go pod brodę i rzucił na ziemię, jednocześnie przygniatając kolanem i celując z pistoletu w majora.

- Nie sięgaj po broń-ostrzegł go cichym i wciąż spokojnym głosem. - Nie chcę was zabić. Nie będę przecież strzelał do rodaków. Ale jeśli nie dacie mi wyboru...

Staszewski powoli podniósł obie ręce. Było mu wstyd, że dali się tak zaskoczyć, ale jednocześnie czuł dla swojego przeciwnika podziw.

- Kim jesteś? - zapytał major.

- Jesteście Polakami, więc mogę z wami rozmawiać - odparł tamten.

Ubrany był w wełniane spodnie, lnianą koszulę, a na głowie miał nawet czapkę cyklistówkę. Był szczupły i średniego wzrostu. W zwykłych okolicznościach nie rzucałby się w ogóle w oczy. Miał kruczoczarne włosy i przenikliwe ciemne oczy. Wyglądał jednak na zwykłego wieśniaka.

„Na Boga!”. Staszewski zdał sobie sprawę, że ten człowiek prawdopodobnie zdążył nie tylko ukryć spadochron, lecz również przebrać się. Potem okrążył ich niczym wąż, korzystając z osłony zarośli, a teraz trzymał w szachu, celując do niego z pistoletu. Mógł mieć około trzydziestu pięciu lat.

- Jestem Czarny. Tyle musi wam wystarczyć.

- Masz coś wspólnego z dawnymi cichociemnymi? - spytał nagle major.

Spadochroniarz nie odpowiedział, a jednak jakiś dziwny błysk przemknął mu na twarzy, jakby cień dumy i nostalgii zarazem. Trwało to mgnienie oka,

a jednak dało majorowi wiele do myślenia.

- Wiesz, że powinniśmy cię aresztować - oznajmił zimno Staszewski. - Oficjalnie jesteś szpiegiem na polskiej ziemi. Wyśłannikiem Londynu.

- Spróbujcie, jeśli potraficie - bez cienia wyższości odparł tamten. Tym samym głosem mógłby zaprosić znajomego do rozpoczęcia przyjacielskiej partyjki szachów lub pokera. - Broń! - zażądał Czarny.

- Nie! - zaoponował leżący na ziemi Władek.

Major jednak odpiął kaburę i wydobył z niej pistolet.

- Nie rób tego - ostrzegł go Czarny, jakby czytając w jego myślach. - Powolutku. Wiesz, że i tak będę szybszy.

Major wiedział. Byłby szybszy, nawet gdyby to jedynie on trzymał broń, a Czarny miał gołe ręce. Po prostu stał za blisko i zdawał sobie z tego sprawę. Powoli upuścił visa na ziemię.

- Nie, nie tak. Podnieś go i odrzuć za siebie.

Major wykonał to, co polecił mu spadochroniarz. Nie chciał niepotrzebnie narażać życia Władka. Poza tym zdawał sobie sprawę, że być może nie ma wcale do czynienia z wrogiem. W każdym razie... nie do końca.

- Teraz połóż się obok swojego kolegi, ręce szeroko. Przykro patrzeć, jak polski oficer musi leżeć na ziemi.

- Mogłeś zostawić nas w spokoju - z pewną złością w głosie powiedział wyraźnie upokorzony Władek.

- Niestety, nie. Szliście prosto do miejsca, gdzie miałem ukryty spadochron. Znaleźlibyście go, a to, niestety, byłby niewybaczalny błąd w naszym zawodzie. Nie mogłem do tego dopuścić. Teraz będziecie leżeli na ziemi i liczyli do dziesięciu. Potem możecie wstać i iść w swoją stronę.

- A co z naszą bronią? - prawie jęknął Władek.

- Znajdziecie ją, oczywiście, bez trudu.

Major doliczył w myślach do pięciu, kiedy Władek poderwał się z ziemi.

- Gdzie on się podział?! - Rozglądał się gorączkowo. - Nigdzie go nie ma.

Major wstał powoli i otrzepał spodnie.

- Spadochron! - Władek wpadł nagle na pomysł. - Mówił, że szliśmy prosto na jego spadochron. Musimy go znaleźć.

Ruszył przed siebie, brnąc przez chaszczę, najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Spostrzegł głębokie wgniecenie w trawie, wyglądające, jakby spoczywał tam jakiś ciężki plecak lub pakunek. Zamiast spadochronu leżały tam jednak, ułożone równo obok siebie, ich własne visy.

10.

Okolice Kęszycy Leśnej, piątek 26 kwietnia 1957, godzina 21

Przeprowadzony przez Ulianowa i jego ludzi rekonesans utwierdził go jedynie w przekonaniu, że podziemia kryją w sobie więcej zagadek, niż przypuszczał. Dzięki przenośnemu generatorowi prądu na ropę udało się lepiej oświetlić i poznać tajemnicze mauzoleum. Z początku żołnierze zachowywali daleko posuniętą ostrożność. Sam Ulianow czuł respekt przed tym dziwnym miejscem, choć nie przyznałby się do tego nawet przed samym sobą. W tunelach nadal mogli ukrywać się dywersanci. Władza radziecka miała wielu wrogów. Nie dało się wykluczyć, że w okolicznych lasach działają ugrupowania polskich bandytów, zakonspirowane oddziały polskiego podziemia niepodległościowego, które nie zostały do tej pory wytępione. Nie wolno było tej możliwości lekceważyć. Co prawda 19 stycznia 1945 roku rozwiązano Armię Krajową, a jednak nie wszyscy z nich przecież zdecydowali się usłuchać rozkazu i zdać broń. Mogli nadal porozumiewać się ze sobą i żyć w ukryciu, na co dzień trudniąc się zwykłymi zajęciami. Byli to świetni żołnierze, co należało przyznać, a w dodatku doświadczeni właśnie w organizowaniu działań partyzanckich, zasadzek i niespodziewanych ataków. Śmierć Andrieja i Dymitra żadną miarą nie mogła być przypadkowa. Wiedział, że dopóki nie wyjaśni tej sprawy, nie ma po co zjawiać się w Moskwie.

Za mauzoleum rozpoczynał się imponujących rozmiarów korytarz wiodący w głąb podziemi. Biegły tamtędy tory kolejowe, a po przejściu jakichś stu metrów radzieccy żołnierze odkryli stację kolejową, rozmiarami nieustępującą tym, jakie nieraz spotkać można w średniej wielkości miasteczku. Tory kolejowe krzyżowały się ze sobą, tworząc prawdziwy węzeł komunikacyjny z odnogami prowadzonymi w niewiadomych kierunkach. Odkryto labirynt pomieszczeń i tuneli. Biura, schrony, sypialnie z pryzami, więzienie, łaźnię, magazyn amunicji, pełen min przeciwpiechotnych, podziemną elektrownię i wreszcie dziwne urządzenie, coś, co Rosjanie w pierwszej chwili uznali za ogromny piec. Był to ponury sześcian o wysokości jakichś czterech metrów i szeroki na sześć. Jego ściany były okopcone do tego stopnia, że wydawał się cały czarny. U góry biegł gruby komin i niknął w sklepieniu, prawdopodobnie wylot znajdował się

gdzieś w lesie. Zamykane na zapadnie stalowe drzwiczki znajdowały się z jednej strony, w dwóch rzędach, jeden nad drugim. Razem było ich dwanaście. Całość przypominała wielki piec do wypieku chleba na skalę przemysłową. Dopiero kiedy Ulianow zdecydował się otworzyć jedno z drzwiczek i zaświecić latarką w głąb, zrozumiał, jakie było prawdziwe przeznaczenie tego urządzenia. W środku bowiem, na stercie popiołów, dostrzegł okopcone fragmenty kości klatki piersiowej i czaszek. Było to coś, o czym nigdy nie słyszał ani z czym nie spotkał się do tej pory - podziemne krematorium. To tak zginęli budowniczy tuneli. Nikt nie mógł wyjść stąd żywy. Martwi ludzie nie zdradzają tajemnic.

W jednym z pomieszczeń odkryto także przedziwne urządzenie o niewiadomym przeznaczeniu. Była to konstrukcja o wysokości kilku metrów, kojarząca się z modelem atomu lub układu słonecznego. Wykonano ją ze stopu odpornego na korozję. Kule różnej wielkości umieszczono na obręczach i można było odnieść wrażenie, że niegdyś aparat był w nieustannym ruchu, wytwarzając coś na kształt pola elektromagnetycznego. Odnaleziono również model piramidy wysokości rosnącego mężczyzny, wykonany najprawdopodobniej z miedzi i podłączony do przerdzewiających przewodów wiodących zapewne do jakiegoś generatora energii. Wiele pomieszczeń przypominało opuszczone laboratoria, z rozbitymi i potłuczonymi, walającymi się tu i ówdzie retortami, próbkami, strzykawkami i gumowymi węzami.

Niektóre z pomieszczeń w pierwszej chwili uznano za łazienki, ponieważ ich podłogi i ściany, a nawet sufit wyłożone były ceramicznymi kafelkami. Dopiero widok stalowych, pordzewiałych łóżek na kółkach wraz z mocnymi pasami służącymi do unieruchamiania ofiar pozwolił się domyślić prawdziwego przeznaczenia tych strasznych pomieszczeń. To, co w pierwszej chwili uznano za kratki ściekowe wcale nie miało odprowadzać wody, lecz krew.

Agent wyjął aparat fotograficzny i począł robić zdjęcia. Lampa błyskowa rozjaśniała raz za razem upiorne pomieszczenia. Trzaskał spust migawki. Trzeba będzie uwzględnić to wszystko w raportach. Ale czy... czy ktokolwiek w to uwierzy? W podziemiach było bardzo zimno i nieprzyjemnie, dostrzegł, że ma zeszywniałe dłonie. Mimo to wydobyl ołówek i spróbował szkicować wstępnie rozkład pomieszczeń. Przeszukanie wszystkiego mogło zająć wiele tygodni. Jeśli natomiast chciałoby się szukać

ukrytych skarbów, z tą liczbą zaufanych ludzi, jaką dysponował, mogły to być nawet długie miesiące. Hitlerowcy mogli ukryć kosztowności niemal wszędzie. Zamurowane pod podłogą lub w ścianach, w zalanych czerniejącą wodą korytarzach i ziejących ciemnością niedostępnych pomieszczeniach.

Zaglądając do niektórych zakamarków, Ulianow nie mógł oprzeć się wrażeniu, że opuszczano je w gorączkowym pośpiechu. Rzecz trudna do wyjaśnienia, biorąc pod uwagę skrupulatną naturę Niemców. Znalaziono porzucony karabin, hełmy, a nawet jakieś dokumenty, które na pierwszy rzut oka nie przedstawiały większej wartości. Mimo to zdecydował się zebrać je i przejrzeć później. Parę razy odniósł wrażenie, że gdzieś z głębin podziemnego miasta dobiegają jakieś dziwne i niepokojące odgłosy. Trudno je było jednak wyłuskać i zidentyfikować ze względu na nieustanny, rozchodzący się echem basowy pomruk generatora. Niemniej kilkakrotnie posłyszał jakieś niosące się z oddali stuknięcia, jakby miarowe uderzenia w rurę, to znów metaliczne szczęknięcie zdające się pochodzić od żyjącej swoim życiem olbrzymiej maszyny. Trudno jednak było zlokalizować źródło tych efemerycznych odgłosów, na tyle trudno, że wszelkie próby prawdopodobnie skazane byłyby na niepowodzenie.

Poza tym... hałasy mogły być celowe. Być może żółtodziób właśnie tak by postąpił - udałby się w tym kierunku, zapragnąłby sprawdzić, skąd dobiegają, ale nie on, Ulianow. Tutaj nie można było pozwolić sobie na błędne decyzje, rozdzielanie ludzi, odgłosy mogły przecież mieć na celu zwabienie ich w pułapkę. Owszem, pomieszczenia wyglądały, jakby od zakończenia wojny nikt tu nie zaglądał. Wszystkie ślady ludzkiej obecności pokryte były warstwą kurzu i pyłu. Wydawało się, że powietrze od bardzo dawna stało tu w miejscu. Być może jednak były to jedynie pozory, a do podziemi wiodły jeszcze jakieś inne, nieznanne mu wejścia.

Sądził, że obserwowanie okolicy bunkra będzie dobrym posunięciem. Mówi się przecież, że przestępca wraca na miejsce zbrodni. Teraz jednak jego ludzie będą lepiej przygotowani. Nie dadzą się zaskoczyć. Sprawa zostanie wyjaśniona, zazwyczaj wystarczy bowiem ująć jedną winną osobę, by potem dojść po nitce do kłębka. KGB miało swoje wypróbowane sposoby, by zachęcić ludzi do mówienia. Człowiek zawsze był najsłabszym ogniwem każdej tajemnicy.

Odjechał więc do bazy, pozostawiając przy bunkrze trzech wartowników

i obserwatorów zarazem.

*

Wadim stróżował. Siedział na wielkim, płaskim, porośniętym mchem kamieniu i palił skręconego własnoręcznie z mocnego rosyjskiego tytoniu papierosa. Z namaszczeniem wydmuchiwał kłęby dymu, bacznie nasłuchiwał i obserwował okolicę swoimi lekko skośnymi oczyma. Nieopodal, w zasięgu ręki, wsparta o głaz leżała pepesza. Znajdował się na skraju polany, w pewnej odległości od bunkra, w cieniu rozłożystej sosny. Miejsce stanowiło punkt obserwacyjny, dobry do obsadzenia przez tak zwaną czujkę.

Dwaj pozostali wartownicy, Gierontij i Sasza, przyczaili się na szczycie panzerwerku, skryci za wielką stalową kopułą, mieszczącą niegdyś obrotowy moździerz wielkiego kalibru. Zapewniała ona doskonałą osłonę w razie ostrzału i całkiem nieźle kryła ich przed wzrokiem obserwatora, przynajmniej od frontu. Głównie trwali w pozycji półleżącej, od czasu do czasu obserwując na zmianę teren przez lornetkę. Mieli stąd całkiem dobry widok na polanę, ponieważ bunkier wznosił się na dobre pięć metrów i z daleka przypominał porośnięte wysoką trawą naturalne wzgórze. Chcieli stworzyć wrażenie, że Wadim jest sam.

Sasza potrafił dostrzec również słabe strony ich położenia. O ile niespodziewane dostanie się na bunkier od frontu było niełatwe dla potencjalnego przeciwnika, o tyle problem stwarzało ukształtowanie terenu na tyłach. Grupa warowna przypominać miała naturalne wzgórze i w tym miejscu teren opadał łagodnym stokiem. Właśnie tam, w odległości jakichś trzydziestu metrów rozpoczynały się gęste zarośla i ściana drzew. Gdyby ktokolwiek spostrzegł ukrytych strażników, właśnie stamtąd starałby się ich podejść. Wartownik zatem czujnie wpatrywał się w gęstwinię.

Tymczasem pogoda stawała się coraz gorsza. Zasnute ciemnymi chmurami niebo sprawiało, że szybciej niż zwykle robiło się ciemno. Z nieba siąpiła delikatna mżawka, która powoli zaczynała przeradzać się w uporczywy deszcz. Rosjanie, przywykli do takich wart, nakryli się zielonymi pałatkami i dzięki temu stali się jeszcze mniej zauważalni. Problem mogła stanowić radiostacja, lecz wyposażono ją w solidny nieprzemakalny pokrowiec. Był to nowy model, przystosowany do działań frontowych,

odporny na niełatwe warunki atmosferyczne i uważany za stosunkowo bezawaryjny. Pozostawała jeszcze, w przypadku naprawdę solidnego załamania pogody, możliwość schronienia się we wnętrzu bunkra. Wartownicy byli jednak nauczeni ścisłego przestrzegania rozkazów, a Ulianow jasno wyznaczył im posterunki.

Ciemność okryła już niemal całkowicie las. Kontury drzew, z początku rysujące się delikatnie na tle nieba o barwie ołowiu, teraz stopiły się z wszechobecną czernią. Gierontij nie lubił bezksiężycowych nocy. W takich warunkach wróg mógł ich łatwo zaskoczyć. Być może dlatego z pewną ulgą powitał delikatne rozbłyski na horyzoncie i nadchodzące z opóźnieniem ciche pomruki. Nadciągała burza, a światło błyskawic mogło choć na chwilę rozjaśniać ciemność.

- Niedobra noc - stwierdził szeptem Sasza, spluwając na ziemię.
- Trzeba uważać, żeby nikt nas nie dopadł - zgodził się Gierontij.

Może ktoś mniej doświadczony w walce naiwnie uznałby, że psująca się z każdą chwilą coraz bardziej pogoda będzie zniechęcała również nieprzyjaciela. Rosjanie wiedzieli jednak dobrze, że taka właśnie nocna nawałnica stanowi niezłą osłonę dla partyzanta lub dywersanta. Szum wiatru, łaskot kropel deszczu, pomruki burzy - to wszystko skutecznie zagłuszyć mogło odgłosy skradania się. Należało więc być podwójnie czujnym.

Trwali tak na swoich posterunkach, nieznacznie zmieniając tylko położenie. Burza tymczasem przybierała na sile. Sasza usiłował wpatrywać się w las, choć niewiele był w stanie wypatrzyć, zaledwie ciemne kontury gałęzi i pnie. Raz czy dwa odniósł nieprzyjemne wrażenie, że dostrzega tam jakiś ruch i przemykające się cienie, zaraz potem jednak dochodził do wniosku, że musiało mu się przewidzieć.

Na razie jednak nie było żadnego większego powodu do niepokoju i zaczął nabierać pewności, że będzie to bardzo ciężka, ale typowa warta. Gierontij tymczasem obserwował miejsce, gdzie na skraju polany siedział Wadim. Widział go tylko od czasu do czasu, kiedy jasny błysk pioruna rozświetlał niebo nad lasem i słychać było ogłuszający niemal huk grzmotu. Wyglądało na to, że zawzięta burza szaleje tuż nad nimi i wcale nie ma zamiaru nigdzie odchodzić.

Wadim nakrył się szczelnie pałatką, otulił przed wiatrem i w ogóle nie

dało się dostrzec jego twarzy. Przypominał okryty czarną płachtą posąg. Nie dawał również żadnych znaków, lecz Gierontij dobrze znał towarzysza i wiedział, że ten czuwa. Niebezpieczeństwo, że ktoś go zaskoczy i po cichu zlikwiduje, wydawało się niewielkie. Znajdowali się w zasięgu głosu i pomimo nawałnicy na pewno każdy krzyk byłby dobrze słyszalny. Poza tym wartownik miał przy sobie pistolet sygnałowy, wystarczył jeden ruch wyszkolonej ręki, a huk, przeciągły gwizd i czerwona flara wzbudziłyby momentalny alarm.

Nagle z głębi lasu dobiegł głośny trzask łamanej gałęzi. Sasza i Gierontij natychmiast spojrzeli w tamtą stronę. Ich mięśnie naprężyły się jak u przygotowujących się do skoku panter. Przeładowali broń, palce niemal pieśczośliwie dotknęły spustów pepesz.

- Ktoś jest w lesie - syknął ostrzegawczo Sasza. Niegdyś wiele polował i z dużym prawdopodobieństwem umiał odróżnić naturalne odgłosy lasu od tych, których przyczyną była obecność zwierzyny, zwłaszcza dwunożnej.

Wyczekiwali w napięciu. Niebo nad nimi raz po raz rozdzierały błyskawice, deszcz siekł po pałatkach z coraz większą siłą, dudnił po hełmach, szumiał w koronach drzew, bębnił po stalowej kopule bunkra.

- Jakiś ogień w lesie. - Towarzysz trącił go ręką. - Patrz tam!

W głębi lasu pośród ciemności dało się dostrzec drgającą poświatę, jakby od płomieni. Z początku była ona niewyraźna, jakby pojawiła się znikąd, nagle jednak urosła w siłę.

- Ognisko? - szepnął Sasza.

- Za duże, raczej pożar w lesie. Może piorun uderzył w drzewo. Patrz! Ogień znikł i pojawił się z tamtej strony.

Płomienie wydawały się sunąć majestatycznie w ich kierunku i były coraz bliżej. Pod wpływem niespokojnego światła las zdawał się ożywać. Drgały niezliczone cienie i odbłaski. Mokre pnie drzew odbijały światło płomieni, jakby refleksami odpowiadając na wezwanie dziwnego ognia. Stwarzało to nieprzyjemne wrażenie, że sam las w jakiś sposób ożył i sunie w ich stronę.

- Miotacz ognia - zawyrokował Gierontij, choć nie słyszał charakterystycznego dla tej strasznej broni syku wyrzucanej łatwopalnej

mieszanki i nie czuł typowego zapachu spalonego paliwa.

Sasza zdecydowanie przecząco pokręcił głową. Pomysł, że ktoś mógłby próbować zaatakować ich przy użyciu miotacza płomieni właśnie w ten sposób, wydawał się co najmniej dziwny. Skuteczny zasięg tej broni w wersji ręcznej to niecałe trzydzieści metrów. Wróg musiałby wprawdzie podejść blisko, chcąc wykorzystać element zaskoczenia, a dopiero potem przypuścić atak. W obecny sposób jedynie niepotrzebnie zdradzałby swój zamiar i położenie.

Niespodziewanie chmura ognia uniosła się dobre kilkanaście metrów nad ziemię. Gdzieś tam stanęły w ogniu gałązki, tu i ówdzie sypały się snopy iskier. Mokre drzewa nie stawały jednak w płomieniach, nie zajmowały się ogniem, co zdawało się wykluczać wersję miotacza płomieni i łatwopalnej mieszanki.

Sasza gwałtownym ruchem pochwycił lornetkę i zaczął uważnie wpatrywać się w dziwne zjawisko. Musiało to być złudzenie, a jednak wydało mu się, że ogień przybrał kształt zbliżającej się w ich stronę ludzkiej postaci. Kojarzyła mu się z płomienną strzygą, o której jako mały chłopiec słyszał od starych ludzi w rodzinnej wsi Ulsin. Zdawała się mieć włosy utkane z pełgających płomieni i wiele par rąk, rozrzucających wokoło snopy iskier, w których dzierżyła rozżarzone do czerwoności sierpy. Jak brzmiała ta dziwna piosenka, którą nieraz słyszał przy akompaniamencie bałajki? „Nie znajdziesz ucieczki ni w piekle, ni w niebie, gdy żywy ogień przyjdzie po ciebie. Już krzyk straszliwy słychać w oddali, to żar już komuś oczy wypalił”. Słyszając tę pieśń, intonowaną drżącymi głosami bab w zasypywanej śnieżną zamiecią chacie, podejrzewał wówczas, że „żywy ogień” oznacza miłość mężczyzny do kobiety, a „wypalenie oczu” symbolizuje ślepotę namiętności zakochanego. Teraz jednak przemknęło mu przez myśl, że znaczenie słów tej starej ludowej rosyjskiej pieśni mogło być zgoła zupełnie inne. Kto wie, czy nie odnosiło się do tego, co właśnie ujrzał. Żywy ogień. Płomienna strzyga. Tak naprawdę wiedzieli o niej wszyscy. To ona niejednokrotnie podpałała domy i stawała się przyczyną koszmarnych tragedii. Była znana jak step długi i szeroki. Rozmawiano o niej szeptem, choć nie wolno było. Podobne gadanie władze uznawały za szerzenie wstecznictwa i zabobonów.

Ogień nad lasem znikł, tu i tam dało się jeszcze dostrzec dogorywające wśród koron świerków płomyki. Być może rzeczywiście ktoś pragnął ich

jedynie nastraszyć, detonując w lesie baryłkę z benzyną. Ogień najpierw rozpełzł się wokół, rzucając na las tajemniczą poświatę, a następnie baryłka eksplodowała, unosząc w górę chmurę ognia. Resztę uczyniła po prostu jego wyobraźnia i te przekłete ludowe przyspiewki, których nasłuchał się w dzieciństwie, zanim wreszcie zrozumiał, że świat to jedynie atomy i próżnia oraz dialektyczna walka klas społecznych.

Niemniej to, co widzieli obaj z Gierontijem, nie było złudzeniem. Ktoś kręcił się w lesie. Ogień nie mógł przecież wybuchnąć tak sam z siebie. Strategia prowadzenia akcji dywersyjnych często zakładała wykonywanie zwodniczych eksplozji. Miały one na celu zwabienie żołnierzy w pułapkę lub po prostu odwrócenie ich uwagi. Właśnie, a co z Wadimem? Musiał przecież również to widzieć.

Sasza przypadł ostrożnie do kopuły mózdzierza i wychylił się, spoglądając na polanę przed bunkrem, w miejsce, gdzie powinien siedzieć Wadim. Nic jednak nie mógł dostrzec, było za ciemno. Rzecz jasna, mógł użyć latarki, jednak zważywszy na okoliczności, byłoby to nierozsądne, światło bowiem zdradziłoby ich położenie i zniweczyło całą strategię pułapki oraz zaskoczenia. To nie tak miało przecież wyglądać. Wróg miał zostać zmylony, sądzić, że Wadim sam pełni straż. Kiedy dywersanci zdecydowaliby się pojawić na polanie przed bunkrem, on i Gierontij powitaliby ich huraganowym ogniem z pepesz, a następnie wezwali za pomocą radiostacji odsiecz z bazy... Jednak pomysł Ulianowa nie wydawał mu się obecnie wcale tak dobry, jak na samym początku.

Właśnie, radiostacja... Sasza nie potrzebował nawet nic mówić, Gierontij jakby sam z siebie zrozumiał jego myśli i sięgnął do gałki urządzenia. Rozległy się trzaski i szum. W istocie sytuacja bez wątpienia wymagała, by poinformować o niej Ulianowa. Ten mógł już spać, lecz w bazie całą dobę musiał czuwać przeszkolony radiotelegrafista. Zaraz zjawią się towarzysze z KGB wraz ze sporym oddziałem żołnierzy.

- Orle gniazdo do sokoła, kod trzy. Odbiór! - zawołał do ebonitowej słuchawki Gierontij.

Musiał oczywiście posługiwać się szyfrem, istniała bowiem możliwość, że w okolicy ktoś mógł prowadzić nasłuch. „Kod trzy” oznaczał poziom zagrożenia w pięciostopniowej skali. Oznaczał „zauważyłem działania nieprzyjaciela”, cztery - „jesteśmy pod ostrzałem, przyslijcie odsiecz”, pięć -

„sytuacja krytyczna, pomoc potrzebna natychmiast”. Odpowiedziały mu jedynie głośnie trzaski i szum urządzenia. Żołnierz ponowił wezwanie, znów bez odpowiedzi.

- Burza - rzucił. - Może to ona zakłóca fale radiowe. Chyba jest tuż nad nami.

„Do diabła - pomyślał Sasza. - To wszystko coraz mniej mi się podoba. Gdzie, u licha, jest Wadim?”. Znów spojrzał w stronę, gdzie powinien znajdować się czuwający wartownik. Nieopodal uderzył kolejny piorun. Nagły rozbłysk światła przyniósł mu odpowiedź. Kamień, na którym miał czuwać Wadim, był pusty.

Czyżby postanowił działać na własną rękę? Może kiedy zobaczył ogień, wszedł w las, chcąc okrążyć wroga z lewej flanki? A może postanowił pójść wokoło bunkra, wejść po stoku i dołączyć do nich, by ustalić dalszy plan działania? To wydawało się najbardziej prawdopodobne, czemu jednak nie zdołał do nich dotrzeć?

Gierontij monotonicznie wywoływał bazę. Głos miał z pozoru spokojny, a jednak jego wezwania następowały teraz z większą częstotliwością, coraz bardziej natarczywie.

- Wadim zniknął - zakomunikował mu Sasza.

- Kod trzy. Odezwiście się!

Żołnierz bezskutecznie słał w eter kolejne komunikaty. Raz nawet zdało mu się, że słyszy jakiś głos, zawodzący i zdławiony, jakby odtwarzany w zwolnionym tempie z taśmy magnetofonu szpulowego. Coś musiało stanowić dla fal radiowych barierę nie do przebycia. Może burza, może ulewa, może las, może ten przeklęty metal kopuły... a może wszystko razem. Miał jednak nadzieję, że go usłyszeli, choć nie doczekał się odzewu. Kto wie, może przez las z zapalonymi reflektorami mknęły już radzieckie ciężarówki. Pomoc mogła być w drodze. Przecież to zaledwie kilka kilometrów!

- Znikamy stąd! - zawyrokował. - Spróbujemy z innego miejsca.

- Dokąd? - Sasza złapał go za ramię. - Może oni tego właśnie chcą?

Nie wiedział, kim mogą być ci „oni”, tajemniczy bandyci, dokonujący w lesie zwodniczych eksplozji, a następnie prawdopodobnie likwidujący po cichu Wadima. Jednak takiego przeciwnika bez wątpienia nie można było

lekceważyć. Trwając na wzniesieniu, nadal posiadali pewną przewagę, należało tylko dotrzeć do rana. Nie wolno było pozwolić wciągnąć się w grę, której zasady ustalał ktoś inny.

Pistolety sygnałowe! Czemu nie użył ich natychmiast! Pewnie nie docenił niebezpieczeństwa, uznał, że radiowy komunikat będzie odpowiedniejszy do sytuacji, nie spłoszy wroga, umożliwi jego zaskoczenie przez nadciągające z bazy posiłki. Teraz jednak było już tego wszystkiego za wiele - ogień, zniknięcie Wadima... Wyrwał więc raketnicę zza pasa i wycelował w niebo. Huk targnął powietrzem, raca ze świstem pomknęła w ciemne niebo, a następnie zaczęła powoli opadać, zalewając drzewa blaskiem podobnym do koloru krwi. Mimo złej pogody sygnał musiał zostać zauważony przez stojącego w bazie, na wysokiej drewnianej wieżycy wartownika.

Nagle za plecami posłyszał jakiś przypominający skwierczenie elektryczności odgłos. W jednej chwili poderwali się na równe nogi. Wróg zaszedł ich od frontu, gdy obserwowali las, od strony wysokiej na pięć metrów betonowej ściany! Wydarzenia rozegrały się w błyskawicznym tempie. W ułamku sekundy Sasza spostrzegł, że po ziemi w jego kierunku sunie coś, co przypomina roztopiony metal. To jedyne skojarzenie, jakie wówczas przyszło mu na myśl. Płomienie błyskawicznie spowiły jego ciało, wyciągnęły się niczym macki potwora. Mimo przeszywającego bólu wycelował broń w stronę zagrożenia, którego nie potrafił nazwać. Silny odrzut pepeszy targał jego ramieniem, huk wystrzałów wdzierał się w bębunki uszu. Niektóre z pocisków trafiły w bok kopyty, skrzęsując jaskrawe snopy iskier. Jednak w tym samym momencie coś zniemacka pochwyciło go za gardło. Miał wrażenie, że jego szyję opasała rozżarzona do czerwoności żelazna obroża. Usłyszał pełen paniki wrzask Gierontija, który jednak natychmiast przerodził się w bezradne bulgotanie. Jego twarz opryskała jakąś gorącą cieczą, którą gasnący umysł zidentyfikował jako krew towarzysza. Coś niczym stalowe szpony wtargnęło bez przeszkód w jego ciało, rozrywało je od wnętrza, zadając straszliwe rany. Jedyne, czego w tej chwili zapragnął, to natychmiast umrzeć. Wcześniej jednak ujrzał to, co jego umysł potrafił określić jedynie mianem „płomiennej strzygi” - potężną kobiecą postać, która zdawała się zbudowana z ognia. Jej ramiona opasywały go z niewiarygodną szybkością, zdało się, że jest ich wiele, może nawet dziesiątki lub setki. Wszędzie, gdzie dotknęły jego ciała, pojawiał się przeraźliwy ból, miał wrażenie, że w jednej chwili przebija go tysiąc ostrzy. Wreszcie jego

najskrytsze pragnienie spełniło się, umarł, choć wiedział, że sparaliżowane bólem ciało trwa nadal w pozycji pionowej i płonie niczym żywa pochodnia.

11.

Okolice Kęszycy Leśnej, sobota 27 kwietnia 1957, godzina 1.30

Ulianow miotał się, chodząc w tę i z powrotem w świetle rzucających długie cienie reflektorów ciężarówek. Jego twarz przypominała odlaną z wosku maskę wściekłości. Przybyli możliwie szybko, w niecałe dwadzieścia minut od czasu, gdy wartownik dostrzegł alarmową flarę i posłyszał odległą kanonadę. Byliby może nawet prędzej, gdyby nie rozmokła miejscami leśna droga i postręcane wichurą gałęzie. Wszystko tu sprzysięgło się przeciwko nim. Gdyby agent KGB wierzył w diabła, uznalby, że maczał on w tym swoje palce. To, co zastał na miejscu, przepełniło go przerażeniem. Oczywiście wcale nie ze względu na los, jaki spotkał jego ludzi. Obawiał się raczej jak na raport ze zdarzeń zareaguje Moskwa. Jego podwładni ginęli w niewyjaśnionych okolicznościach, a on nie potrafił zrobić nic, aby temu zapobiec, nie ujął do tej pory żadnego winnego ani nawet podejrzanego. To musiało się zmienić.

Ciało Wadima, zmasakrowane, z oderwaną od tułowia głową, odnaleziono jako pierwsze, w zaroślach, nieopodal kamienia, przy którym miał czuwać. Funkcjonariusze KGB, w tym sam Ulianow, pospiesznie wdrapali się na bunkier, by odnaleźć tam na poły porozrywane, na poły zwęglone ciała Saszy i Gierontija. Ulianow skrzywił się z niesmakiem, czując smród nadpalonych zwłok, i zapalił papierosa, zaciągając się nim głęboko.

Obrażenia ciał wskazywały na kolejny atak tego samego sprawcy. Musiał być niezwykle szybki, przebiegły i bezwzględny. Rosjanin cenił bezwzględność i czuł mimowolny szacunek wobec tego nieuchwytnego przeciwnika. Zdawało mu się, że jest w stanie odtworzyć cały przebieg zdarzeń. Ktoś zakrada się od tyłu do Wadima, korzystając z osłony, jaką dają burza i wichura. Morduje go błyskawicznie, zapewne przy użyciu noża. Potem dostaje się na górę, w okolice kopuły, za którą skryci są Sasza i Gierontij. Jednak skąd wiedział? Może zauważył ich już wcześniej, obserwował polanę i bunkier od dłuższego czasu, przewidział zastawioną pułapkę, znał rozmieszczenie żołnierzy. Następnie zaatakował znienacka, lecz w tym czasie jeden z wartowników zdążył jeszcze wystrzelić z pistoletu sygnałowego?

Ulianow podeszedł do kopuły i oświetlił ją z bliska latarką. Nosila ślady pocisków, wyglądających na świeże. Kule pozdzierały rdzę, a metal lśnił na wyżłobionych kulami rysach. Na ziemi leżały łuski. Więc otwarli ogień, lecz z jakiegoś powodu nie zdołali nikogo zranić ani zabić. A może właśnie zdołali, lecz towarzysze dywersantów zabrali rannych lub zabitych? Przeszedł się wzdłuż i wszerz, starając się odczytać coś z mokrej trawy, znaleźć jakieś ślady. Na próżno.

To wszystko nie mieściło mu się w głowie, przekraczało jego wyobraźnię. W jaki sposób, u diabła, nieprzyjaciel zdołał zaskoczyć dwóch skrytych za kopułą dobrze uzbrojonych i wyszkolonych wartowników i zlikwidować ich? Czemu nie wezwali pomocy przez radiostację? Wreszcie pozostawało pytanie najważniejsze... Dlaczego wszystkie ciała nosiły ślady ognia i zostały tak bezwzględnie rozszarpane? Nachylił się nisko, świecąc latarką w szeroko rozwarte oczy leżącego w trawie Saszy. Światło odbijało się od oczu trupa i sprawiało wrażenie, że lśnią jakimś nieziemskim srebrzystym blaskiem. Przez plecy Ulianowa przebiegł lodowaty dreszcz. Omiótł wzrokiem najbliższe twarze otaczających go podwładnych z KGB. Oprócz widocznego podekscytowania i niedowierzania na wielu z nich malowało się coś zupełnie nowego - strach.

Nagle olśniło go. Wszystko zrozumiał. Działający w okolicy świetnie wyszkolony oddział niepodległościowej partyzantki postanowił dokonać mordów, aby zasiać panikę w szeregach radzieckich żołnierzy. Dlatego właśnie po zabiciu wartowników ich ciała tak potwornie okaleczono. Zapewne użyto jakichś specjalnie przygotowanych do tego celu narzędzi i łatwopalnej substancji. Efekt, trzeba przyznać, był piorunujący. A zatem nie można było dopuścić do wybuchu paniki. Należało wymyślić coś, cokolwiek, naprędce, co uspokoi umysły żołnierzy. Jakiegokolwiek użyteczne kłamstwo, które mogło oddalić strach. Z doświadczenia wiedział, że ludzie chętnie przyjmują nawet najbardziej niezręczne kręctwa, jeśli tylko w danej chwili przynoszą one ulgę.

- Już wiem, co mogło się stać - powiedział głośno, chcąc, aby dobrze go słyszano. - Jest bardzo prawdopodobne, że w lesie grasuje oddział polskich bandytów. Dlatego od teraz musimy zachować najwyższą czujność. Niemniej to, co stało się dzisiejszej nocy, może nie mieć z nimi związku. Nasi ludzie heroicznie trwali na posterunku. Nie ukryli się w bunkrze pomimo nawałnicy. Niestety, przyszło im zapłacić za to najwyższą cenę. W metalową

kopułę mózdzierza uderzył piorun. Świadczą o tym te oto widoczne nadpalenia. - Wskazał ręką w kierunku leżących na ziemi ciał. - Wartownicy zostali śmiertelnie porażeni. Jednocześnie uderzenie pioruna spowodowało zdetonowanie jednego z granatów, które mieli przy sobie. Dlatego też ciała są tak porozrywane.

- A co z Wadimem? - zaryzykował Anatolij, jeden z funkcjonariuszy KGB. - Towarzyszu, przecież on stał w innym miejscu.

- To musi wyjaśnić dalsze śledztwo - przebiegle odparł Ulianow. - Nie można takich rzeczy rozstrzygać jedynie na podstawie domysłów. Dopuszczam jednak już teraz kilka możliwości. Pierwsza z nich jest taka, że gdy Wadim dostrzegł, co się stało, natychmiast pospieszył towarzyszom na ratunek. Wdrapał się na bunkier i właśnie wtedy jeden z granatów, a może nawet kilka, eksplodowało z opóźnieniem i odrzuciło jego poranione szczątki w zarośla, w których je znaleźliśmy. Druga mówi, że Wadim posłyszał w lesie coś podejrzanego i dołączył do pozostałych towarzyszy, aby ich ostrzec i ustalić dalszy plan działania. Wtedy nastąpiło uderzenie pioruna w kopułę i eksplozja. Wadim, śmiertelnie ranny, zdołał zejść jakoś z bunkra i spieszył wypełnić swój ostatni obowiązek, by powiadomić dowódcę...

- Towarzyszu, za pozwoleniem... - zaproponował powtórnie Anatolij - ale nawet największy bohater Związku Radzieckiego nie może iść z oderwaną głową!

- Zapamiętam wasze słowa - rzucił oschle Ulianow. - Świadczą one bowiem o tym, że niewiele wiecie na temat bohaterów radzieckiego oręża.

Anatolij wyraźnie zorientował się, że powiedział przysłowiowe dwa słowa za dużo. Pokornym tonem dodał więc:

- Proszę mi wybaczyć, towarzyszu Ulianow. Nie to miałem na myśli. Aby jednak sprawdzić przypuszczenia towarzysza, wystarczy zbadać i przeliczyć granaty w ładownicach.

- To nic nie da. Nie pamiętam dokładnie, ile granatów mogli mieć przy sobie żołnierze. Całkiem możliwe, że mieli ich więcej, niż przewidywało regulaminowe wyposażenie. Musieli mieć przecież świadomość, że będą być może zmuszeni do zacieklej walki. Chwała ich pamięci!

- Chwała! - podjęli okrzyk prawie wszyscy wojskowi, których Ulianow mógł dostrzec, choć zabrzmiał on dość niemrawo.

Niezbyt zadowolony z efektu Ulianow wreszcie postanowił przejść do sedna sprawy.

- Sprowadźcie tu natychmiast polskich oficerów! - huknął.

„Zbyt wiele tych dziwnych zbiegów okoliczności” - rozmyślał agent KGB. Ktoś wiedział, że dostali się do bunkra. Z jakiegoś powodu jego dwóch ludzi zaskoczono właśnie tam. Kto jeszcze, prócz ludzi z KGB, wiedział o planie wysadzenia ściany i zbadania podziemi? Odpowiedź nasuwała się sama. Polscy oficerowie.

Ten, kto zabił trzech jego ludzi, poradził sobie znakomicie. Byłoby to trudne, jeśli nie przeprowadziłby wcześniej dobrego rozpoznania. Kto zatem, rozumował Ulianow, słyszał wydawane przez niego rozkazy, wiedział, że Gierontij i Sasza ukryli się za stalową kopułą? Między innymi właśnie polscy oficerowie. Nie uszedł jego uwagi również niepokojący meldunek, jaki otrzymał od obserwującego okolicę przez lornetkę radzieckiego żołnierza. Lecący nisko samolot i wreszcie jasna czasza spadochronu, opadająca gdzieś nad lasem. W czasie, gdy to miało miejsce, ani majora, ani tego jego przydupasa Władka nie było w bazie.

Wszystko to było wciąż za mało, by mówić o dowodach zdrady. Władza, którą reprezentował, miała jednak swoistą, zupełnie inną filozofię działania - najpierw zlikwiduj, a potem dowody znajdą się same. Poza tym kto inny mógłby współpracować z leśną partyzantką, kto inny miałby ku temu motyw? Przecież nie jego ludzie, raczej też nie zwykli radzieccy żołnierze. Ci bowiem znali doskonale mechanizmy działania radzieckiej maszyny i nie ryzykowaliby życiem swoim i rodzin, działając przeciw potędze Związku Radzieckiego. Najbardziej podejrzani wydawali się zatem Polacy. Ulianow postanowił działać zgodnie ze sprawdzonymi metodami. Terror i strach to najskuteczniejsze metody sprawowania władzy nad ludźmi. Jeśli i to zawiedzie, trzeba będzie wziąć przykład z SS, ponurego Czarnego Zakonu. Oni potrafiliby rozwiązać ten problem bardzo szybko.

Tymczasem postanowił sprowadzić na miejsce Polaków. Pokazać im wszystko, co zastał, i obserwować reakcję. Czasem wystarczy przecież jedno słowo za dużo czy nieostrożny gest, aby się zdradzić.

*

Major Staszewski, uważnie obserwowany przez Ulianowa, podszedł do ciała Wadima. Trzeba poniekąd przyznać, że Ulianow wykazał się rozsądkiem, pozostawiając zwłoki w miejscu, w którym je znaleziono. Ich położenie mogło być źródłem ważnych wskazówek, lecz posiadało i złe strony, bowiem były one pokryte rojem much, które mimo nocnej pory zleciały się na żer. Tworzyły niemal szczelną pokrywę, ruchliwą czarną masę, która poderwała się do lotu. Był to widok, od którego zbierało się na mdłości. Władek nie bez powodu postanowił trzymać się nieco w oddali, zapewne nie chcąc, by prześladowały go senne koszmary. Reflektory ciężarówek zapewniały dość światła, by uwidocznic większość makabrycznych szczegółów. Staszewski jednak czuł przede wszystkim żal i współczucie. Wszystko jedno, czy darzył sympatią funkcjonariuszy KGB. To byli przecież ludzie, tacy sami jak on, mieli swoje myśli, marzenia i plany, które śmierć gwałtownie przerwała. Należało więc, skoro go o to poproszono, spróbować chociaż wyjaśnić przyczynę zdarzenia. Skierował światło latarki wprost na leżące u jego stóp ciało.

Już pierwsze spojrzenie dostarczyło mu znacznie więcej pytań niż odpowiedzi. Bezgłowy korpus Wadima leżał na plecach, z rękami szeroko rozrzuconymi i lekko podkurczonymi nogami. Tym, co szczególnie zwróciło uwagę majora, były ślady ognia, poparzenia i wyraźnie osmalony mundur. Wyglądało na to, że człowiek ów został zaatakowany nagle i z zaskoczenia. Śmierć mogła nastąpić stosunkowo szybko, a jednak najwyraźniej żołnierz usiłował bronić się do ostatniej chwili i był świadom tego, co się z nim dzieje. Świadczył o tym układ ramion, nadal jakby lekko usztywnionych w obronnym geście, a także zaryta w ziemię jedna z dłoni. Niebezpieczeństwo musiało pojawić się gwałtownie, tuż za jego plecami. Czemu jednak nie zdołał krzyknąć, ostrzec swoich towarzyszy?

Po części odpowiedź przynosiła leżąca obok trupa głowa. Sprawiała wrażenie oderwanej lub odgryzionej. Zapewne coś w pierwszej kolejności zaatakowało gardło. Wartownik walczył jeszcze przez moment w rozpaczliwym akcie samoobrony, kiedy to sprawca zadawał mu głębokie szarpane rany. Nie mógł już jednak krzyczeć. Ostatecznie głowa została oderwana od reszty ciała. Następnie użyto jakiejś łatwopalnej substancji.

Ten naprędce zrekonstruowany w myślach majora przebieg wypadków on sam mógłby podsumować tylko dwoma słowami - zupełnie nieprawdopodobne. Nie mogło mu się pomieścić w głowie, by ktoś,

dysponujący przecież bardzo krótkim czasem, mógł w takim stopniu zmasakrować ludzkie ciało, w dodatku po cichu. Musiało to przecież stać się szybko, może kilka sekund, może kilkanaście, na pewno nie dłużej niż minuta. W przeciwnym razie skryci na bunkrze wartownicy coś by zauważyli, doszedłby do ich uszu jakiś odgłos... chociażby szamotaniny, łamanych gałęzi, błysk ognia. Obrażenia tymczasem sprawiały wrażenie, jakby były skutkiem wielogodzinnych tortur. Dekapitacja, zwłaszcza w ten bezwzględny sposób, wymagała albo użycia jakichś specjalistycznych narzędzi, albo ogromnej siły. Rany szarpane wyglądały, jakby zostały zadane długimi szponami, w dodatku rozżarzonymi do czerwoności.

Nigdzie nie dało się dostrzec - podobnie jak w przypadku poprzednich zbrodni - śladów krwi. To również było w najwyższym stopniu niepokojące, zwłaszcza przy takich ranach, gdy przecież powinno jej być mnóstwo. „Została jak gdyby wyssana, wchłonięta” - przemknęło przez myśl Staszewskiemu. Jednym słowem, podobnej zbrodni nie mógł dokonać człowiek, zwłaszcza w tak krótkim czasie. Nie mogła to być również, zdaniem majora, sprawka dzikiego zwierzęcia. Ślady ognia przeczyły temu bezwzględnie. Nieszczęśliwy wypadek czy wreszcie samobójstwo poprzez detonację granatu można by brać pod uwagę w przypadku pojedynczego zdarzenia. Jednak w odstępie doby w niewyjaśnionych okolicznościach śmierć poniosło aż pięciu żołnierzy. Major nie wiedział, co ma o tym wszystkim myśleć.

Nagle posłyszał pacnięcie spadającej szyszki. Uniósł głowę w górę i poświecił latarką. Gałęzie drzew, na wysokości około sześciu metrów były wyraźnie osmalone. Wyteżył wzrok. Nadpalenia pojawiły się na czubkach świerków i sosen, lecz nie na samych pniach. Zupełnie jakby powstały na skutek chmury ognia lub płomieni unoszących się i przemieszczających w powietrzu.

Następnie major, zdając się ignorować pytające spojrzenia Ulianowa i jego irytującą, natarczywą obecność, wdrapał się na wierzch bunkra. Obejrzał uważnie spoczywające obok stalowej kopuły ciała dwóch kolejnych wartowników. Obrażenia wskazywały na tego samego napastnika. Radiostacja. Czemu nie wezwali pomocy?

- Ustaliliście coś, towarzyszu? - zapytał przypatrujący mu się uważnie Ulianow. - Wyglądacie mi na osobę, która lubi detektywistyczne zagadki.

Major udał, że nie słyszy pobrzmiewającej w tych słowach nutki ironii.

- Nie prowadziłem nigdy dochodzeń ani żadnego kryminalnego śledztwa. Wiem jednak, że zawsze w takich okolicznościach trzeba uwzględnić kilka podstawowych czynników. Po pierwsze, kto mógł mieć motyw, aby zabić tych ludzi. Po drugie, na kogo wskazuje sposób popełnienia zbrodni, okoliczności i użyta broń. Po trzecie samo miejsce zdarzenia. Czemu akurat tutaj, a nie gdzie indziej? Przecież dwóch pierwszych żołnierzy zginęło w podziemiach, a pozostałych trzech przy wejściu do nich. Po czwarte, można też zadać pytanie, czy sprawca, który dopuścił się tych czynów, będzie usiłował działać dalej, popełniając kolejne zbrodnie...

- Słucham zatem odpowiedzi - podsumował Ulianow, na pozór spokojnym głosem.

- W chwili obecnej... - rzeczowo odparł Staszewski - nie jestem w stanie udzielić odpowiedzi na żadne z trzech pierwszych pytań.

- A na ostatnie?

- Moim zdaniem odpowiedź na ostatnie brzmi: „tak”.

- Zastanawiające. - Agent KGB przyjrzał mu się uważnie. - Skąd ta niezbita pewność? Skąd to wiecie?

- Ten, kto dokonuje zbrodni w tak okrutny sposób, tak bezwzględnie, szybko i w krótkim odstępie czasu, a w dodatku, jak się wydaje, wybiera swoje cele przypadkowo, nie przestanie, aż zostanie powstrzymany. Jest jak niszczycielski żywioł. Woda, powietrze... ogień.

- Interesujące - zadrwił Ulianow.

Major odpowiedział milczeniem. Zbyt mało jeszcze miał informacji, by zabrać w tej sprawie głos. Myślał przez chwilę i wreszcie stwierdził energicznie:

- Należy jeszcze raz zejść do podziemi i poszukać jakichś wskazówek.

- Byliśmy tam już i niczego nie znaleźliśmy, więc i wy nie znajdziecie - zachnął się Ulianow. - Ale jeśli tak bardzo macie ochotę, chodźmy zatem. Weźmiemy ze sobą sześciu naszych ludzi, dobrze uzbrojonych.

- Pójdę sam - spokojnie, lecz stanowczo oświadczył major.

- Słucham?! Nie... boicie się? - spytał na wpół prześmiewczo, a na wpół podejrzliwie zaskoczony funkcjonariusz KGB. - Tam w podziemiach jest bardzo ciemno. Wiele może się zdarzyć.

- Ktokolwiek zabił tych żołnierzy, jeśli będzie chciał, poradzi sobie też z nami. Wszystko jedno, czy będzie nas ośmiu, czy tylko jeden - wyjaśnił major.

- Dwóch, panie majorze - wtrącił się Władek. - Ja też chcę iść na zwiad.

Major zerknął na niego i delikatnie skinął głową. Ulianow wyszczerzył zęby w uśmiechu piranii.

- No, proszę, wy, Polaczki, lubicie trzymać się razem. Dobrze więc. Droga wolna. Każda inicjatywa jest dobra, jeśli tylko pomoże wyjaśnić zagadkę śmierci moich ludzi.

W głębi duszy doszedł nagle do wniosku, że będzie to całkiem niezły eksperyment. Co prawda nierozstrzygający, bo przecież i on sam zbadał podziemia i wyszedł z nich bez szwanku, lecz być może wiele mówiący. Czemu Polacy tak palili się do wyjaśnienia tej sprawy, która przecież bezpośrednio ich nie dotyczyła? Czy fakt, że powrócą z podziemi cali i zdrowi, nie będzie kolejnym, małym fragmentem pasującym wyśmienicie do całej układanki? Skoro chcą iść, pewnie mają pewność, że nic im nie grozi. Może współpracują z organizatorami zasadzki. Może nawet chcą kogoś ostrzec, kogoś, kto nie zdążył zbiec do lasu, lecz ukrywał się w samym podziemnym mieście. Fakt, że również dwaj polscy oficerowie mogą poznać sekrety podziemi, przestał mu nagle przeszkadzać. W odpowiednim czasie, być może całkiem niedługo, postara się, by nikomu nie mogli o niczym powiedzieć. Okoliczności mogą być wybornym pretekstem, by pozbawić ich głosu. Na zawsze.

Porośniętym mokrą trawą łagodnym stokiem zszedł ze wzgórka i schronił się pod rozłożystą sosną. Wydobył tytoń, bibułkę i zaczął z namaszczeniem skręcać sobie papierosa, delikatnie uśmiechając się przy tym do samego siebie. Być może jego położenie nie było wcale takie złe. Należało jedynie znaleźć jakąś przeciwwagę, coś, co oddaliłoby od niego podejrzenie o nieudolność. Wykrycie spisku polskich oficerów nadawało się do tego znakomicie.

Tymczasem Polacy zabrali z ciężarówki dodatkowe latarki i

odprowadzani ciężkimi spojrzeniami agentów KGB skierowali się do niskiego wejścia prowadzącego w głąb bunkra. Nie mieli nawet karabinów ani granatów, a jedynie broń osobistą.

Deszczowa aura sprawiła, że w bunkrze było jeszcze bardziej wilgotno niż zazwyczaj. Światło latarek odbijało się tu i ówdzie w wilgotnych plamach i solnych naciekach. Panowała cisza, w której było słycać jedynie szuranie ciężkich, wojskowych butów. Znaną już trasą udali się w głąb podziemi, dochodząc aż do wyrwy w murze. Major rozglądał się uważnie w poszukiwaniu jakichś śladów lub wskazówek.

- Ten napis... - zauważył Władek, wskazując na ścianę tunelu. - „Niech nikt pod żadnym pozorem nie posuwa się dalej”... Myślisz, że jednak coś się za tym kryje?

- W pierwszej chwili sądziłem, że niekoniecznie - odparł major. - Myślałem, że takie ostrzeżenie miało po prostu odstraszać intruzów. To oczywiście nonsens, bo napis jednoznacznie sugeruje, że istnieje jakieś „dalej” i że właśnie w tym miejscu należy szukać. Dlatego podejrzewałem również pułapkę. Ani jedno przypuszczenie, ani drugie nie okazało się chyba całkiem trafne... Nie to intryguje mnie jednak najbardziej. Widzisz?

Władek spojrzał na pokryty swastykami mur, nie zobaczył jednak niczego niezwykłego.

- Swastyki - wyjaśnił major, dostrzegając zakłopotanie na twarzy Władka.
- Są lewoskrętne.

- Lewoskrętne? Wydają się inne niż zwykle, ale... rzeczywiście!

- Swastyka to symbol pochodzący z Indii. Kierunek jej ramion ma naśladować ruch Słońca. Hitlerowcy z jakiegoś powodu zapożyczyli właśnie ten znak, żeby zyskać pomysłość na polu bitwy. Swoją drogą, zastanawiałem się, czemu akurat ten, a nie jakiś inny.

- Może to zwykła pomyłka kogoś, kto rzeźbił te głązy? - zasugerował Władek. - Może zmuszali kamieniarza do pracy wbrew jego woli? To mogła być nawet forma sabotażu, taki prztyczek w nos hitlerowcom.

- Wątpię, by ktokolwiek odważył się na taki prztyczek w nos. - Staszewski z niedowierzaniem pokręcił głową. - Co innego celowa niedokładność przy produkcji dział lub silników, to mogę sobie wyobrazić.

Usterka ujawnia się dopiero po pewnym czasie, już po opuszczeniu fabryki przez sprzęt, czasem dopiero w czasie użytkowania na froncie. Trudno ustalić winowajcę. Jednak w tym przypadku prace z pewnością nadzorowali esesmani, dla których swastyka była świętym symbolem. Zauważyliby pomyłkę, a winowajca zapłaciłby za nią życiem.

- Czemu zatem swastyka jest lewoskrętna?

- Tego właśnie musimy się dowiedzieć - odparł major. - Może to być kluczem do całej zagadki. Ulianow, niestety, całkiem to przegapił.

Przeszli ostrożnie przez zwalisko kamieni i weszli do podziemnego mauzoleum. Robiło się coraz zimniej. Major postanowił przyjrzeć się dziwnemu sarkofagowi, choć miał świadomość, że mogą narażać się na duże niebezpieczeństwo. Jako żołnierz czuł w sobie obowiązek wyjaśnienia tajemnicy, i to wcale nie przez wzgląd na agentów KGB. Owszem, ich śmierć wstrząsnęła nim, tak jak poruszyłaby go śmierć każdego innego człowieka, być może nawet wroga. Nie przypadkiem jednak znalazł się w Kęszycy. Zadaniem garnizonu miała być ochrona polskiej ludności cywilnej. Zapewnienie bezpieczeństwa w okolicy w niepewnych powojennych czasach. W głębi duszy uważał, że rozkaz obowiązuje go nadal. Tymczasem działo się tu coś groźnego, może nie tylko dla żołnierzy.

Kiedy dotarli do sarkofagu, wokoło zaczęło pojawiać się coraz więcej mgły. Snuła się nisko nad ziemią tak, że nie do końca widzieli, gdzie stawiają stopy.

- Dziwne zjawisko - cicho powiedział Władek.

- Z jakiegoś powodu temperatura w mauzoleum musiała się lekko podnieść - stwierdził major. - Być może jest to zupełnie naturalne zjawisko. Nie jestem specjalistą od hydrologii. Zapewne woda z koncentrycznych kanałów paruje i stąd bierze się mgła.

- Cicho - szepnął jego przyjaciel. - Coś słyszałem.

Przystanęli nieruchomo, czując, jak łomoczą im serca. Mgła spowijała ich coraz bardziej. Zdawała się dotykać ich, badać i oceniać, niczym świadoma istota. Nasłuchiwali. Gdzieś rozległ się jakiś cichy szmer, jakby ktoś ostrożnie postawił nogę na betonie. Po chwili znów odległy szelest. To mogło być wszystko. Gryzoń, nietoperz... złudzenie.

- Może Ulianow kogoś za nami wysłał? - spekulował Władek.

- Jeśli tak - cicho odparł major - to raczej szpiega niż uzbrojoną eskortę. Nie ufa nam. To dało się poznać. Tak, możliwe, że ktoś za nami idzie.

- Co robimy?

- Skoro już tu jesteśmy, musimy dotrzeć jak najdalej. Swastyka to ważna wskazówka, ale takich podpowiedzi może być więcej. Musimy tylko zwracać uwagę na wszystko, co wydaje nam się dziwne, zaskakujące i nietypowe.

Kiedy sądzili, że zabłądzili już w zwodniczej, przypominającej mleko mgłę, natrafili wreszcie na sarkofag. Major dotknął jego powierzchni. Była chłodna i wilgotna.

- Ten wizerunek... - wyszeptał. - Coś mi przypomina. Spójrz na ten ogień. Motyw pojawia się prawie wszędzie. To może być coś więcej niż tylko zbieg okoliczności. Przecież wszystkie ciała nosiły ślady płomieni. Dalej, trupie czaszki. Ulubiony znak nazistów, do tego stopnia, że esesmani zrobili z nich swój symbol. Na pewno oznacza śmierć i ostrzeżenie.

Poświecił latarką. Płaskorzeźba przedstawiająca tajemniczą kobietę robiła na nim spore wrażenie. Przed oczami stawały mu zmasakrowane zwłoki agentów KGB.

- Sierpy - analizował dalej, czując, jak ogarnia go coraz większa ekscytacja. - I odcięte głowy spadające w płomienie. Widać tutaj różne twarze. Kobiet, dzieci, starców... zupełnie jakby nikt nie mógł się czuć bezpieczny. Jakby ukazana tu kobieta nie wybierała swoich ofiar lub kierowała się jakimś własnym, niezrozumiałym motywem.

- A ramiona? - Władek poświecił latarką.

- Gdybyśmy mieli spróbować odgadnąć tę myśl... - Major zmarszczył czoło. - ...która przyświecała artyście... wiele ramion mogłoby oznaczać jakąś wielką, niszczycielską siłę i szybkość. Może również wielość sposobów działania i zabijania. Skuteczność. Możliwe, że mamy tutaj do czynienia z wyobrażeniem jakiejś mitycznej istoty, której pasją jest niszczenie.

Nagle ciszę przerwał jakiś odległy dźwięk, jakby wybuchającego kłębu ognia.

- Tam, na lewo! - syknął ostrzegawczo Władek i wyszarpnął broń z

kabury.

Major wbił wzrok w ciemność, instynktownie jednak kierując światło latarki pod nogi. W oddali dostrzegł mocny błysk przemierzającego się wielkiego płomienia. Do ich uszu dobiegł cichy odgłos skwierczenia, jakie czasem wydaje się drewno lub zwierzęcy tłuszcz.

- Musimy uciekać - rzucił krótko. - Nie ma chwili do stracenia.

Tak szybko, jak było to w tych okolicznościach możliwe, zaczęli wycofywać się w stronę przeciwną do wejścia. Oddalali się w ten sposób od jedynej drogi ucieczki, lecz nie mieli wyboru. Mógł to być, rzecz jasna, przeciwnik z krwi i kości, posługujący się miotaczem płomieni, a jednak major uznał, że nie warto sprawdzać tego osobiście. Biegli jak najciszej, napotykając co rusz na zalane wodą kanały i z trudem odnajdując betonowe pomosty. Chyba obydwaj zastanawiali się, co będzie, jeśli niebawem natkną się na zagrządzającą im drogę litą ścianę. Władek raz po raz oglądał się za siebie, lecz niewiele mógł dostrzec. Płomienie znikły, ale przecież mogły się pojawić zupełnie znienacka. Co wtedy mogliby uczynić? Widział ciała, a coś, co rozszarpało dobrze uzbrojonych agentów KGB, bez trudu poradziłoby sobie również z nimi. Wejście do podziemi było błędem, obojętnie, z czym mieli do czynienia.

Jego wyobraźnia, pracująca na zwiększonych obrotach, podsuwała mu coraz bardziej fantastyczne wyobrażenia. Człowieka odzianego od stóp do głowy w azbestowy płaszcz i maskę przeciwgazową, trzymającego miotacz ognia. Mógł czaić się niedaleko, może był już bardzo blisko, trzymał palec na spuście, czekając jedynie na sposobność, by znienacka oblać ich płonącym paliwem. Nie mieliby już wtedy szans na ratunek, chyba że... Wokoło były kanały z wodą, więc w ostateczności tam można było dobiec i wskoczyć. Właśnie teraz przemknęło mu przez myśl, że po to je zbudowano. W końcu woda stanowi dobrą obronę przed ogniem.

Tak jak podejrzewali, drogę zagroziła im ściana. Znajdowali się na przeciwnym skraju podziemnego mauzoleum, wzniesionego nieludzkim nakładem sił na cześć jakiegoś generała, wodza, a może - co wydawało się najbardziej niezwykłą i dziwnie pociągającą zarazem możliwością - pogańskiego bóstwa. Gdzieś w oddali znów pojawił się rozedrgany płomień, duży, silny, zdający się przybliżać. Miotał się na różne strony, tańczył, przypadał do ziemi, by znów z całą siłą wzbić się wzwyż.

„Może jest to jakieś skonstruowane przez hitlerowców przemysłne urządzenie - pomyślał Władek. - Rodzaj samojezdnego miotacza. Nie ma wprawdzie w mauzoleum torów, po których mógłby się poruszać, lecz może przecież jeździć po prostu na kołach”. Wiedział, że hitlerowcy konstruowali nowe bronie, a rakiety spadające na Londyn w czasie drugiej wojny światowej były tego dobitnym przykładem. Więc może to coś takiego...

Znów szum i błysk. Ogień raz za razem rozświetlał podziemne mauzoleum, wydobywając z ciemności usytuowane w kilku miejscach ponure posągi. Stwarzało to groźne wrażenie, że oprócz ognia w podziemnej świątyni jest jeszcze coś, jakaś świadoma i wroga, szybko przemieszczająca się istota.

- Tędy! - zawołał major. - Jest przejście!

Wbiegli w tunel w samą porę, gdyż wściekły ogień rozbłysnął dokładnie pośrodku mauzoleum, w epicentrum, gdzie znajdował się sarkofag. Tu i ówdzie zaczęły pojawiać się kolejne języki ognia, zupełnie jakby zapłonęły potężne znicze. Całe mauzoleum wypełniał teraz blask płomieni, rzucający wokół niezliczone upiorne cienie zdające się zaludniać piekielną świątynię. Posuwali się naprzód, wzdłuż starych torów kolejowych. Przebyli może ze sto lub dwieście metrów, gdy dotarli do peronu. Niegdyś to właśnie tutaj musiały zatrzymywać się pociągi, zanim znikli stąd ostatni żołnierze, a wszystko na wiele lat pochłonęły ciemność i cisza. Nikłe światło, jakim dysponowali, nie pozwalało zobaczyć rozmiarów dworca w całej okazałości, a jednak wystarczyło, by domyślić się jego imponujących rozmiarów.

Nie brakowało tu niczego. Na peronie stała skomplikowana maszyna z wysięgnikami, wyposażona w systemy kół zębatach, wielokrążki i stalowe liny zakończone hakami. Można się było domyślać, że to dźwigary służące do wyładunku towarów, broni i amunicji. Sam budynek dworca mógłby równie dobrze znajdować się na powierzchni. Miał dwa piętra i był w całości wykonany ze zbrojonego betonu. Prostokątne okna ziały czernią, major nie miał jednak wątpliwości, że w razie potrzeby można było obsadzić je strzelcami i obsługą karabinów maszynowych. Po lewej stronie znajdowała się długa i szeroka rampa rozładunkowa, wyposażona w suwnice i tory o mniejszym rozstawie. Nad rampą na wysokich słupach zamocowane były elektryczne lampy, które równie dobrze mogłyby posłużyć do oświetlenia rozległego placu lub ulicy. Kiedy paliły się wszystkie, musiało tu być jasno

niemal jak w dzień. Po lewej stronie rozciągało się coś na kształt sporego placu, a dalej rozpoczynały się kolejne tunele, tak duże, że mogłyby w nich jeździć zwykłe pociągi. Ruchem tej podziemnej sieci sterował system zwrotnic, jakiego nie powstydziałaby się przeciętnej wielkości stacja kolejowa. Za placem można było również zauważyć wejścia przeznaczone dla żołnierzy, zapewne prowadzące do wielu pomieszczeń. Jak wysoka musiała być ogromna hala, w której to wszystko się mieściło? To było dobre pytanie. Major i Władek kierowali światła latarek w górę, na próżno starając się dostrzec sklepienie. Dwadzieścia metrów? Trzydzieści?

Rozmach, z jakim wzniesiono podziemne fortyfikacje, był przytłaczający. Przy jej budowaniu musiały pracować tysiące przymusowych robotników. W dodatku trzeba było mieć świadomość, że jest to zaledwie jeden z podziemnych dworców wraz z infrastrukturą, zaledwie jedna z pojedynczych stacji kolejowych. Kiedy major zasłyszał lokalną opowieść o podziemnym superpociągu, którym wódz Trzeciej Rzeszy przybył tutaj na obchody jakiegoś tajemniczego nazistowskiego święta, wydała mu się ona zupełnie nieprawdopodobna. Teraz już nie był tego taki pewien.

- Nie wiem, czy Ulianow i jego ludzie dotarli aż tutaj... - Oddech majora był przyśpieszony po szaleńczym biegu. - ...ale to niewykluczone. Jeśli tak, najwyraźniej postanowili nam o niczym nie mówić. A to jest naprawdę coś. Niebawem.

- Nie czas teraz na zachwyty. - Władek wpatrywał się w prowadzący do mauzoleum tunel. - Chwilowo udało nam się uciec, ale jak się stąd wydostaniemy? Ten płomień może pojawić się tu lada chwila.

- Może tym? - zaproponował major.

Światło latarki wydobyło z ciemności stojącą u wylotu tunelu dreżynę. Była stara, pokryta rdzą, ale mogła nadawać się jeszcze do użytku. Wskoczyli do środka i naparli z obu stron na napędzającą mechanizm wajchę. Rozległ się zgrzyt metalu, lecz pojazd trwał w miejscu.

- Jeszcze raz! Mocniej! - nakazał Staszewski.

Miał nadzieję, że to złudzenie, lecz wlot prowadzącego z mauzoleum tunelu ukazał się nagle we wszechobecnej czerni, odciął się od niej konturem, jakby gdzieś w głębi pojawiło się jakieś źródło światła. Na przykład ogień. „Ściga nas żywy ogień - przemknęło mu przez myśl. - Tropi nas. Jeśli

pozostaniemy tu dłużej - nadejdzie nieuchronna zguba”.

Drezyna wydawała się jedynym środkiem ucieczki, jaki mieli w tej sytuacji do dyspozycji. Owszem, dałoby się biec na piechotę tunelem, spróbować ukryć w labiryncie zaułków, pomieszczeń i korytarzy, a jednak coś mówiło mu, że ogień będzie podążać za nimi, być może powolnie, nieśpiesznie, niczym kot delektujący się strachem drżącej, schwytej w potrzask myszy, a jednak znajdzie ich prędzej czy później. Należało wymknąć się z podziemnego dworca i podążyć dalej, do kolejnej stacji, która przecież musiała istnieć... A jeśli nie? Równie dobrze mogli natknąć się na wielkie zwałisko gruzu lub zamurowaną ścianę, uderzyć w nią z rozpędem, z całą szybkością, jaką potrafiła rozwinąć drezyna. Jazda w tych warunkach była szaleństwem. Czasem jednak właśnie szalone z pozoru decyzje mogą uratować życie.

Kiedy już mieli dać za wygraną, wajcha ustąpiła, drgnęła i mechanizm zadziałał. Drezyna zaczęła toczyć się powoli w głąb tunelu. Stukotały raz po raz podkłady kolejowe. W wilgotnym powietrzu dawało się wyczuć delikatny zapach smołowanych desek. Przypominało to podróż przez podziemną kopalnię. Podróż w nieznane.

*

Drezyna, z początku tocząc się ospale, obecnie nabierała rozpędu. Pojazd taki mógł osiągać prędkość nawet do siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Teraz jechali z góry, tor opadał w dół pod łagodnym kątem, i żołnierze czuli na twarzach pęd powietrza. Ułożone na przedzie latarki oświetlały trasę jedynie w niewielkim stopniu, na jakieś kilka metrów. Żółtawy blask wydobywał z ciemności jedną ze ścian szerokiego tunelu, tę, przy której jechali. Druga skryta była w mroku i prawie niewidoczna. Minęli jakieś rozgałęzienie podziemnych korytarzy i do pojedynczego toru dołączył kolejny. Szczęknał jakiś mechanizm. Oddalali się od niebezpieczeństwa, lecz marna to była pociecha. Jazda rozpędzoną drezyną po nieużywanych od lat torach przypominała grę w rosyjską ruletkę.

Major wypróbował dwie zamontowane w drezynie przekładnie. Pierwsza z nich służyła do przestawiania biegów, druga zapewne do uruchomienia hamulca. Niestety, nie działała, przeżarty korozją mechanizm odmawiał

posłuszeństwa.

Jak długo już mogli jechać? Kilka, może kilkanaście minut. Tunel zdawał się zakręcać łagodnym łukiem, stara metoda stosowana w podziemiach. Miała za zadanie minimalizować skutki podziemnej eksplozji i unieszkodliwiać odłamki.

- Jest dworzec! - zawołał Władek, wpatrując się w ciemność.

„Jest dworzec? - zdumiał się major. - Skąd on to wie? Musi mieć niebywały wzrok. Przecież, u diabła, panują egipskie ciemności”. Dwie umieszczone na przedzie dreżyny latarki dawały akurat tyle światła, by można było zauważyć przeszkodę z wyprzedzeniem pozwalającym na krótki okrzyk „giniemy!”. Sam Władek był chyba zdumiony swoim odkryciem, bo przestał poruszać wajchę i wpatrywał się w kraniec tunelu. Dreżyna przemieszczała się siłą rozpędu.

- Co, u licha...? - zaczął i zamilkł.

To, co ujrzeli, zdawało się wymykać wszelkim logicznym wyjaśnieniom. Obydwaj mieli wrażenie, że śnią, niemal zapomnieli, że znajdują się na mknącej dobre czterdzieści kilometrów na godzinę maszynie. Ujrzeli światło. Lecz nie światło dnia, tylko światło elektryczne. Koniec tunelu wyraźnie odcinał się na tle ciemności, kontur rósł, rozszerzał się, powiększał. Dreżyna zaczęła wyhamowywać swój pęd, mknąc jednak dalej dość szybko po łagodnie opadającym torze.

„Musi istnieć jakieś wyjaśnienie - myślał major. - Nie ma technicznej możliwości, by od czasów drugiej wojny światowej paliło się tu światło. Żadne źródło energii nie jest chyba w stanie działać tak długo. Żadna znana człowiekowi lampa nie jest w stanie palić się tyle lat. Chyba że ktoś w dalszym ciągu dogląda podziemi...”.

Wjechali na stację. Dworzec był podobny do poprzedniego, a jednak zdawał się bardziej okazały. Jakby mniej opuszczony i w pewien sposób zadbany. Wysokoprężne lampy sodowe lśniły pomarańczowym światłem. Dreżyna zaczęła wyhamowywać, głośno szcękając automatyczny mechanizm. Musiał to być zbieg okoliczności, jakaś uruchomiona i działająca nadal przemyślna maszyna, a jednak przez ułamek sekundy major odniósł wrażenie, że w jednym z okien dworca, oświetlonym przez lampę, mignął mu jakiś ludzki kształt. Odpiął kaburę i wydobył visa.

- Przeszukajmy dworzec - zdecydował.

- Musimy raczej się stąd wydostać - odparł Władek, lustrując czujnym wzrokiem budynek stacji. - To nie jest bezpieczne miejsce. Tu ktoś jest. Trzeba wezwać posiłki. To zadanie dla oddziału komandosów, takich jak Czarny.

Major zawahał się, jednak nie przed podjęciem decyzji, lecz przed tym, co ma powiedzieć.

- Słuchaj, Władek... - Jego głos brzmiał dziwnie samotnie w rozległej przestrzeni podziemnego dworca. - Odkryliśmy coś, co przekracza wszelkie wyobrażenia. A jakiś wewnętrzny głos mówi mi, że to dopiero początek zabawy. To jakaś cholernie wielka tajemnica. A cholernie wielkie tajemnice mają to do siebie, że bywają bardzo niebezpieczne. Komu chcesz to zdradzić? Ulianowowi? Ludziom z KGB?

- Wyślemy raport do zwierzchnictwa polskich sił zbrojnych.

- Władek... - Major położył mu rękę na ramieniu. - ...nie ma już polskich sił zbrojnych. Wszystko to fikcja. Dwa lata temu staliśmy się członkiem Układu Warszawskiego. Wszystkie ważne informacje o znaczeniu strategicznym muszą zostać przekazane do Moskwy. Skąd wiesz, co tu jest i jak Moskwa to wykorzysta?

- Myślę, że przesadzasz - odparł Władek. - Ale niech będzie. Zobaczmy dworzec, a potem zastanowimy się, co robić dalej.

Skradając się, podeszli do betonowego budynku. Nad wejściem umieszczono płaskorzeźbę przedstawiającą hitlerowskie godło - orła trzymającego w szponach wieniec z umieszczoną w nim swastyką. W środku było ciemno. Światło sodowych lamp docierało tu w niewielkim stopniu, tworząc na ścianach prostokątne półcienie. Przyświecając sobie latarkami, weszli krętymi schodami na górę. Nagle znieruchomieli. Władek położył palec na ustach. Gdzieś z góry dobiegł do nich dziwny dźwięk, przypominający odgłos pisania na maszynie. Jakby ktoś wystukał na klawiszach kilka liter i przestał. Obydwaj żołnierze trzymali broń w pogotowiu. „Miasto duchów - pomyślał major - miasto podziemnych upiórów, cieni przeszłości, które nie odeszły nigdy ostatecznie”.

- Słyszę jakąś muzykę - szepnął Władek.

Istotnie, skądś, jakby z daleka, dobiegały do nich dźwięki marszowej pieśni wykonywanej przy akompaniamencie orkiestry dętej, odtwarzane z trzeszczącej płyty. Major dość dobrze znał niemiecki i potrafił zrozumieć słowa.

Chorągiew wznieś! Niech zewrą się szeregi!

SA to marsz, spokojny równy krok.

A rozstrzelani kroczą razem z nami,

Są pośród nas, i dumny jest nasz wzrok.

Otwórzcie wrota brunatnym batalionom,

Nic nie powstrzyma tych, co z sobą niosą grom.

Już trąbka gra, to apel nasz ostatni.

Do boju gotów każdy z nas.

Hitlera flagi zawładną ulicami.

Dawnej niewoli skończy się już czas.

Było niemożliwe, by płyta uruchomiła się sama. Majorowi przyszło do głowy jeszcze jedno wyjaśnienie... Istniały przecież rozmaite substancje halucynogenne. Całkiem możliwe, że niemieccy naukowcy prowadzili nad nimi zaawansowane badania. Podziemia mogły być zabezpieczone znacznie lepiej, niż im się wydawało, za pomocą oddziałującego na system nerwowy człowieka gazu. Chociaż gaz taki przez te wszystkie lata powinien wywietrzeć lub przynajmniej jego stężenie w powietrzu musiałyby znacznie zmaleć... Była to jednak rozsądna hipoteza i z braku innej można było ją przyjąć. W takim wypadku należało jak najszybciej opuścić podziemne miasto. Równocześnie jednak majorem zawładnęła ciekawość, jaka czasem potrafi opanować człowieka, gdy ma do czynienia z czymś absolutnie niewiarygodnym.

Ostrożnie, osłaniając jeden drugiego, polscy oficerowie wchodzili do kolejnych pomieszczeń. Nie znali się na kolejnictwie, więc raczej musieli odgadywać przeznaczenie poszczególnych pokoi. Wiele sprzętów, jakie napotykali, począwszy od mebli, a skończywszy na urządzeniach technicznych, zachowało się w zadziwiająco dobrym stanie. Owszem, wszystko pokryte było warstwą kurzu, a jednak trudno było oprzeć się

wrażeniu, że pomieszczenia zostały opuszczone w niezwykłych okolicznościach, w pośpiechu, który uniemożliwił wyniesienie wielu sprzętów, które przecież mogły okazać się wówczas jeszcze użyteczne. Wyglądało to tak, jakby czas się tu zatrzymał.

Natknęli się na sporych rozmiarów konsolę, zaopatrzoną w mnóstwo przekładni i wskaźników. Służyła zapewne do nadzorowania podziemnych trakcji. Na biurkach nadal stały czarne ebonitowe telefony na korbkę. W kolejnych pomieszczeniach, wyposażonych w szafy i biurka, odkryli kilka maszyn do pisania firmy Wanderer-Werke, a także maszynę liczącą. Starając się nie narobić zbytniego hałasu, pobieżnie przeglądali szafy, które przeważnie okazywały się puste. W kilku jednak przypadkach odkryli jakieś pozostawione płaszcze, buty i hełmy. W jednej z szuflad major odnalazł pożółkłe kartki papieru i dwa ołówki. Papier złożył na czworo i razem z ołówkami wetknął do kieszeni spodni. Przyda się. Trzeba będzie jak najszybciej sporządzić szkice podziemi, zapisać wszystkie najważniejsze spostrzeżenia.

„A rozstrzelani kroczą razem z nami, są pośród nas, i dumny jest nasz wzrok” - werset piosenki powtarzał się nachalnie i major stwierdził, że urządzenie, z którego odtwarzano muzykę, musiało się zaciąć. W końcu dźwięki ucichły, zamilkły jak ucięte nożem.

- To miejsce działa mi na nerwy - stwierdził pozornie spokojnym głosem Władek.

Major dostrzegł krople potu perlące się na jego czole.

- Znajdziemy wyjaśnienie - zapewnił go Staszewski z udawaną pewnością siebie.

Wtedy do jego uszu dobiegł przeciągły dźwięk syreny alarmowej. Wznosił się i opadał, jakby zwiastując nieprzyjacielski atak.

- Do diabła! - Władek złapał majora za ramię. - Musimy wiać.

- Ale którądy?

- Drezyną - odparł Władek. - To najlepsze wyjście. Tory muszą być w nie najgorszym stanie, jeśli udało nam się tu dotrzeć. Nie ma sensu zagłębiać się w te odgałęzienia, zwłaszcza że... nie wydają się opuszczone do końca. Jedźmy dalej, musimy natknąć się wreszcie na jakieś wyjście.

Wybiegli przed budynek dworca. Pomarańczowe światła przygasły teraz i mrugały, jakby coś pobierało ogromne ilości energii. Kiedy zbliżyli się do dreżyny, major znów dostrzegł w oknach stacji jakieś poruszenie, jakby cienie z wnętrza pomieszczeń zbliżyły się do okien. Nie było słyhać jednak żadnego nawoływania, okrzyków czy chociażby strzałów. Mogło to być jedynie złudzenie wynikające z przygasającego i pojawiającego się na powrót światła sodowych lamp.

Dreżyna stała nadal na swoim miejscu, choć jakby nieco dalej. Zapewne przetoczyła się kilka metrów pod wpływem własnego ciężaru. W podziemnym mieście wszystkie maszyny wydawały się podejrzanie mniej martwe, niż być powinny. Wskoczyli czym prędzej i natarli na wajchę. Pojazd rozpędzał się powoli. Wtedy właśnie w zapalającym się i przygasającym na zmianę świetle major i Władek zobaczyli coś, czego mieli nie zapomnieć do końca życia.

Na peronie pojawili się hitlerowscy żołnierze. Było ich kilkunastu, sprawiali wrażenie tylko po części rzeczywistych. Wyglądali na martwych, nieżywych od dawna, jak echa przeszłości. Ich blade twarze, widoczne pod hełmami, zdawały się mocno dotknięte rozkładem. Mieli na sobie mundury SS, hełmy na głowach i karabiny przy boku. Przypominało to obraz wyświetlany starym terkoczącym projektorem w niemym kinie. Postacie pojawiały się i znikwały, uwidaczniając się w rozbłyskach starych lamp. Zbliżały się do nich w absolutnym milczeniu, z każdą chwilą pojawiając się coraz bliżej i zacieśniając pierścień okrażenia. Major nie wiedział, czy mogą być niebezpieczni, nie wiedział nawet, czy są prawdziwi - postanowił tego jednak nie sprawdzać.

Kiedy dreżyna wjechała wreszcie do tunelu, wszystkie światła nagle zgasły, a stacja kolejowa znikła z ich oczu pod zasłoną ciemności, jakby nigdy jej nie było. Umilkł dobiegający skądś przeciągły dźwięk syreny. Słyhać było tylko przyśpieszający coraz bardziej stukot toczących się po torze stalowych kół.

Stosując wypróbowaną metodę, umieścili latarki na przedzie pojazdu. Znów podziemny wiatr pieścił ich twarze swoją zdradziecką ręką. Nie mieli pojęcia, gdzie mogą zaprowadzić ich tory. Kilka razy mijali jakieś odgałęzienia, sporych rozmiarów węzły kolejowe, budowle i gmachy niewiadomego przeznaczenia, puste przestrzenie, których istnienie

wyczuwali. Szyny wiodły w różnych kierunkach, kilka razy, jakby kierowana jakąś niewidzialną ręką, szczęknęła zwrotnica. Podziemne miasto zdawało się żyć własnym życiem.

Przejechali może kilka kilometrów, kiedy zorientowali się, że tunel się skończył. Sunęli wzdłuż pogrążonego w ciemności peronu. Musieli się zatrzymać. Zbyt długo już jechali. Może właśnie z tego miejsca dałoby się wydostać z powrotem na powierzchnię? Major zauważył, że latarki zaczynają powoli przygasać. Wyczerpywały się baterie. Brak światła mógł okazać się śmiertelnym zagrożeniem. Nie mogli przecież liczyć, że tajemniczy operator podziemi jeszcze kiedykolwiek uruchomi sodowe lampy. Wręcz przeciwnie - świadomie mógł tego nie uczynić. Major dobrze znał ciemność podziemi, zapoznał się z nią, nie raz penetrując bunkry. Nie da się porównać jej z ciemnością lasu, nawet w bezksiężycową noc. Tam oko ma chociaż szansę, by dostrzec kontury lub zarysy drzew. Tutaj ciemność oznaczała absolutną ślepotę. Mogliby błąkać się bez końca, wpadając ostatecznie w jakąś pułapkę lub nawet nie wydostając się stąd nigdy.

W głowie majora powstawały już pierwsze plany awaryjne. Mogli w ostateczności spróbować trzymać się torów, dotykając ich rękoma niczym ślepcy, i w ten sposób posuwać się przed siebie. Mogli również zaryzykować jazdę drezyną, licząc, że wreszcie znajdą wyjście. Były to jednak plany obliczone raczej na poprawę własnego samopoczucia, bowiem gdyby wyjście istniało, na głębokości, na której się znajdowali, nie dostrzegliby nawet najśłabszego światła. Mogliby błądzić tak bez ustanku, sprawdzając po omacku kolejne odgałęzienia, korytarze i wejścia.

- Jest peron! - zawołał major. - Kolejna stacja!

Władek odruchowo sięgnął po raz kolejny do dźwigni hamulca i w tym momencie, o dziwo, mechanizm zadziałał. Coś przeskoczyło, szczęknęło pod podwoziem drezyny. Pojazd zwolnił i zatrzymał się. Żołnierze, przyświecając sobie słabnącymi z każdą chwilą latarkami, wyskoczyli na peron. Spowijał ich mrok. Major przypomniał sobie zjawy esesmanów. Wiedział, że Władek myśli o tym samym. W ciemności mogło kryć się wszystko.

- Spróbujmy przejrzeć pomieszczenia tej stacji - zaproponował. - Wiele rzeczy tu pozostawiono. Kto wie, może znajdziemy jakieś działające jeszcze latarki. W ostateczności świecę lub zapałki. To może uratować nam życie.

Władek skinął głową, choć perspektywa ponownego przeszukiwania pomieszczeń niezbyt mu się podobała. W głębi ducha musiał jednak przyznać Staszewskiemu rację.

- Jesteśmy tu... - oznajmił, spoglądając na nakręcany zegarek z fosforyzującymi wskazówkami - bite cztery godziny. Tam, na górze musiało to wzbudzić niepokój.

Major jedynie skinął głową. To, co myślą o sprawie Ulianow i jego ludzie, nie miało w tej chwili większego znaczenia. Należało znaleźć sposób na bezpieczne wydostanie się z podziemi.

- Zgaś latarkę - rzucił nagle Władek.

Major błyskawicznie przesunął przełącznik. Ciemność była jak uderzenie młotem. Nie widzieli nic.

- Co się dzieje? - spytał szeptem.

- Tam, na prawo.

Istotnie, po chwili, kiedy oczy majora przyzwyczyły się nieco do wszechogarniającej czerni, dostrzegł on wejście do jednego z korytarzy. Rysowało się ono ulotną poświatą. „Wyjście? - pomyślał. - Nie, to raczej niemożliwe”. Znajdowali się przecież głęboko pod ziemią, światło dnia raczej nie mogłoby tu dotrzeć. Chyba że przez jakiś szyb wentylacyjny...

Ostrożnie podeszli w tamtą stronę.

- Nie mamy wyboru - cicho stwierdził Władek. - Musimy zapalić przynajmniej jedną latarkę - inaczej możemy połamać nogi, jeśli gdzieś jest dziura. Ale musimy być czujni.

Staszewski zapalił latarkę, trzymając ją w lewej ręce, a prawą wy dobył broń z kabury. Kątem oka dostrzegł, że Władek poszedł za jego przykładem. Idąc korytarzem, dotarli do uchylonych grubych pancernych drzwi. Major rzucił na nie okiem i doszedł do wniosku, że kiedyś musiały być zabezpieczone czymś w rodzaju zamka elektromagnetycznego. To z pomieszczenia, do którego prowadziły, wydobywała się dziwna poświatą. Ostrożnie zajrzeli do środka. Spore pomieszczenie miało jakieś dziesięć metrów długości i dziesięć szerokości. Jego ściany w całości były obstawione przeszklonymi szafami. Pośrodku znajdowało się urządzenie przypominające swoim wyglądem pianino, ale dwukrotnie od tego instrumentu większe.

Znajdowały się na nim niezliczone przełączniki, guziki i wskaźniki. Silna poświata brała się z przeszklonych szaf, w których umiejscowione były rozgrzane lampy elektronowe. Część z nich była przepalona, większość jednak jakimś cudem nadal działała. Całe pomieszczenie wypełnione było bijącym od lamp ciepłem. Żołnierze podeszli do przypominającej pianino konsoli. Z jednej strony zamontowane były dziurkowane szpule papieru. Metalowy wał obracał się z cichym brzęczeniem, a papierowa taśma znikwała w głębi urządzenia. Z boku aparatu znajdował się niewiele mówiący napis „Z 4, Versuchsmodell”, oraz zapewne imię i nazwisko projektanta - Konrad Zuse.

- To jakiś rodzaj maszyny liczącej, coś w rodzaju mózgu elektronowego - wyszeptał zdumiony Władek. - Może to on steruje podziemiami? Włącza i wyłącza różne urządzenia? To by wiele wyjaśniło. Ale jakim cudem...?

- Są tylko dwie możliwości - przerwał mu major. Odczuwał coraz większy niepokój. Podziemia nie były wcale tak „bezbronne”, jak się wydawało. Wszystko to zdawało się układać w jakąś kompletną całość. - Albo ktoś dogląda podziemi, albo to Rosjanie nieświadomie aktywowali maszynę. Nie mogła przecież funkcjonować przez tyle lat, lampy elektronowe przepaliłyby się bardzo szybko. Mogła uruchomić się niedawno, albo pod wpływem podziemnego wstrząsu, będącego wynikiem wysadzenia ściany, albo - co jest jeszcze gorszą możliwością - na skutek działania jakiegoś czujnika, który został uruchomiony w momencie, w którym naruszono przestrzeń podziemnego miasta.

- Dlaczego ta druga możliwość wydaje ci się gorsza? - zapytał Władek, choć tak naprawdę chyba znał już odpowiedź.

- Bo to oznacza, że mogła zostać uruchomiona jakaś procedura. Projektant przewidział ewentualność, że do podziemnego miasta mogą dostać się intruzi. Maszyna będzie realizowała instrukcje, o ile wszystkie jej obwody są sprawne.

- Zapewne nie są. - Władek rozejrzał się wokół. - Wiele lamp elektronowych jest przepalonych.

- Tym gorzej - zapewnił go major. - Mamy do czynienia z nieobliczalną maszyną cyfrową.

- Co w takim razie?

- Jest źle - odparł major. - To coś działa i ma jakiś cel. Musimy zgadnąć jaki.

Urządzenie buczało coraz głośniejsze. Zapaliły się dodatkowe lampy elektronowe. Taśma zaczęła przesuwać się coraz szybciej, zapewne wpisując coraz to nowe instrukcje. Aparat pracował z pełną mocą obliczeniową. Gdzieś z głębi podziemi zaczęły dobiegać metaliczne szczęknięcia, jakby uruchamiały się potężne mechanizmy, monumentalne wrota i dźwigi.

- Patrz tam! - Władek wskazał ręką w kąt pomieszczenia. - Magnetofon.

Istotnie, na podłodze stało urządzenie zaopatrzone w pokręta, suwaki oraz zegary. Aparat wyposażony był w dwie duże szpule, na które naciągnięta była taśma magnetyczna. Biegnący od urządzenia kabel prowadził do szafy z lampami elektronowymi.

- Myślisz, że działa? - Władek przykląkł przy magnetofonie i zdmuchnął z niego kurz.

- Nie zaszkodzi spróbować - stwierdził major. - Na taśmie mogą znajdować się cenne wskazówki. W najgorszym wypadku to pułapka i wylecimy w powietrze.

Po naciśnięciu guzika szpule zaczęły się obracać. Rozległ się szum i trzaski, a w końcu słowa wydawane w nieznoszącym sprzeciwu jazgotliwym tonie. Major nadstawił uszu, znał bowiem język niemiecki znacznie lepiej niż Władek. Po chwili wyjaśnił:

- Wygląda to na rejestrację pracy radiostacji. Niezrozumiałe meldunki, podawane głównie szyfrem. Dużo numerów i liczb, jakieś kolejne procedury. Nie sposób tego odszyfrować, przynajmniej w tak krótkim czasie. Niemniej da się wyczuć, że napięcie rozmówcy rośnie. Wydaje się on próbować zachować ton służbisty, a jednak słychać w nim niepokój i natarczywość. Pojawiają się sformułowania typu „kod dwa”, a potem „kod jeden”. Wezwanie „kod jeden” powtarza się kilkakrotnie. To musiały być jakieś ważne meldunki. Potem zapadła długa cisza.

Nagle na taśmie pojawił się jakiś nowy głos. Również mówił po niemiecku, ale z jakimś dziwnym akcentem. W tonie głosu dało się posłyszeć drżenie, pośpiech i silne wewnętrzne wzburzenie.

- *Nazywam się Ibrahim Baum, jestem żydowskim fizykiem, porwanym i*

przymuszonym do pracy przy projekcie „Ogień Zniszczenia”.

- Daj głośniej! - rzucił do Władka major. Ten pokręcił jedną z gałek i teraz głos brzmiał bardzo wyraźnie.

- To jedyny sposób, by spróbować pozostawić po sobie ślad i ostrzeżenie. Niemcy uciekają w popłochu. Zarządzono natychmiastową ewakuację podziemi. Wykorzystuję chwilę nieuwagi, by nagrać tę wiadomość. Esesmani czekają na mnie przed laboratorium, wiem, że nie ujdę stąd z życiem. Zbyt wiele wiem. Zrobiliśmy to. Wyprzedziliśmy Amerykanów. Te diabły zdołały nas do tego przymusić. Posunęli się jednak o krok za daleko. To był pomysł Himmlera, tyle udało mi się podsłuchać... Dla zatarcia wszelkich śladów zabierają ze sobą ciała. Muszą jednak opuścić podziemia, nikt nie jest w stanie jej się przeciwstawić. Nikt! Popelnili wielki błąd. Idą po mnie. Niech Bóg ma nas wszystkich w swoje opiece!

Major odsłuchiwał nagranie powtórnie i przetłumaczył je Władkowi. Podejrzenie, przyczajone od pewnego czasu w umyśle Staszewskiego, teraz sprawiło, że przeszył go zimny dreszcz autentycznego strachu.

- Nie podoba mi się stwierdzenie „wyprzedziliśmy Amerykanów”. Mam złe przeczucia. - rzucił major. - Trzeba jak najszybciej zbadać okolice laboratorium!

Wybiegli na korytarz, Władek nie zadawał zbędnych pytań. Za pierwszym pomieszczeniem, w którym ulokowana była wielka maszyna elektryczna, mieściło się kolejne, jeszcze większe. Ono również było oświetlone płynącą skądś energią elektryczną. Znajdowała się tam gruba szyba, zakrywająca jakieś skryte w mroku pomieszczenie. Przed szybą stała ogromnych rozmiarów konsola z przełącznikami. W kącie walał się jakiś kompletny kombinezon służący zapewne do osłaniania ciała. Żołnierze podbiegli do szyby. Jej barwa zdradzała, że nie jest to zwykle szkło.

- Ołowiowe - mruknął pod nosem major - to wiele wyjaśnia.

Jego przypuszczenia zdawały się potwierdzać. Za szybą znajdował się ogromnych rozmiarów betonowy silos, a w nim urządzenie przypominające wielki metalowy walec. Wystawały z niego długie pręty. Całość u podstawy zanurzona była w wodzie.

- Stos atomowy. Niemcy byli jednak pierwsi. Widzisz te pręty? To może być uran.

- To stąd bierze się energia elektryczna. - Włodek był zdumiony. - Mechanizm zareagował na wtargnięcie do podziemi. Uruchomił stos, pręty automatycznie opadły, zwiększając moc siłowni. Mamy więc niepoczytalną maszynę sterującą stosem atomowym.

- Obawiam się, że to nie koniec złych wieści. - Major wskazał na coś palcem. - Wręcz przeciwnie.

- Cholera! - Teraz Włodek również dostrzegł to samo co major. - Już wiem, jaki program wczytała maszyna.

Na konsoli znajdował się mechaniczny bębnowy licznik. Sekundy zmieniały się szybko, minuty wolniej. Na pozycji oznaczającej godziny widniało zero. „Diabli wiedzą, jak długo już obraca się ten licznik. Może ruszył w momencie, kiedy ruscy wysadzili ścianę” - pomyślał major.

- To nie może być prawda. - Włodek spojrzał pytająco na majora.

- Obawiam się, że to prawda - odparł tamten. - Zostało niecałe pięć minut. Po tym czasie pręty całkowicie opadną, gwałtownie zwiększy się moc i nastąpi nuklearna eksplozja. To może być siłownia i bomba atomowa w jednym. Nie znamy jej mocy, ale z pewnością doprowadzi do zniszczenia podziemi.

- Zginiemy - zdrętwiałymi wargami stwierdził Włodek. - Ale może taka podziemna eksplozja nie poczyni wielkich szkód na powierzchni...

- Nie liczyłbym na to - twardo odpowiedział major. - Jesteśmy zaledwie około stu, może stu pięćdziesięciu metrów pod ziemią. To niewiele. Co innego gdybyśmy znajdowali się w sztolni kopalni, na przykład kilometr pod powierzchnią. Fala uderzeniowa ma spore szanse, by wydostać się na górę lub wywołać silne lokalne trzęsienie ziemi. Jednak nie to jest najgorsze! Pomyśl, jak ZSRR zareaguje, kiedy na terenie Polski dojdzie do atomowej eksplozji.

- Pomyślą, że to uderzenie z Zachodu.

- Otóż to. I w kontrataku odpalą własne rakiety. Potem nastąpi już tylko reakcja łańcuchowa.

- Co robić? - Włodek z przerażeniem wpatrywał się w śmigające na liczniku cyfry.

W głębi urządzenia coś wyraźnie szcęknęło. Pręty drgnęły. Zostały niecałe trzy minuty. Trzy minuty do zagłady świata.

Major z rosnącą rozpaczą przyglądał się przełącznikom na konsoli. Musiał istnieć jakiś sposób na wyłączenie urządzenia. Przecież Zuse Z4 nie mógł sprawować nad wszystkim kontroli. Żaden rozsądny inżynier nie powierzyłby całkowitej obsługi stosu maszynie, która mogła popełnić błąd na skutek przepalenia elektronowej lampy. Chyba że byłby szalony.

Zostały niecałe dwie minuty.

*

Major postanowił przełączyć wszystkie możliwe pokręta, jakie udało mu się zauważyć, w pozycję zerową. Nie wiedział, czy przynosi to jakikolwiek skutek, licznik bowiem obracał się dalej, jakby nawet szybciej, lecz musiało to być wywołane strachem złudzenie. Ręce mu drżały, a po plecach spływał zimny pot. Na jakąkolwiek ucieczkę nie było najmniejszej szansy. Albo uda im się rozbroić pułapkę, albo czeka ich unicestwienie, prawdopodobnie, biorąc pod uwagę możliwy rozwój wypadków, razem ze sporą częścią świata.

- Jak w każdej bombie i tu musi być zachowany jakiś schemat - lekko drżącym głosem stwierdził Władek. - Podstawowy schemat to zegar - urządzenie inicjujące - ładunek. Nie mamy dostępu do urządzenia inicjującego. Nie znamy jego działania. Nie potrafimy unieszkodliwić ładunku. Słaby punkt to zegar. Trzeba się do niego dostać.

Przyjrzał się uważnie obudowie urządzenia. Wyszarpnął z pochwy wojskowy bagnet i drżącymi dłońmi zaczął odkręcać otaczające zegar śrubki. Miał wrażenie, że idzie mu to o wiele za wolno. Pozostała niecała minuta. Wreszcie udało mu się odemknąć metalową pokrywę, w której zamocowany był licznik. Wydawało się, że jest to serce całego urządzenia. A jednak nie mógł być tego pewien.

- Biegnij do maszyny i zniszcz jak najwięcej lamp elektronowych. Ja spróbuję unieszkodliwić licznik.

Major popędził do pierwszego pomieszczenia. Otwierał po kolei szafy i kolbą pistoletu rozbijał lampy. Nie było to może zbyt przemyślane czy

subtelne działanie, ale w tej sytuacji liczyła się skuteczność. Być może projektant nie przewidział możliwości, że do laboratorium dałby radę wdrzeć się ktoś postronny, a uszkodzenie lamp mogło unieszkodliwić maszynę i uniemożliwić jej wykonanie procedury zniszczenia do końca.

Tymczasem Władek odkrył, że od licznika do wnętrza konsoli biegną trzy przewody. Przeszedł szkolenie saperskie i wiedział, że przecięcie ich w niewłaściwej kolejności może oznaczać natychmiastową detonację. W panice zerknął na licznik. Dwadzieścia trzy sekundy. Trzeba było ryzykować. Przeciął nożem najpierw pierwszy przewód, czując, że serce wali mu jak oszalałe. Potem drugi. Licznik zatrzymał się, wskazując dwie sekundy do detonacji. Wtedy przeciął trzeci. Czekał. Jeszcze nigdy w swoim życiu nie wyczekiwał na nic w takim napięciu. Minęła może minuta, kiedy w drzwiach pomieszczenia pojawił się Staszewski. Wyglądał, jakby stoczył walkę z upiorem, a nie zaprojektowaną przez hitlerowskich naukowców maszyną elektronową. Otarł rękawem ściekający mu z czoła pot.

- Chyba się udało. Unieszkodliwiliśmy go - oznajmił.

- Teraz musimy tylko się stąd wydostać. - Władek uśmiechnął się lekko. - Po tym, czego dokonaliśmy, jestem pewien, że na pewno sobie z tym poradzimy.

- Owszem - odparł Staszewski. - Uratowanie świata to coś, co może dodać wiary we własne siły. Nie popadałbym jednak w przesadny optymizm. Dowiedzieliśmy się bardzo wiele o tajemnicach, jakie skrywają podziemia. Trzeba tę wiedzę teraz zabrać ze sobą na powierzchnię.

- I zameldować komu trzeba - emocjonował się Władek. - Będziemy mieli za to odznaczenia i co najmniej belkę więcej. Może nawet zrobią z nas bohaterów.

Major uśmiechnął się gorzko i przyjaźnie zarazem. Nie chciał odczarowywać entuzjazmu Władka. Ta siła była im teraz bardzo potrzebna. Może nawet bardziej niż energia elektryczna do zasilania latarek.

- Szukajmy dalej - stwierdził. - Jak powiedział Ibrahim Baum, Niemcy wycofywali się w popłochu. Nie wierzę, by nigdzie nie zostawili ani jednej działającej latarki lub chociażby świecy.

Światła latarek dawały już teraz zaledwie anemiczną poświatę. W kolejnych pomieszczeniach, rozmieszczonych wzdłuż długiego korytarza,

odkryli coś na kształt pomieszczeń biurowych. Znajdowały się tam biurka, stoły, przewracane krzesła i szafy. Przeglądali po kolei wszystkie zakamarki i wreszcie, kiedy niemal całkowicie stracili już nadzieję, znaleźli latarkę. Była stara, wyglądała na zardzewiałą, lecz mogła działać. Major przesunął suwak. Niestety, bateria albo była wyczerpana, albo na skutek upływu czasu stała się bezużyteczna. Sytuacja wydawała się patowa, mimo to nie przerywali poszukiwań. Znaleźli w końcu pudełko zapalek. Cóż jednak po pudełku zapalek, jeśli nigdzie nie ma świecy. Jedna z latarek zamrugła i zgasła zupełnie.

- Zaraz będzie po nas - mruknął major.

Przewalał właśnie rupiecie odnalezione na dnie jednej z szaf. Pojedynczy stary but, dwa płaszcze, jakiś wojskowy pas, a w rogu metalowa manierka. Podniósł ją, odkręcił i przytknął do nosa. Olej do smarowania broni? Nie, chyba raczej nafta. Do głowy przyszedł mu pewien pomysł.

- Władek, dawaj swój nóż!

Staszewski odciął długi pas materiału z płaszcza. Potem podszedł do krzesła i rozwalił je kilkoma kopnięciami. Wyłamał drewnianą nogę i owinał ją materiałem, a później polał tkaninę substancją z manierki.

- Módl się, żeby zadziało - zwrócił się do swojego kompana, zapalając zapalając ją do główki tej zaimprovizowanej pochodni.

- Od minuty nic innego nie robię.

Płomień z wolna zaczął obejmować pakułę swoim żarłocznym językiem. Nie mogła palić się ani zbyt szybko, ani zbyt słabo. Na szczęście, cokolwiek znajdowało się w manierce okazało się idealnym paliwem. Zmajstrowana na oczekaniu pochodnia płonęła względnie jasno, a co najważniejsze - powoli. Pora była najwyższa, bowiem również latarka Władka zgasła. Major nie miał jednak złudzeń.

- Nie starczy nam to na długo. Musimy zrobić jeszcze co najmniej kilka takich pochodni i odpalać jedną od drugiej. Światła mamy na tyle, żeby trafić do drezyny i ruszyć dalej, do następnej stacji...

- Zaraz... - wszedł mu w słowo Władek. - To kompletne szaleństwo. Będziemy tak jeździć bez końca, aż napotkamy na przeszkodę nie do pokonania, albo dojedziemy do samego Berlina. Po tym wszystkim, co

widziałem, nawet by mnie to nie zdziwiło.

- Widzisz jakieś inne wyjście? - spytał major.

- Musimy przypomnieć sobie wszystko, co wiemy na temat budowy bunkrów. A przecież wiemy już sporo. Badaliśmy je, jeszcze zanim przyjechali tu ruscy, przynajmniej te mniejsze i łatwiej dostępne. W każdym jednym znajdowała się droga ewakuacyjna na powierzchnię. Może są i tutaj?

Major z zastanowieniem pokręcił głową. Byli dość głęboko jak na takie rozwiązanie architektoniczne. Z drugiej jednak strony Władek mógł mieć rację... warto było spróbować. Wyposażanie podziemnych bunkrów w wyjścia bezpieczeństwa było powszechną praktyką. Mogło się przecież zdarzyć, że nieprzyjaciel zatarasował stalowe drzwi wyjściowe, ich mechanizm został uszkodzony pod wpływem eksplozji lub ostrzeliwał je nieustannie, uniemożliwiając opuszczenie podziemi przez obrońców. Wyjście bezpieczeństwa, najczęściej w postaci pionowego, zaopatrzonego w szczeble szybu, mogło umożliwić załodze ucieczkę, a nawet okrążenie niczego niespodziewającego się wroga i atak z zaskoczenia. Im dłużej major rozważał tę ewentualność, tym pomysł Władka wydawał mu się lepszy.

- Szukajmy więc! - rzucił krótko. - Światła nie starczy na długo.

Rozeszli się w przeciwnych kierunkach, przyświecając sobie pochodniami. Władek posuwał się w stronę stacji kolejowej, major postanowił zbadać prowadzący w niewiadomym kierunku korytarz. Stracił już niemal nadzieję, kiedy ujrzał niszę w murze i wiodące do niej trzy stalowe szczeble. Mógł to być właśnie szyb ewakuacyjny. Gwizdnął przeciągle na palcach i Władek zjawił się niemal w mgnieniu oka.

- Nie da rady wspinać się z ogniem. Poparzymy sobie twarze i siebie nawzajem. - Staszewski zagasił płomień, zdeptując prowizoryczne łuczywo.

- Będziemy wspinali się po omacku? - zachnął się Władek. - Skąd wiesz, że znalazłeś to, czego szukaliśmy? Szyb może być zablokowany. Może prowadzi tylko na kolejny poziom. Co potem? Bez światła będziemy jak dzieci we mgle! Gorzej - jak ślepcy w lesie.

- Dobrze więc. Zgaśmy je i zatknijmy za pasy, ale tak, by nie hamowały ruchów rąk, najlepiej na plecach. Jeśli to jedynie przejście na kolejny poziom, to jeszcze się przydadzą.

- Zostanę chwilę na dole. Poświęcę ci przez moment.

Staszewski nie odpowiedział, być może dlatego, że już zajęty był wspinaczką. Zniknął cały w prowadzącym wwyż przypominającym komin wąskim szybie. Podeszwy wojskowych butów zapewniały dobre oparcie. Migotliwe, nikłe światło płynące z dołu jedynie w niewielkim stopniu oświetlało mu drogę. Mógł dostrzec zaledwie kilka, może kilkanaście szczelbi prowadzących w górę. Nigdy nie cierpiał na klaustrofobię, a jednak odnosił wrażenie nieprzyjemnej ciasnoty, znane początkującym grotolazom. Wspinał się mozolnie, starając się ostrożnie stawiać nogi na śliskiej od wilgoci drabince. Przebył już może kilkanaście szczelbi, kiedy światło z dołu nagle zgasło. Ciemność oślepiła go, choć jeszcze przez chwilę widział pojedyncze tańczące mu przed oczyma ogniki. Do jego uszu dobiegł jakiś cichy stukot - to Władek zaczął się wspinać.

Jak długo człowiek jest w stanie wchodzić po drabinie? Wraz z upływem minut to pytanie, które nieoczekiwanie pojawiło się w głowie majora, zaczęło nabierać coraz większego znaczenia. Zwykle pokonuje się w ten sposób kilkanaście, może kilkadziesiąt szczelbi. Żołnierz pomyślał o wyćwiczonych strażakach, których drabiny sięgały czwartego lub piątego piętra. Tam jednak kąt nachylenia był często łagodniejszy, tutaj należało wchodzić po pionowej ścianie. Zacisnął zęby, na oślep wymacując kolejne szczelble. Raz czy dwa omsknęła mu się noga. Syknął przez zęby i złapał się mocno rękoma, kiedy jego stopa na powrót poszukiwała punktu oparcia.

Ciche odgłosy dwóch wspinających się żołnierzy brzmiały głucho w wąskiej przestrzeni. Major zamarł na chwilę i słuchał. Sądząc po odgłosach, Władek był jakieś kilka metrów za nim, a mówiąc dokładnie, pod nim. Nie mówił nic, więc major domyślił się, że cały wysiłek, podobnie jak i on sam, wkładał w wędrówkę pod górę.

Minęło kilka minut i w głowie Staszewskiego zaświtała myśl, że może należy wrócić na dół. Mięśnie jego ramion zdrętwiały z wysiłku. W kilku miejscach brakowało pojedynczych szczelbi, należało podciągać się, by unieść ciężar całego ciała. Stopy i łydki z niewiadomej przyczyny wydawały się jak wystrugane z drewna. Na próżno starał się zadzierać głowę i wypatrywać jakiegoś światła.

- Ledwo daję radę - dobiegł go z dołu cichy, przerywany głos Władka. - Gdzieś tam brakuje szczelbi, a wszystkie są śliskie jak dupa niemowlaka.

Major zaprzestał na moment wspinaczki, czując, jak pot zalewa mu oczy.

- Będzie już dobre sto metrów. Chyba nie ma sensu wracać. Trzymaj się mocno. Jeśli któryś z nas spadnie, śmierć murowana.

Zdał sobie nagle sprawę z wysokości, na której się znajdują. Przyszło to dopiero teraz, ponieważ do tej pory myślał raczej o głębokości. Nie było to przyjemne uczucie. Pod nimi, choć nie mogli tego zobaczyć, musiała ziać prawdziwa przepaść. „Ciemność ma więc swoje dobre strony” - pomyślał major.

Ruszyli z mozołem w górę, gdy wtem nieruchome powietrze szybu przeszło jakieś drgnienie powietrza. Rozległ się nagły pisk i coś śliskiego otarło się nagle o twarz Staszewskiego. Drgnął gwałtownie, w ułamku sekundy zdając sobie sprawę, że o mały włos nie wypuścił szczebla drabiny z rąk.

- Uważaj! Władek!

Kolejny pisk, coś zraniło go boleśnie w twarz, załopotало, tym razem z drugiej strony. Trzymać się, za wszelką cenę! Nie wypuszczać drabinki z rąk. Lewą ręką próbował się opędnąć, ale niewidzialny przeciwnik znalazł się nieoczekiwanie po drugiej stronie.

- Nietoperz! - krzyknął z dołu Władek. - W tych podziemiach może ich być pełno!

„To nie jest dobry wybór - przemknęło przez myśl Staszewskiemu. - To nie jest dobry wybór, przed którym może stanąć człowiek: zostać poranionym, być może oślepionym, lub spaść na samo dno szybu”. Nietoperz, jeśli był tylko jeden, nie stanowił większego zagrożenia, o ile, oczywiście, żaden z nich nie spanikuje i nie wykona jakiegoś nieostrożnego ruchu. Wtargnęli do jego kryjówki, więc uznał ich za wrogów, ale niebawem powinien odlecieć. Jeśli jednak kryły się tu całe chmary nietoperzy, to w tych okolicznościach, w tak wąskiej przestrzeni, mogły one stwarzać śmiertelne niebezpieczeństwo.

Cichy furkot jednak ucichł. Władek rzucił jakieś przekleństwo, widać i jego dopadł niewidoczny przeciwnik. Rozległ się cichy pisk, a po chwili w szybie zapanowała cisza.

- Odleciał. - Głos Władka był pełen ulgi. - Pewnie był tylko jeden.

- Wyjście może być niedaleko - oznajmił major i nie tracąc czasu, ze wszystkich sił zaczął kontynuować swoją pielgrzymkę po drabinie.

Przypuszczenie okazało się trafne. Po około minucie wspinaczki, kiedy już major na serio zaakceptował fakt, że zginą tam niechybnie, udało mu się dojrzeć delikatną poświatę dnia. A więc Władek miał rację, słusznie przypuszczał, że podziemia wyposażone były w wyjścia ewakuacyjne prowadzące na samą powierzchnię.

Nikłe światło pozwalało mu rozeznąć się nieco w budowie zakończenia szybu. Wąska gardziel rozszerzała się tu nieco, szczelble bieły w bok. Major, ostrożnie stawiając kroki, przebył tę przeszkodę, wspiął się jeszcze nieco w górę i po lewej stronie zobaczył wejście do niewielkiej, przypominającej żelbetowy cylinder komory. Wszedł do niej, wreszcie stając na stabilnym podłożu. Domyślił się, że zadaniem konstrukcji było uniemożliwienie wrzucenia do szybu granatów. Wyjście, zakryte potężnymi liśćmi paproci, zamknięte było kratą.

- Krata! - oznajmił Władkowi.

Ten nic nie odpowiedział. Było to gorsze niż najbardziej wymyślne przekleństwo. Major przestraszył się nawet, że jego przyjaciel spadł, po chwili jednak ujrzał najpierw ramiona, a potem głowę Władka. Podał mu rękę i pomógł wejść do komory. Powrót na dół nie był wykluczony, a jednak coś mówiło majorowi, że są zmęczeni, zbyt zmęczeni, że tym razem może zabraknąć im szczęścia, wojskowy but może nie natrafić na szczelbę, a ramiona odmówią posłuszeństwa. Nie miał najmniejszej ochoty po raz kolejny zmierzyć się z nietoperzem, który zapewne nadal gdzieś tam się krył.

Ostatkiem sił złapał się za kratę, potrząsnął nią w nadziei, że deszcze przez lata zrobiły swoje i rdza osłabiła konstrukcję. Po chwili Władek przyłączył się do niego. Nadaremnie. Wykonano ją z solidnych prętów zbrojeniowych, pospawanych razem. Ich rozgięcie było niemożliwe nawet dla niezwykle silnego człowieka. Zamocowano ją na zawiasach i zabezpieczono olbrzymich rozmiarów kłódką. Teraz przypominała ona bryłę rdzy, a jednak trzymała zadziwiająco mocno. Solidna niemiecka robota.

- Myślisz o tym samym co ja? - zapytał Władka.

- Niebezpieczny pomysł. Jesteśmy w betonowej komorze. Jeśli coś pójdzie nie tak, możemy oberwać.

- Widzisz inne wyjście?

- Warto spróbować.

Major wyjął z kabury visa. Starannie wymierzył w kłódkę. Pocisk teoretycznie powinien zniszczyć mechanizm zamka, jeśli nie za pierwszym, to za drugim razem. Mógł jednak łatwo zmienić swoją trajektorię lotu i odbić się od metalu lub twardego betonu. Major widział już rykoszety, odbijające się nawet kilka razy, i rozumiał zagrożenie z jakim mają do czynienia.

- Schył się. - Tyle można było zrobić. Wiedział, że nie zdołałby namówić przyjaciela na powrót do szybu.

Potem pociągnął za spust. Strzelił dwukrotnie, spokojnie, starając się mierzyć pod odpowiednim kątem. Huk był ogłuszający. Za pierwszym razem kłódka jedynie odbiła w bok, za drugim jednak mechanizm puścił i stalowy kabłąk odskoczył. Major zdjął starą kłódkę, odrzucił ją i razem z Władkiem naparli na kratę. Chwilę potem stali już na powierzchni, pośród sięgających im do pasa wybujających paproci i wysokich sosen. Wyjście było starannie zamaskowane i mieściło się w niewielkim zagłębieniu terenu. Zastanawiali się, gdzie też mogą się znajdować.

12.

Baza Armii Czerwonej w Kęszycy Leśnej, sobota 27 kwietnia 1957 roku, godzina 9

...W obliczu ujawnionej zdrady postanowiłem podjąć radykalne kroki mające na celu przeciwstawienie się zorganizowanej dywersji i obronę interesów Związku Radzieckiego na powierzonym mi w opiekę terenie.

Palce Ulianowa przestały na moment stukać w klawiaturę maszyny. Trzeba było wykazać daleko posuniętą rozwagę. Jego poprzednik został odwołany i wysłany gdzieś daleko na bezkresne przestrzenie Syberii, w jedno z tych miejsc, z których nikt nie wracał. Nie można było zbyt szeroko nakreślić sprawy, rozdmuchać jej ponad miarę, jeszcze za wcześnie. W kolejnym raporcie musiałby wykazać, co w takim razie zrobił i jakie kroki przedsięwziął, by wyplenić ten zakrojony na szeroką skalę spisek przeciwko władzy radzieckiej. On tymczasem wiedział wciąż za mało.

Wstał od biurka i podszedł do okna. Myślał wciąż o raporcie, ale jakaś część jego umysłu ogarniała bazę, starając się dostrzec słabe punkty, które wróg mógłby wykorzystać. A zauważył ich zadziwiająco wiele. Niskie ogrodzenie, zbyt mało wieżyczek wartowniczych, bezpośrednie sąsiedztwo lasu, budynki garnizonowe zasłaniające widok. Przeciwnicy niezauważenie mogli podejść całkiem blisko. Należało natychmiast podwoić albo i potroić liczbę patroli. W każdym z nich powinno znajdować się co najmniej dwóch żołnierzy. Nie mogli nigdy tracić się nawzajem z oczu. W zasadzie wszystkie straże powinny stworzyć coś na kształt kordonu obserwujących się nawzajem posterunków. Czy wystarczy mu ludzi? Z pewnością. W razie potrzeby da radę nawet obsadzić dachy. Trzeba będzie stworzyć również patrole mieszane. Żołnierze regularnej armii i ludzie z KGB. W ten sposób najlepiej utrzyma nad wszystkim kontrolę.

Na dodatek zdrada Polaków! Kiedy myślał o tym, wzbierała w nim złość. Podsycał ją, ponieważ była przyjemna. Tak, można się było tego spodziewać. Polscy oficerowie! Tak wiele zawdzięczali Armii Radzieckiej i wciąż nie potrafili tego docenić! Oni wszyscy byli tacy sami. Gdyby nie Związek Radziecki, nadal tkwiliby pod butem Hitlera. Teraz oprócz wolności dostali prawdziwy dar - komunizm. Wszyscy stali się równi. Niebawem to on,

Uljanow, pokaże im wszystkim nowe zasady gry. Zostaną oparte na darwinizmie. Będzie to wcielona w życie przez niego samego teoria ewolucji. Słabe jednostki zostaną wyeliminowane, staną się nawozem dla lepiej przystosowanych. Strach i terror to najskuteczniejsze metody sprawowania władzy, tego go wyuczono. Przez moment nawet uznał, że Hitler w swoim szaleństwie mógł mieć sporo racji.

Co do zdrady polskich oficerów - odczuwał całkowitą pewność. To oni musieli maczać w tym swoje palce. Weszli do bunkrów, chociaż przed chwilą przecież widzieli zmasakrowane zwłoki jego ludzi. Normalny człowiek odczuwałby strach, a oni zrezygnowali ze zbrojnej eskorty. Musieli mieć coś do ukrycia. A potem zniknęli. Zapewne stało się z nimi coś złego albo po prostu zdezerterowali. Przyłączyli się do grasujących w lesie bandytów i - kto wie - może planują coś na kształt powstania. Byłoby to oczywiście głupotą, nikt nie mógł mierzyć się z potęgą Związku Radzieckiego, Polacy jednak byli narodem nieobliczalnym, czego dowiedli nieraz w czasie swojej historii, i uwielbiali takie bezsensowne, romantyczne zrywy. Po raz kolejny doszedł do wniosku, że zatrzymanie Polaków w bazie było poważnym błędem. Zwłaszcza że nikt - a przynajmniej Uljanow o tym nie wiedział - dokładnie nie prześwietał ich przeszłości, pochodzenia i poglądów. Trzeba było pozbyć się ich od razu.

Podszedł do kredensu, otworzył go i wyciągnął butelkę mocnej radzieckiej wódki. Płyn palił go w przełyk i rozlewał się przyjemnym, kojącym ciepłem w żołądku. Lasy, mokradła, jeziora, cieki wodne. To wszystko będzie świetnym miejscem do wprowadzenia w życie jego małego planu. A kiedy sprawa zostanie załatwiona, gdy zaprowadzi tu porządek, władza radziecka z pewnością przymknie oko na pewne niewielkie koszty, jakie trzeba będzie ponieść.

Naraz przy zastawionej szlabanem bramie wjazdowej dostrzegł jakiś ruch. Przyskoczył do okna. Nie mogło być mowy o przywidzeniu, Polacy wrócili. Major i ten jego przydupas, Władek. Bezcelność tych ludzi nie znała granic. Zapewne porozumieli się ze spiskowcami, ustalili plany kolejnej dywersji, kolejnych zbrodni, a teraz jakby nigdy nic powrócili do bazy, sądząc, że on, agent KGB, niczego się nie domyśla. Ale to dobrze, doskonale, sami wpadli w pułapkę.

Zarzucił pośpiesznie na siebie wojskową bluzę i zapinając guziki wypadł

z kwatery. Teraz już się nie wymkną.

Słońce poranka wzniosło się już ponad wysokie sosny i zalewało koszary złotym blaskiem. Gdzieś na horyzoncie gromadziły się jednak deszczowe chmury. Władek i major Staszewski szli pośpiesznie, chcąc po ciężkiej nocy i przedzieraniu się przez las wrócić do swoich pokoi. Mieli mnóstwo szczęścia, że udało im się odnaleźć drogę, a jeszcze więcej, że trafili na jakiegoś rolnika, wozem jadącego przez las. Gdyby nie to, pewnie dotarliby do bazy znacznie później. Byli już na wysokości placu apelowego, gdy drogę zagroził im Ulianow. Stał na szeroko rozstawionych nogach, z rękoma założonymi za plecami. Po obu jego stronach stali agenci KGB, celując do Polaków z pepesz. W powietrzu zapanowała jakaś dziwna cisza i Staszewski w okamgnieniu pojął, że jest to cisza zwiastująca wielkie kłopoty.

- Towarzysze, jesteście aresztowani! - twardym głosem oznajmił Ulianow. - Zarzuca się wam zdradę ojczyzny, współdziałanie z dywersantem, zamach na życie żołnierzy, zbrodnię dezercji, a także... - Tu zawiesił na chwilę głos, zapewne by dodać wagi swoim słowom. - ...działanie na szkodę Związku Radzieckiego!

- Jakże to, towarzyszu? - odrzekł spokojnie Staszewski. - Jakie macie dowody na poparcie tak ciężkich oskarżeń? Porozmawiajmy spokojnie, każcie ludziom odłożyć broń. Musiało dojść do jakiejś pomyłki. Może ktoś fałszywie nas oskarżył.

Ulianow uśmiechnął się jedynie pod nosem. To nie był uśmiech człowieka, z którym można dyskutować.

- Dowody znajdą się we właściwym czasie. Teraz zdajcie broń.

Major kątem oka spostrzegł, że dłoń Władka opada w kierunku kabury. Zbyt szybko. Zerknął w jego stronę. To nie był dobry pomysł. Więcej, to głupota i szaleństwo. Dłoń zwolniła. Trwało to ułamek sekundy i tej wymiany spojrzeń nie zauważył żaden z Rosjan. Obydwa visy wylądowały na ziemi.

- Noże też - rozkazał agent. - Nie chcę, żebyście zrobili sobie krzywdę.

Bagnety podzieliły los broni palnej, lądując na ziemi, nieopodal kałuży, w której przeglądało się słońce. „To słońce niebawem zajdzie” - dziwna myśl przemknęła majorowi przez głowę. Nagle kątem oka dostrzegł jakiś delikatny błysk, w oddali, jakby światło odbiło się od jakiejś małej powierzchni lub

lustreczka. Trwało to zaledwie moment. Gdzieś tam, gdzie tuż przy terenie bazy rosły rozłożyste drzewa. Wysoko. Może kilkanaście metrów nad ziemią. Strzelec wyborowy? Nie odwrócił jednak głowy, by nie zwrócić niczyjej uwagi. W tej chwili Ulianow jednak był tak zajęty przeżywaniem swojego triumfu, że mało co byłoby w stanie odwrócić jego uwagę. Wpatrywał się w nich niczym drapieżnik w zwierzynę. Trzeba przyznać, że był to wzrok, pod którym cierpła skóra.

Jeden z agentów podszedł i zabrał broń z ziemi.

- Jeśli tak... - zabrał jeszcze raz głos Staszewski - żądamy jasnego przedstawienia zarzutów i uczciwego procesu przed sądem wojskowym. Jesteśmy polskimi oficerami i podlegamy naszemu sztabowi.

- Nie ze mną te gadki - uciął Ulianow. Wyszarpnął gwałtownym ruchem makarowa i potrząsnął nim wymownie. - Dalej! Albo rozwalę was na miejscu!

Tak, ta rola stanowczo coraz bardziej mu się podobała.

*

Pomieszczenie, w którym uwięziono Polaków, znajdowało się w piwnicy jednego z koszarowych budynków i miało zakratowane okno, przez które dało się dostrzec plac apelowy. Niegdyś mieścił się tu niewielki składzik, który jednak opróżniono. Wrzucono im dwa potargane materace i wiaderko na odchody. Każdy z nich, zostając żołnierzem, w którymś momencie swojego życia, chociażby jedynie w marzeniach lub mrzonkach, zadał sobie pytanie, jak by to było umrzeć za ojczyznę. Taka śmierć wydawała się wówczas bohaterska i romantyczna. Nie przyszłoby im do głowy, że mogłaby ona mieć zapach gówna, jaki zapewne niebawem wypełni celę. Dlatego też nie wierzyli, że zginą. Musiało istnieć jakieś wyjście. Ktoś przecież musi się dowiedzieć i ukrócić poczynania agenta KGB. Niemożliwe, żeby wszyscy aż tak bardzo się go obawiali.

Staszewski myślał o linii obrony, gorączkowo analizując sytuację i starając się przygotować na możliwe zarzuty. Władek, choć zmęczony, myślał o sposobie ucieczki. Ile dałby teraz, by móc przedostać się do Wandy, do Kurska. Bał się, że stanie się coś, co sprawi, że nie zobaczy jej już nigdy. Kraty w oknie były jednak grube i solidnie zatopione w murze. Drzwi

metalowe, wzmocnione nitami i zamykane od zewnątrz. Władek podszedł do nich i przyłożył ucho. Gdzieś na korytarzu, którym ich tu przyprowadzono, rozlegały się ciche kroki. Wartownik, może nawet dwóch. O ucieczce można było zapomnieć. Chyba żeby...

- Słuchaj... - powiedział szeptem do majora. - W drzwiach nie ma wizjera.

- Co z tego? - odparł tamten równie cicho.

- Nie można zajrzeć do środka bez otwarcia drzwi - wyjaśnił Władek. - A oni muszą nas doglądać. Pewnie przyniosą nam jedzenie. Na pewno też nie chcą, żebyśmy za szybko rozstali się z tym światem. Mógłbym zacząć krzyczeć, że chcesz popełnić samobójstwo albo jakoś inaczej zwabić ich do środka. Można spróbować ich zaskoczyć i rozbroić.

- Wariacki pomysł - orzekł major. - Oni mają broń, a my nie. Nie wiemy dokładnie, ilu ich tam jest. Poza tym jak wydostaniemy się z bazy? Ulianow pewnie porzastał wszędzie wartowników.

- Co w takim razie? - gorączkował się Władek.

- Trzeba się przespać. Nabrać sił po nocy. Coś mi mówi, że będziemy ich wiele potrzebowali. Niebawem sprawy się rozstrzygną. W dobry albo w zły dla nas sposób. Jeśli wyczujemy, że jest bardzo źle, wtedy spróbujemy ucieczki. Może być twoim sposobem. Spróbujmy jednak jeszcze innej metody.

- Jakiej?

- Gry. Pozwól, że ja się tym zajmę. Kiedy Ulianow przyjdzie nas przesłuchać, to ja będę mówił. Wbrew pozorom my także mamy silne karty.

Władek nie za bardzo rozumiał, jakie to silne karty może mieć dwóch pozbawionych broni, oskarżonych o zdradę i uwięzionych w celi Polaków w garnizonie opanowanym przez żołnierzy Armii Radzieckiej. Już chciał zaoponować, kiedy major położył palec na ustach i wymownie wskazał na drzwi. Jakby na potwierdzenie jego przypuszczeń rozległo się za nimi ciche szurnięcie.

Położyli się na potarganych, cuchnących stęchlizną materacach, w mundurach, w których przebyli labirynty podziemnego miasta i przedzierali się przez las. Leżeli tak nieruchomo, z oczyma wbitymi w sufit, myśląc o tym

samym. Pierwszy wstał Władek. Major usłyszał brzdęk ocynkowanego wiadra i posłyszał strugę moczu spływającą po jego powierzchni. „Nie ma w tym krzty wzniosłości” - pomyślał. Przypomniawszy sobie dzień przysięgi wojskowej. Błękitne niebo, grająca hymn orkiestra, ludzie powiewający chusteczkami i polska flaga łopocząca na wietrze. Uśmiechnął się sam do swoich myśli, po czym wstał i sam zrobił to, co przed chwilą Władek.

Po godzinie leżenia i rozmyślenia za sprawą ogromnego zmęczenia zdołali obydwaj zapaść w zbawienny sen. Spali tak aż do wieczora, kiedy niebo zakryły ciemne chmury, zwiastujące nadchodzącą nawałnicę. Nie widzieli ciężarówek wyjeżdżających z bazy i nie słyszeli komend padających z ust Ulianowa, który coraz bardziej przejmował kontrolę nad sytuacją.

- Wstawaj! - Major zbudził się wcześniej i potrząsnął ramieniem Władka. Ten zerwał się momentalnie z materaca. - Coś się tutaj święci.

Obydwaj przez niskie, okratowane okienko obserwowali niezwykle poruszenie, jakie zapanowało w bazie. Przy stróżówce obok szlabanu zagradzającego drogę postawiono nie dwóch, jak zwykle, lecz czterech wartowników. Rozglądali się czujnie na boki. Zewsząd było słychać pokrzykiwania, spostrzegli dwóch czerwonoarmistów niosących na drągu wielki zwój drutu kolczastego. W przerwie między budynkami spacerowało dwóch kolejnych wartowników, z bronią przewieszoną przez ramię. Tuż przed ich nosem, tak że mogli dokładnie zobaczyć wysokie skórzane buty, przemaszerowała z łoskotem grupa żołnierzy w pełnym rynsztunku, a dwóch z nich niosło ciężki karabin maszynowy.

- Co jest? - zdziwił się Władek. - Przygotowują się do trzeciej wojny światowej?

- Nie wiem, ale nie wygląda to dobrze - ocenił major.

Wtem przed szlabanem pojawiły się trzy radzieckie ciężarówki. Wartownicy zaszalutowali i rozstąpili się na boki. Pojazdy wjechały na plac apelowy, gdzie natychmiast zostały otoczone przez ludzi z KGB. Przez moment major jakąś częścią swojego umysłu zrozumiał, kto stanowi ładunek ciężarówek. Było to nieprawdopodobne, a jednak on wiedział, zanim to zobaczył. Może dlatego, że wtedy, gdy Ulianow zagroził im drogę, dostrzegł w jego oczach coś, co zidentyfikował ostatecznie dopiero teraz - szaleństwo.

- Co do...? - zaczął Władek i zamilkł.

Przez twarz przemknął mu płomień gniewu. On też rozumiał. Nie był głupi. Słyszał wiele plotek, rozmawiał przecież z ludźmi, a jednak w takie rzeczy nie chciało się wierzyć. I tak naprawdę jedna myśl, która pojawiła się w tym momencie jak błyskawica, przeraziła go najbardziej, zmieniła jego kręgosłup w sopel lodu: „Cokolwiek się stanie, nikt się o tym nie dowie. Nigdy. Nie powiedzą o tym w radiu, nie napiszą w «Trybunie Ludu»”. Nie wiedział, czy ta myśl jest prawdziwa. Ale była przerażająca.

Z ciężarówek, popędzani uderzeniami kolb i okrzykami wartowników, wysiadali cywile. Byli wśród nich starcy, kobiety i dzieci. Zaledwie kilku mężczyzn w sile wieku. Przerażeni, poganiani przez agentów KGB ustawili się w karny dwuszereg. Radzieccy żołnierze sprawiali wrażenie skonsternowanych, lecz posłusznie wykonywali władcze polecenia Ulianowa.

- Ci ludzie wyglądają jedynie na niewinnych, zwykłych cywilów! - krzyczał agent. - Tak naprawdę współpracują z mordercami naszych współtowarzyszy, kryjącymi się po lasach jak dzikie zwierzęta pacholkami imperialistycznych mocarstw. Dalej! Zamknąć ich do celi!

- Zwariował - jęknął Władek. - Musimy się stąd wydostać i wezwać jakąś pomoc! On gotów jest pozabijać tych ludzi! Jezus Maria! Patrz! - Pochwycił majora za ramię z taką siłą, że ten miał wrażenie, iż zaraz pęknie mu kość. - To Wanda!

Rzeczywiście, jedną z osób, które jako ostatnie wysiadły z ciężarówki, była Wanda. Rozglądała się wokoło przerażonym wzrokiem.

- Dranie! - Władek nie posiadał się ze wściekłości. - Zrobili nalot na Kursko! Porwali ludzi! Co im zrobiły te kobiety i dzieci?! Wanda!

Nagle major złapał go za poły wojskowej koszuli i cisnął nim o ścianę.

- Zamknij się, do cholery, idioto! - wysyczał wściekle.

- Co...?

- Chcesz przeżyć? - Major mówił szybko i cicho. - To nie bajka. To nie film, ale cholerna rzeczywistość. Tutaj się żyje albo umiera. Czy jeszcze nie rozumiesz, co zamierza Ulianow? Czy to jeszcze do ciebie nie dotarło? Jesteśmy tu zdani na jego łaskę. Nasz los obchodzi naszych zwierzchników

tyle, co pierdnięcie starego psa. Jeśli trzeba będzie, załatwi nas i wymyśli do tego jakąś bajeczkę. Nikt nie będzie sprawdzał, jak było naprawdę. Chcesz uratować swoją Wandę? Więc mordaj w kubek. Odzywaj się jak najmniej. A ostatnią rzeczą, jaką powinienes zrobić, to pokazać, że ci na niej zależy. On dostrzeże to i wykorzysta bez litości.

Władek stał oparty o ścianę i ciężko oddychał. Z czoła spływała mu strużka potu. Po chwili major rozluźnił uścisk.

- Zaufaj mi - dodał z niespodziewaną łagodnością.

Nagle rozległ się głośny szczęk zamka w drzwiach. Obydwaj żołnierze spojrzeli w tamtą stronę. Jako pierwszy wszedł jeden z agentów KGB, trzymający przed sobą gotową do strzału broń. Na jego twarzy nie było śladu gniewu czy złości. I to najbardziej wewnętrznie wstrząsnęło majorem. To była twarz człowieka wykonującego swoje rzemiosło. Twarz skrupulatnego pracownika. Następny w kolejności wszedł sam Ulianow. Sprawiał wrażenie przeobrażonego. Tak bardzo, że majora przeszło nieprawdopodobne podejrzenie, że ma przed sobą kogoś innego, choć uderzająco podobnego, sobowtóra. Ten człowiek nie był już sobą. Jego oczy zdawały się lśnić jakimś nadnaturalnym blaskiem, tak jak potrafi lśnić czarna tafla wody odbijająca światło księżyca. Jeśli prawdą jest, co mówi się o ludzkich oczach, że są zwierciadłem duszy, to dusza tego człowieka była jak bezdenne otchłań. Zupełnie jakby coś nim zawładnęło. Jednocześnie napełniała go jakaś niespotykana charyzma. Już wcześniej, na placu, major spostrzegł, że Ulianow wywiera na podwładnych niemal hipnotyczny wpływ.

- Oto jestem - oznajmił. - Przyszedłem dokończyć swoje sprawy. Jak być może zauważyliście, postanowiłem się zabezpieczyć. Prostą metodą, którą można określić jako stara dobra szkoła. Jeśli tej nocy zginą kolejni moi ludzie, będę rozstrzeliwał losowo wybranych Polaków. Taka wieść z pewnością szybko się rozniesie i powstrzyma tę waszą patriotyczną partyzantkę kryjącą się w lasach. Moi ludzie będą bezpieczni i w spokoju dokończą prace poszukiwawcze.

Major zrozumiał, że Ulianow nie blefuje. Rzeczywiście wydawał się do tego zdolny. Jeśli ktoś nawet po latach znajdzie szkielety, w co wątpił, powiedzą, że to sprawka Niemców, a ludzie ci zginęli w czasie wojny. Nie muszą przecież mówić prawdy, wystarczą kłamstwa, w które da się uwierzyć. Wiedział jeszcze jedno - ich czas właśnie dobiegł końca. Byli niewygodnymi

świadkami.

Agent wyciągnął pistolet i przeładował go, wprowadzając nabój do komory. Stało się jasne, że nie będzie już żadnego sądu, opowieść dobiegła końca, czas postawić kropkę i zakończyć zdanie. Powietrze w celi znieruchomiało. Kiedy wiele lat później stary major próbował spisywać całą historię, w tym momencie również znieruchomiała jego ręka, zatrzymała się w połowie wyrazu.

A jednak właśnie wtedy Staszewski rozpoczął grę. Wiedział, że to gra o wszystko. Niech to szlag! Może to nie była nawet żadna gra. Gry dobre są dla bohaterów w kinie. Prawda jest taka, że był zbyt przestraszony na jakąkolwiek grę, a tego słowa użył w swoich myślach, by choć trochę dodać sobie otuchy i nie zapomnieć języka w gębie. Miał bowiem kartę w rękawie. Może nie asa, ale zawsze.

- Wiemy o czymś, co znajduje się w podziemiach.

Ulianow prychnął pogardliwie. Naprawdę wyglądał na rozbawionego.

- Wiecie co, towarzyszu? - odparł z wodniczo przyjaznym tonem. - Spodziewałem się po was czegoś inteligentniejszego. Albo doniosłego. Sądziłem, że wykrzykniecie: „Niech żyje Polska!” lub jakąś inną równie niegroźną brednię. Wy sądzącie jednak, że nabierzecie mnie, agenta KGB, na podobną bajeczkę?

Uniósł makarowa. Tak samo postąpił stojący przy nim strażnik. Major obliznął spierzchnięte wargi. To była ostatnia szansa. Jeśli zadrzy mu głos, sprawi wrażenie, że kłamie. Ulianow strzeli. Wtedy usłyszał własne słowa:

- Znaleźliśmy spadochroniarza.

Przez nieruchomą twarz agenta KGB przemknęło ledwie dostrzegalne mgnienie. Pistolet drgnął w dłoni.

„Punkt dla mnie - pomyślał Staszewski. - Złapałem tę cholerną linę, muszę teraz tylko trzymać ją z całych sił”.

- Co to za człowiek? - rzucił kamiennym głosem agent.

Major zamiast odpowiedzieć wskazał oczami na wartownika. Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Ulianow badał jego twarz wzrokiem niczym palcami dłoni. Staszewski niemal fizycznie czuł to spojrzenie,

pełzające po jego policzkach i poszukujące śladu kłamstwa.

- Wyjdź! - nakazał nagle Ulianow.

Wartownik posłusznie opuścił pomieszczenie, zamykając za sobą metalowe drzwi. Agent podszedł bliżej. Cały czas trzymał broń w pogotowiu, wietrząc jakiś podstęp.

- Mówcie, co wiecie.

- Znaleźliśmy go w lesie. W umówionym miejscu. To prawda, że już od dłuższego czasu współpracujemy z tajnymi służbami z Londynu.

Władek spojrzał na majora z przerażeniem. Co on wygaduje? Za takie coś... kara śmierci! Milczał jednak. Major tymczasem starał się sprzedać Ulianowowi jakąkolwiek historyjkę, którą tamten byłby w stanie kupić. Wiedział, że wszelkie zaprzeczenia na nic się zdadzą. Zrozumiał to jakimś nagłym przeblyskiem swojej duszy. Ten człowiek, który chce ich zabić, nie poszukuje prawdy. Interesuje go natomiast coś zgoła innego. To był jego słaby punkt.

- Przekupili nas, zaoferowali spore pieniądze w walucie. A także złoto, jeśli dobrze wywiążemy się z naszego zadania.

- Co mieliście robić?

- Zdobywać informacje. O bazie, stanie uzbrojenia, ćwiczeniach, rodzajach wykorzystywanej broni. Przede wszystkim jednak Londyn interesuje się podziemnym miastem. Tam znajduje się coś godnego uwagi.

- Co to takiego? - pozornie obojętnie spytał Ulianow.

- Największy skarb Trzeciej Rzeszy. Legendarny skarb, którego wartość przekracza wszystko, co można sobie wyobrazić. Człowiek, który wszedłby w jego posiadanie, stałby się królem. Stałby się Bogiem.

Były to w gruncie rzeczy puste, nic nieznaczące słowa, tak zwana mowa-trawa, i major doskonale to rozumiał. To był język legendy. Jednak był to również język pychy, a jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, że właśnie w ten sposób najlepiej rozmawiać z Ulianowem. Ponieważ takie właśnie były jego najgłębsze, niewypowiedziane pragnienia. Major widział to wszystko w oczach agenta.

- Opowieść o wizycie Hitlera nie jest jedynie bajką. To właśnie tutaj

zwieziono niezliczone kosztowności pochodzące z rabunków obejmujących całą Europę Środkową. Drogocenne kamienie, skrzynie wypełnione sztabami złota, obrazy ogromnej wartości, złupione z najznamienitszych muzeów. Spadochroniarz był jednym z wielu skoczków, jacy mają niebawem przybyć. Ich zadaniem będzie odszukanie i wywiezienie skarbów.

To był najślabszy punkt całej historii. Major nie miał pojęcia, w jaki sposób tajemniczy skoczkowie mieliby wywieźć tak ogromne skarby z terenu Układu Warszawskiego. Każdy pociąg musiałby zostać zatrzymany, każdy samolot, szczególnie duży, był narażony na zestrzelenie. Podobna akcja musiałaby zająć sporo czasu i nawet przy niebywałej dyskrecji zwróciłaby uwagę, chociażby zwykłych mieszkańców. Ulianow również to zrozumiał. Staszewski dostrzegł to w jego twarzy i znów zdołał wyprzedzić agenta o jedno posunięcie. Opanowała go jakaś dziwna euforia. Zrozumiał, że chciwość agenta przerasta i zaćmiewa jego zdolność logicznego rozumowania. Ten człowiek był gotów uwierzyć, jeśli tylko mówiło się to, co tak bardzo chciał usłyszeć. Prawdę mówiąc, niemal zachciało mu się śmiać. Nie powiedział mu o pułapce, bombie, stosie atomowym i elektronowym mózgu Zuse Z4. Powiedział o złocie. I to był strzał w dziesiątkę. Zachował jednak kamienną twarz, której usiłował nadać skruszony wyraz.

- Z pewnością wywiezienie takich bogactw byłoby ogromnym problemem. Transport mógłby zostać przechwycony przez wojska Układu Warszawskiego. Wszystko jedno, czy odbywałby się drogą lądową, powietrzno-lądową, lądowo-wodną czy w jakikolwiek inny sposób. Nasze granice są pilnie strzeżone.

Ulianow niemal niedostrzegalnie skinął głową, co oznaczało, że Staszewski ma mówić dalej.

- Anglicy dotarli jednak do tajnych dokumentów Trzeciej Rzeszy, z których wynika, że pod ziemią biegnie tunel metra. To jedno z największych i najtajniejszych osiągnięć budowlanych nazistów. Prawdopodobnie jest częściowo zawalony, a jednak można uczynić go przejezdnym. Prowadzone głęboko pod ziemią prace mogłyby być niewykrywalne. Skarby znajdują się w pociągu. Osobistym, specjalnym superpociągu Adolfa Hitlera. Tunel prowadzi prosto do Berlina. Nie muszę chyba dodawać, że do Berlina Zachodniego.

Major zawiesił głos, czekając na efekt. „Jeśli ten blef się uda - pomyślał -

chyba przestanę być żołnierzem i zacznę zarabiać na życie jako zawodowy kłamca”.

- Przypuśćmy nawet, że to, co mówicie, jest prawdą - chłodnym tonem stwierdził Ulianow, choć w oczach tańczyły mu jakieś szalone ogniki. - Dlaczego właściwie mam was nie zlikwidować? Sami przyznaliście się przecież do konszachtów z wrogim mocarstwem. Współpracowaliście z imperialistami. Zdradziliście kraj.

„Ponieważ wtedy - pomyślał major - musiałbyś chyba zlikwidować sam siebie. Ty również masz gdzieś lojalność wobec tej swojej partii. Rządzi tobą chciwość i strach, dwa potężne demony. Wszystko, co trzeba było zrobić, aby cię oszukać, to postawić przed tobą lustro, w którym zobaczyłbyś swoje odbicie. Mówiłem do ciebie językiem twoich pragnień”. Oczywiście nie powiedział tego głośno, a cała myśl przemknęła mu przez głowę tak szybko, że stanowiła jedynie krótki przebłysk.

- Ponieważ udało nam się dotrzeć jeszcze dalej niż wam - odparł Staszewski. - To dlatego wróciliśmy tak późno. Wiemy, gdzie może znajdować się ten pociąg. Z dużym prawdopodobieństwem. Znaleźliśmy ślepy tor i pośpiesznie zamurowaną ścianę. Cudem obeszliliśmy kilka min pułapek, które się tam znajdują. Możemy was tam zaprowadzić.

- To za mało - odparł Ulianow głosem, w którym drżała niepohamowana chciwość. - To za mało. Sam prędzej czy później zdołałbym odnaleźć ten pociąg, jeśli i wy zdołaliście.

- A jednak jest coś jeszcze... - wyjaśnił Staszewski. - Tunel, w którym znajduje się pociąg Hitlera, jest zaminowany za pomocą bomby burzącej o wielkiej sile. Eksplozja spowoduje nie tylko zawalenie się podziemi, ale i wdarcie się ogromnych mas wody z pobliskich jezior. Skarb przepadnie bezpowrotnie. Żeby rozbroić ładunki, trzeba dysponować specjalnym schematem rozmieszczenia zapalników, w przeciwnym razie jest to niewykonalne.

- Chcecie mi wmówić, że macie ten schemat?

- My nie, ale kolejny spadochroniarz będzie go posiadał.

- Kiedy macie się z nim skontaktować?

- W przyszłym tygodniu, w umówionym miejscu. Tam mamy spotkać się

z całą grupą komandosów, którzy otrzymali zadanie dotarcia do skarbu i przygotowania go do transportu. Będą dysponowali kompletnymi informacjami. Trzeba wziąć ich z zaskoczenia, w przeciwnym razie zdążą zniszczyć schemat. To musi być perfekcyjnie przygotowana pułapka.

Ulianow milczał przez dłuższą chwilę, rozważając wszystkie za i przeciw. Opowieść o skarbie brzmiała w jego uszach jak muzyka, byłby jednak głupcem, gdyby nie brał pod uwagę i tej możliwości, że Polacy usiłują w ten sposób wyłgać się i kupić sobie nieco czasu. Ostatecznie jednak znajdowali się w jego rękach, więc mógł ich sprzątnąć w każdej chwili. A jeśli skarb rzeczywiście istnieje, opłacało się poczekać. Poza tym wzmianka o spadochroniarzu, tajemniczym zrzucie i lecącym nisko samolocie dotarła już wcześniej do jego uszu. Coś więc musiało być na rzeczy.

- Dobrze więc - oznajmił. - W przyszłym tygodniu pomożecie mi zastawić sidła na tych skoczków. Musicie czekać na nich jakby nigdy nic i zwabić w odpowiednie miejsce. Dopracuję jeszcze szczegóły tego planu. Jeśli okażecie się lojalni, być może zapomnę o waszych przestępstwach i zbrodniach przeciw władzy ludowej.

Kiedy wychodził i zamykał za sobą drzwi, wszyscy, włącznie z nim samym, doskonale wiedzieli, że nie jest to prawdziwa obietnica.

Władek znów chciał coś powiedzieć, ale major położył palec na ustach.

13.

*Baza Armii Czerwonej w Kęszycy Leśnej, sobota 27 kwietnia 1957,
godzina 22*

Ulianow stał przy swoim oknie i z wysokości drugiego piętra obserwował pogrążającą się w ciemnościach bazę. Zgasił światło, żeby mieć lepszy widok. Ostatnie promienie słońca już skryły się za widnokręgiem, a jedyną pozostałością dnia była subtelna poświata na zachodzie. Wiedział, że i ona niebawem zniknie niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Po niebie ospale przesuwały się ciemne chmury, raz po raz zasłaniając ogromną tarczę księżycą. Agent przeklinał je w duchu - jasna noc zwiększała bezpieczeństwo.

Ruch na placu apelowym ustał. Teraz kładły się na nim jedynie kanciaste cienie budynków. W całej bazie panowała cisza, słychać było jedynie monotonne kroki przechadzających się parami uzbrojonych po zęby wartowników. Skądś dobiegł cichy odgłos rozmowy, wybuch śmiechu, który szybko zamilkł. W lesie słychać było odległe pohukiwanie puszczyka.

Wychylił się lekko z okna i omiół wszystko wzrokiem. Tym razem bandyci z lasu nie będą mieli łatwego zadania, nawet gdyby wpadli na straceńczy pomysł dostania się na teren bazy i odbicia zakładników. Niepokoiła go jedynie ta ciemność, te wielkie plamy mroku czające się w zaułkach, wpełzające na plac apelowy, osaczające ze wszystkich stron niewielkie oazy żółtopomarańczowego światła rzucanego przez sodowe lampy. Nakazał zamontować kilka dodatkowych reflektorów, ale i to wydawało się za mało. Jak okiem sięgnąć, wszędzie poza bazą rozciągał się pogrążony w całkowitych ciemnościach gęsty las. Baza przypominała teraz słabo oświetlony okręt unoszący się w oceanie czerni. „Tkwią tu jak szczur w pułapce” - pomyślał.

Nie bał się o swoich ludzi. Nie obawiał się o bazę. Szczerze mówiąc, nie lękał się nawet o swoją skórę, ponieważ tutaj czuł się bezpiecznie. Obawiał się o przyszłe konsekwencje. Nie dalej jak wczoraj otrzymał ponaglenie do sporządzenia i przesłania kolejnego tajnego raportu na temat postępów w zakresie zleconej misji badania Podziemnego Rejonu Umocnionego. Nadal udało mu się utrzymać w tajemnicy przed dowództwem śmierć żołnierzy,

których ciała umieszczono w chłodnej piwnicy i obłożono lodem z chłodni. Kupił sobie w ten sposób trochę czasu. Może dobę, może dwie. Na pewno nie więcej. Być może zresztą oni już o wszystkim wiedzą. Możliwe, że wyznaczony człowiek już tu jedzie. Zbyt wiele czasu spędził w KGB, by nie brać pod uwagę takiej możliwości. On również mógł być przez kogoś obserwowany. Wiedzą, ale udają, że nie. Czekają na jego kolejne posunięcie. Bawią się nim. To by było w ich stylu.

Niebawem trzeba będzie oficjalnie powiadomić dowództwo. Jeśli do tego czasu nie będzie w stanie wykazać się żadnymi osiągnięciami, śmierć żołnierzy będzie go obciążała. Owszem, mógłby natychmiast zarządzić poszukiwania i spróbować na własną rękę, bez pomocy Polaków, odnaleźć skarb lub przynajmniej zrobić coś, co postawiłoby go w lepszym świetle. Widział jednak rozszarpane zwłoki i wiedział, że ma do czynienia z groźnym przeciwnikiem. A jeśli straci kolejnych ludzi, a przy tym nie uda mu się odkryć niczego interesującego? Jeśli istotnie, co było bardzo prawdopodobne, miejsce ukrycia skarbu jest zaminowane w bardzo skomplikowany sposób i wszystko skończy się fiaskiem? Dostanie wezwanie. Do Związku Radzieckiego. Pod byle pretekstem trafi do więzienia, gdzie będą trzymali go tak długo, jak przyjdzie im na to ochota. Lub po prostu go zlikwidują.

Opowieść majora o ukrytym pociągu Hitlera, którym można dostać się aż do Berlina Zachodniego, poza granice sowieckiej jurysdykcji, wydałaby się wielu ludziom zmyśloną bajeczką. On jednak, z całą jego wiedzą zdobytą w tajnych archiwach Związku Radzieckiego, gdy przygotowywano go starannie do tej misji, wiedział, że wersja Polaków nie jest nieprawdopodobna. Więcej, jest całkiem realna. Z dokumentów wynikało, że Niemcy prowadzili w tej okolicy podziemne prace budowlane na nieprawdopodobną skalę. Rozpoczęli je na długo przed wybuchem wojny, jakby już wtedy realizując jakąś część ogromnego planu. Znał rozmach i pomysłowość niemieckich architektów, które w połączeniu z szaleństwem głównego wodza mogły dawać trudne do wyobrażenia efekty. W pilnie strzeżonych dokumentach istotnie pojawiały się wzmianki o czymś niebywale ważnym, cennym dla Trzeciej Rzeszy. Tajemnicą interesowały się zagraniczne wywiady. Gdyby udało mu się odnaleźć pociąg, uruchomić go i dostać do Niemiec Zachodnich, stałby się najbogatszym człowiekiem świata. Mógłby przekupić wpływowe osoby, postarać się o fałszywe papiery i zamieszkać w jakimś zakątku świata,

pławiąc się w nieprawdopodobnych luksusach.

Wiarygodności całej sprawie przydawały również wzmianki na temat legendarnego superpociągu Hitlera, prototypowej konstrukcji, nad którą nazistowscy inżynierowie intensywnie pracowali. Nie uszło też jego uwagi, że w tychże dokumentach, które przeglądał w tajnym archiwum, używano z jakiegoś powodu określenia „złoty pociąg”. Miał to być pojazd stanowiący szczytowe osiągnięcie myśli technicznej, napędzany jakimś zupełnie nowym, nieznanym do tej pory źródłem energii. Wyposażony w najnowszą broń, odporny na ostrzał, mógł rozwijać wielką prędkość. Wszystko to było w dokumentach i zdawało się potwierdzać opowieść Polaków.

Nie wiedział, jak ma postąpić.

Nagle jego uwagę przykuł jakiś błysk w oddali. W tamtej okolicy znajdowało się wejście do feralnego bunkra. Pochwycił silną lornetkę i przystawił ją do oczu. Ogień. Płomień sunący pomiędzy drzewami. Cóż to może być? Odsunął na moment lornetkę i omiótł czujnym wzrokiem bazę. Wartownicy przy bramie wjazdowej stróżowali, przechadzając się tam i z powrotem. Kolejnych dwóch dostrzegł między budynkami. Nie tracili się nawzajem z oczu. To dobrze.

Jedna z lamp zamrugła i zgasła. Część placu pograżyła się w ciemności. Nie było to oczywiście jeszcze nic podejrzanego. Lampy dość często psuły się, czasem gasły i na powrót zapalały. Przyłożył znów lornetkę do oczu i skierował ją w to miejsce, gdzie przed chwilą ujrzał wielki płomień. Teraz go tam nie było. Zmienił ogniskową, wyostrzył obraz. Z tej odległości był w stanie dostrzec, że niektóre z gałązek lekko płoną, tlą się, choć ogień z jakiejś przyczyny zanika, nie wyrządzając drzewom większej szkody. Poczul na plecach mimowolny dreszcz, przypominając sobie nadpalone zwłoki.

Już chciał wysłać w tamto miejsce patrol, ale rozmyślił się. To mogła być kolejna pułapka. Być może strategiczne posunięcie mające na celu odwrócenie uwagi. Jeszcze godzinę temu myślał o pójściu na spoczynek, teraz postanowił wyjść na zewnątrz i sprawdzić wszystko jeszcze raz. Narzucił płaszcz, ponieważ noc była dość chłodna. Machinalnie sprawdził kaburę przy pasie. Broń była na miejscu. Był już prawie u drzwi, kiedy gdzieś na zewnątrz, w pewnej odległości posłyszał huk. W pierwszej sekundzie pomyślał, że to strzał. Dźwięk był jednak bardziej głęboki i stłumiony. W następnej sekundzie w całej bazie zgasły wszystkie światła.

*

Na korytarzu prowadzącym do piwnicy, w której uwięziono majora oraz Władka, straż pełniło dwóch funkcjonariuszy KGB. Ulianow wybrał ich spośród najbardziej zaufanych. Specjalizowali się w tak zwanej mokrej robocie i mieli na koncie już kilka akcji polegających na likwidacji niewygodnych osób. Wykonywali rozkazy dokładnie i z oddaniem. Pierwszy z nich, Wlastim, wysoki olbrzym o ponurej twarzy, stał tuż przy drzwiach, uzbrojony w automatyczny karabin. Drugi, Siergiej, niski i krępy, pełnił wartę w miejscu, w którym korytarz skręcał, prowadząc do wyjścia. Drzwi zaryglowane były na zasuwę. Kiedy rozległ się stłumiony huk i nagle zgasty umieszczone pod sufitem światła, w piwnicy zapanowała całkowita ciemność. Wartownicy nie widzieli się nawzajem, jednak nie odezwali się do siebie ani słowem, automatycznie natomiast wzmoгли czujność. Wlastim przysunął się bliżej drzwi, mocniej ściskając broń, nie mógł jednak zobaczyć, co dzieje się na zewnątrz, ponieważ drzwi pozbawione były wizjera.

Nagle rozległo się śmiałe walenie w drzwi. Tak może dawać znać o swojej obecności jedynie człowiek, który dobrze wie, po co przyszedł.

- Hej! Towarzysze! - odezwał się głos kogoś mówiącego po rosyjsku. - Otwórzcie.

- Nie mamy otwierać nikomu poza towarzyszem Ulianowem - odburknął Wlastim głośno, żeby tamten mógł go dobrze usłyszeć.

- Nie możecie pilnować więźniów bez światła. Towarzysz Ulianow przysłała wam latarki. To dla waszego bezpieczeństwa. Poszedł transformator! Wszędzie ciemno. Ale jak nie chcecie, to nie.

Wlastim zawahał się. Nie chciał rozsierdzić Ulianowa nawet takim drobnym przejawem niesubordynacji. Skoro nigdzie nie ma światła, latarki się przydadzą. Mieli tu przecież spędzić jeszcze dobre parę godzin, aż do kolejnej zmiany warty. Ostrożnie odemknął drzwi. Uspokoił się, widząc radziecki mundur. A zatem wszystko w porządku - jeden z regularnych żołnierzy radzieckich. Nie widział dokładnie jego twarzy, na jego czole znajdowały się sporych rozmiarów gogle zaopatrzone w przyciemnione szkła. Przybysz miał policzki wybrudzone smarem. Tyle zdołał dostrzec w mroku.

- Co wy macie na głowie? - rzucił zdziwiony.

Tamten roześmiał się.

- A, to... okulary monterskie do pracy przy wysokich napięciach. Transformator się spalił, a przy takim napięciu iskry idą jak diabli. Trzeba uważać, żeby nie wypaliło oczu.

- Dobra, dawajcie te latarki i wracajcie do swojej roboty - ponuro mruknął Wlastim.

Wyciągnął lewą rękę, prawą nadal opierając na pepeszy. Wtedy jednak uświadomił sobie, że coś mu się nie podoba. Ten akcent. Niby perfekcyjny, a jednak w pewien sposób wyuczony. Nieco zbyt staranny, przesadny. Tak mógłby mówić prosty radziecki żołnierz, który w cywilu był mechanikiem lub rolnikiem. W prowincjonalnym akcencie tego człowieka brzmiało jednak coś celowego. Była jeszcze jedna rzecz - Wlastimowi nie podobały się jego gogle. Nie wyglądały wcale jak okulary montera.

Już chciał cofnąć rękę, kiedy tamten złapał ją płynnie i pociągnął do siebie. W tym samym momencie wykonał szybki ruch prawą ręką, tak szybki, że Wlastim prawie go nie zarejestrował. Poczł za to, jak coś wbija mu się od góry w bark, dokładnie w przestrzeń pomiędzy obojczykiem a łopatką, i wchodzi bardzo, bardzo głęboko. Chciał krzyknąć, ale usta odmówiły mu posłuszeństwa. Nieprzytomny osunął się na ziemię. Przybysz natychmiast naciągnął gogle i wpadł do korytarza. Siergiej usłyszał łomot przy wejściu.

- Wlastim! - krzyknął do swojego towarzysza. - Co jest?!

Chciał nawet strzelać. Nie wiedział jednak, nie rozumiał do końca, co się dzieje. Niczego nie widział. Nie chciał zranić lub zabić Wlastima.

Wtedy za plecami posłyszał szelest. Już w następnej sekundzie, zanim zdążył się zreflektować, nóż błyskawicznie przejechał mu po gardle i uciszył go na zawsze. Sprawna dłoń obszukała jego kieszenie. Kilka sekund później drzwi celi stanęły otworem.

Major i Władek poderwali się z miejsca. Oślepiło ich jasne światło latarki. Przybysz miał na sobie radziecki mundur, a na oczach dziwne gogle. Jego sylwetka jednak, dość drobna, lecz barczysta, wydała się Staszewskiemu dziwnie znajoma.

- Dalej! - rzucił krótko przybysz. - Musimy wiać!

- Czarny?! - Władek rozpoznał jego głos. - Człowieku, skąd się tu wzięłeś?

- Nie ma czasu na wyjaśnienia. - Chłodny głos przypominał szczęknięcie metalu. To był żołnierz wyuczony, że w akcji liczy się każda sekunda. - Idziecie ze mną.

Wyszli na korytarz. Major ostrożnie przekroczył ciało zabitego wartownika.

- Wyjdziemy, kiedy doliczę do trzech - oznajmił komandos. - Ruszamy bez hałasu, w lewą stronę, wzdłuż ściany budynku. Potem biegiem za mną do przejścia w ogrodzeniu. Wszędzie jest ciemno, ale lada chwila uruchomią światła awaryjne. Mogą odpalić nawet reflektor przeciwlotniczy. Mamy kilka, najwyżej kilkanaście minut żeby prysnąć.

- Nigdzie nie idę! - zawołał Władek.

- Co?! - Major spojrzał na niego jak na szaleńca. Zresztą w tym przypadku nie mylił się zbyt wiele.

- Oni mają Wandę. Musimy ją uwolnić!

- Rozum ci odebrało! - Major złapał go za rękaw i pociągnął za sobą. Władek jednak wyrwał się.

- Nie rozumiesz? Oni wzięli też innych zakładników. Kiedy Ulianow dowie się, że nawialiśmy, każe ich pozabijać. Wtedy to będzie też nasza wina - tłumaczył z przejęciem.

- Odbicie zakładników to szaleństwo - stwierdził Czarny. - Działam sam. Mamy bardzo mało czasu. Do tego potrzebny byłby cały oddział komandosów. Są tu setki radzieckich żołnierzy. Ciemność i zamieszanie działają na naszą korzyść, ale to nie potrwa długo. Krótko mówiąc, mamy przesrane.

- Wiem, gdzie Ulianow mógł ich uwięzić - gorączkowo oznajmił Władek.
- My znamy teren. To stara piwnica pod garnizonem. Damy radę. Musimy spróbować.

- Jak uciekniemy z zakładnikami? - rzeczowo spytał Czarny.

- Tak jak ich przywieziono. Ciężarówkami.

- Jeszcze raz powtarzam... - odparł cichociemny - to czyste wariactwo. Bez szans na powodzenie. - Zamilkł na chwilę i zaczerpnął powietrza. Na twarzy zagościł mu zawadiacki uśmiech. - Chodźmy spróbować. Jest tylko jedna rzecz, którą musimy koniecznie zrobić: wzbudzić jak największe zamieszanie. Zabierzcie strażnikom ich broń. Przebierzcie się w ich mundury.

Mundury nie pasowały na nich. W ciemności jednak mogły stanowić całkiem dobry kamuflaż. Czarny wydobył coś z przytroczonej z tyłu do pasa płóciennej torby i przymocował do futryny drzwi. Wybiegli z piwnicy i biegiem ruszyli za Władkiem w kierunku okazałego budynku garnizonu. W kilka sekund potem powietrzem targnęła ogłuszająca eksplozja. Byli już przy budynku, dopadli do drzwi piwnicy. Nie było czasu na podstępny i fortele. Czarny natychmiast założył kolejny ładunek wybuchowy.

- Kryć się!

Na tę komendę wszyscy trzej odbiegli i rzucili się na ziemię. Poderwali się natychmiast po tym, jak drzwi zostały wyrwane siłą eksplozji, i wpadli do środka. Straż stanowiło trzech wartowników. Znajdowali się w głębi korytarza i choć sprawiali wrażenie ogłuszonych wybuchem i zaskoczonych, nadal jednak gotowi byli podjąć walkę.

Polacy wystrzelili jednocześnie, uprzedzając tamtych. Czarny strzelał z pistoletu, major i Władek pruli z pepesz.

„Nie ma już dla nas powrotu - przemknęło przez myśl majorowi. - Naprawdę staliśmy się mordercami naszych sojuszników. Jeśli nas złapią, możemy liczyć jedynie na pluton egzekucyjny”.

Udało im się huraganowym ogniem sprzątnąć wszystkich wartowników, bez ponoszenia strat własnych. Dopadli do zamykanych na zasuwę drzwi piwnicy. Czarny jednym szarpnięciem odsunął ją i rozdarł drzwi na oścież.

- Wychodzić! Za mną! Nie zrobimy wam krzywdy, przyszedliśmy z pomocą.

- Wanda!

- Władek!

Padli sobie na moment w ramiona.

- Nie ma czasu! - ponaglał ich major.

Zakładników mogło być ze dwudziestu. Dzieci płakały, kobiety wyglądały na przerażone. Wszyscy jednak dość szybko połapali się w sytuacji. Cała grupa wydostała się na zewnątrz, przed budynek.

„Teraz najtrudniejsze” - pomyślał major.

W bazie zapanował nieprawdopodobny chaos. Odgłosy eksplozji poderwały na równe nogi wszystkich żołnierzy. Wartownicy biegali w różne strony, szukając niewidzialnego wroga. Tu i ówdzie zapalono awaryjne reflektory, zostały one jednak wycelowane w miejsca zupełnie przypadkowe. Przeszkolenie regularnych wojskowych przewidywało przede wszystkim walkę z wrogiem zewnętrznym, w warunkach zwykłego pola bitwy. Tutaj nie było wiadomo, co właściwie się dzieje. Kilku Rosjan biegło w ich stronę. Czarny dał ręką znak, który Władek i major w lot zrozumieli. Staszewski uznał, że mają szansę powodzenia, jeśli tamci ich nie rozpoznają.

- Co się tu dzieje?! - zapytał jeden z radzieckich żołnierzy.

- Na tyłach bazy jest oddział polskich bandytów! - odkrzyknął Czarny. - Wszyscy mają się tam zebrać!

- A co wy tu robicie z tymi ludźmi?!

Major odwrócił lekko głowę, chcąc jeszcze bardziej ukryć twarz. Nie wiedział, jakiego stopnia jest zatrzymujący ich radziecki żołnierz, ale najwyraźniej na tyle wysokiego, by wtrącać się w sprawy innych. Jeśli teraz wpadną, skończy się na bezładnej strzelaninie, w której zapewne zginą cywile. Chyba że natychmiast się poddadzą. Wtedy może przeżyją, choć szczerze mówiąc, wątpił w to.

- Rozkaz towarzysza Ulianowa! - odparł pewnym siebie głosem Czarny. - Natychmiast zabrać jeńców i przewieźć w bezpieczne miejsce. Więcej powiedzieć nie mogę.

Nazwisko agenta KGB wywarło widać wrażenie na wojskowym, bo machnął tylko ręką i razem z innymi pośpieszył na tyły bazy, gdzie rzekomo miał miejsce niespodziewany atak.

Ludzie załadowali się do ciężarówek. Za kierownicą pierwszej zasiadł major, a obok niego Czarny, do szoferki drugiej wskoczyli Władek oraz Wanda. Chyba cała czwórka błogosławiła w tym momencie lekkomyślny

zwyczaj radzieckich kierowców, polegający na pozostawianiu kluczyków w stacyjkach, przynajmniej kiedy pojazdy znajdowały się na terenie bazy. Zapalili reflektory i powoli ruszyli przez plac apelowy, w kierunku bramy, starając się nie porozeżdzać przebiegających w różne strony żołnierzy. Sto metrów, pięćdziesiąt, wreszcie dwadzieścia. Wartownicy zastępują im drogę. Nieufne oczy obserwują jadące ciężarówki spod okapów hełmów.

*

Ulianow pędził w stronę placu. W pierwszej kolejności pobiegł do generatora prądu i głównej rozdzielni, które okazały się celowo uszkodzone eksplozją ładunku wybuchowego. Niedługo potem nastąpił kolejny wybuch. Głuche odgłosy wystrzałów. Zatem skoordynowany atak, zapewne z kilku stron. Być może mający na celu odbicie zakładników. Szacował, że przeciwników musi być co najmniej kilkudziesięciu, byli świetnie wyszkoleni i uzbrojeni. Usiłował krzyczeć, wydawać rozkazy, zapanować nad chaosem, wezwać do siebie wyżej postawionych rangą radzieckich oficerów. Częściowo się to udawało. Już na jednym z dachów płonął jaskrawym światłem reflektor przeciwlotniczy, błędzący jasną plamą po terenie bazy, już udało się częściowo uruchomić oświetlenie, które mogło korzystać z energii akumulatorów.

Wtedy właśnie ujrzał widok, który sprawił, że na moment zamarł. Radzieckie ciężarówki sunęły w kierunku zagradzającego wyjazd szlabanu. Nie wydawał takiego rozkazu. Na domiar złego, były to te same ciężarówki, które stały zaparkowane nieopodal budynku, w którego piwnicach przetrzymywano zakładników. Więźniów politycznych, używając jego ulubionego zwrotu. W jednej sekundzie wszystko stało się jasne. Ulianow nie mógł dostrzec, kto nimi kieruje, ale ta prawda spłynęła na niego niczym straszliwe objawienie.

- Stać! - wrzasnął. - Zatrzymać ciężarówki!

Wartownikom nie trzeba było dwa razy tego powtarzać. Natychmiast poderwali broń, przygotowując ją do strzału. W tym momencie pierwszy z pojazdów gwałtownie przyspieszył, a drugi natychmiast uczynił to samo. Silniki zawyły na wysokich obrotach. Radzieccy żołnierze instynktownie rozpierzchli się na boki, kiedy pierwsze z aut staranowało szlaban, łamiąc go

z głośnym trzaskiem.

To były ciężarówki ZIS 151, produkowane w fabryce ZIL-a, w wersji z solidną, zabudowaną drewnianą naczepą. Pojazd posiadał sześć masywnych, przystosowanych do jazdy w trudnym terenie wielkich kół, jakich nie powstydziliby się traktor. Kiedy później major myślał o tej chwili, dochodził do wniosku, że właśnie te koła uratowały im skórę. Oraz cenne sekundy, podczas których Rosjanie, pomimo okrzyków Ulianowa, nie otwierali jeszcze ognia. Może nastąpiło to dlatego, że agent KGB zamiast „ognia!” wykrzyknął „zatrzymać ciężarówki!”? A może nawet Rosjanie zawahali się przed naciśnięciem spustów, widząc własne pojazdy, wyjeżdżające z własnej bazy, z kierowcami we własnych mundurach? Istniała też jeszcze inna możliwość... wieść o zatrzymaniu zakładników rozeszła się. Radzieccy żołnierze bali się KGB jak ognia, ale przez krótką chwilę mogli pomyśleć, że Ulianow się pomylił. Że zwyczajnie oszalał i wydał omyłkowo błędny rozkaz.

Nie oznaczało to oczywiście, że głównodowodzący agent KGB nie zrozumiał swojego błędu. Wyszarpnął makarowa z kabury i ile sił w płucach wydarł się: „strzelać!”. Więźniowie nie mogli przecież uciec. Lepiej, aby wszyscy zginęli. Łatwiej będzie sprawę wyciszyć.

Huraganowy ogień z pepesz rozpoczął się, kiedy druga z ciężarówek zdołała już minąć potraskany szlaban. Rzecz jasna najbardziej narażony na ostrzał był tył ostatniego z samochodów. Szczęściem dla jadących w niej cywilów - wartownicy kierowali ogień głównie w koła, nisko nad ziemią. Oczywiście nie ze względów humanitarnych, po prostu chcieli jak najszybciej unieruchomić pojazd. Pociski odbijały się od kamienistej drogi, rykoszetowały ze świstem w las. Z luf karabinów buchał ogień. W kilkanaście sekund kule potargały tylne opony. Jednak naczepa zisa posiadała dwie osie, jedna za drugą. Była w stanie jechać dalej, niemal z pełną prędkością, przez dwadzieścia, może trzydzieści sekund. Tyle potrzebowali, aby skryć się w ciemnościach. Pociski Rosjan wykonały też pożyteczną pracę - zniszczyły tylne oświetlenie ciężarówki. Zasłona ciemności skryła uciekinierów.

Zajęty kontrolowaniem pędzącego leśną drogą pojazdu major nie odzywał się do Czarnego ani słowem. Wiedział, że nie mają prawie żadnych szans. Dawny cichociemny przez moment wychylił się za okno, z pistoletem

w rękę, jakby chciał odpowiedzieć ogniem, ale zaraz cofnął się do szoferki. Naczepa zisa była sporo szersza niż kabina kierowcy, co musiało utrudniać celowanie. Może też istniały jakieś inne powody...

Stawało się jasne, że dalsza ucieczka samochodami jest niemożliwa i skazana na niepowodzenie. Do najbliższego rozgałęzienia leśnych traktów pozostało im dobre parę kilometrów. Teraz jechali główną drogą prowadzącą z bazy. Staszewski nie miał pojęcia, jak duże straty spowodował ostrzał, szczególnie w ostatnim pojeździe kierowanym przez Władka. Opony z pewnością były już uszkodzone, uwolnieni zakładnicy mogli zostać ranni lub nawet zabici. Ze zbiornika mogło wyciekać paliwo, grożąc w każdej chwili wybuchem. Wiedział też, że Ulianow już rusza w pogoń.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się uratować, inaczej zginiemy wszyscy - odezwał się Czarny. - Natychmiast trzeba zatrzymać ciężarówki. Wypuścić ludzi. Niech wszyscy, którzy będą w stanie, rozpierchną się w las. Tutejsi znają go dobrze. Jest szansa, że dotrą na przełaj do swoich domów, przynajmniej niektórzy. My też musimy wiać.

Major wiedział, że to zła decyzja. Dalsza jazda byłaby jednak jeszcze gorszą. „Muszę zapamiętać to miejsce - przemknęło mu przez myśl. - Kilometr, może dwa od bramy wjazdowej do Gródka. Tutaj wydarzy się coś złego”. Pełen najgorszych przeczuć zatrąbił krótko, dwukrotnie. Nie chciał, by w ciemności najechała na nich pędząca z tyłu ciężarówka. Stać.

W przyszłości major miał wiele razy powracać do tej chwili w swoich wspomnieniach i snach. Potem, kiedy sporządzał notatki, nie był w stanie przelać na papier tej rozdzierającej gmatwaniny uczuć, tej grozy sytuacji, którą odczuwał w tamtej chwili. Nie sądził również, że ktokolwiek byłby w stanie to zrobić. Czas jakby na moment się zatrzymał. Myśli przemykały mu przez głowę jedna za drugą, kiedy wysiadał z szoferki i lądował na kamiennej drodze. Jesteśmy bandytami. Zrobiliśmy dobrze, żeby ratować zwykłych ludzi. To jest zdrada. Pluton egzekucyjny. Ulianow oszalał. Zabiliśmy ludzi. Kiedy otworzymy naczepę, wszyscy będą martwi, zabici radzieckimi kulami.

A jeśli nie będą martwi, zginą niebawem. Ulianow pozbędzie się świadków. I wreszcie najstraszniejsza myśl, jak ugodzenie nożem w samo serce:

„Skąd wiesz, że Ulianow w ogóle chciał kogoś zabić. Może blefował.

Jeśli ci ludzie zginą, zginą przez ciebie”. Czy w takiej sytuacji można w ogóle było postąpić dobrze? Nie. Ale major rozumiał, że należy postępować szybko.

Błyskawicznie popędzili do ciężarówek, z hukiem odblokowali drzwi, świecąc do środka latarkami. Staszewski spodziewał się znaleźć krew, dużo krwi. Wyobrażenia podsuwała mu obraz ludzi leżących pokotem, kobiet i dzieci, z szeroko otwartymi niewidzącymi oczami, w których odbija się srebrne światło księżyca. Krwi jednak nie było wiele. Mocne drewno nie zatrzymało pocisków z pepesz, nie mogło tego zrobić, ale niejednokrotnie zmieniło trajektorię lotu kuli na mniej zabójczą, odebrało częściowo pociskom ich morderczy impet. Ludzie mieli na tyle przytomności umysłu, by w momencie kiedy rozpoczęła się strzelanina, przyłgnąć płasko do podłogi. Ilu zostało rannych? Czy ktoś zginął?!

- Szybciej! - huknął Czarny. - Rozproszyc się! W las! Uciekajcie!

Nikt nie zginął. Niektórzy byli ranni, utykali, ale byli w stanie iść o własnych siłach. Jakaś kobieta z dzieckiem na ramieniu stała jak słup soli.

- Niech pani ucieka, błagam panią. - Wanda szarpała ją za ramię. - Tam jest Kursko, w tamtą stronę, byle dalej od bazy. Jest nadzieja.

Ludzie jednak się nie poruszali. Ci sami, którzy chwilę przedtem tak ochoczo wykonywali ich polecenia, z narażeniem życia wskakiwali do ciężarówki, teraz stali nieruchomo. Światła reflektorów wydobywały z ciemności ich sparaliżowane strachem twarze. Gdzieś wysoko nad nimi huknął grzmot, lunęły ciężkie krople deszczu. „Tutaj wydarzy się coś strasznego - jeszcze raz przemknęło majorowi przez myśl. - Muszę zapamiętać to miejsce. Drzewa wydają się tu wyższe niż gdzie indziej, ponure stare sosny skupione wokół niewielkiej polany. Wielki, porośnięty mchem kamień”.

- Ludzie, poddajmy się! - zawołała z rozpaczą jakaś niska starsza kobieta. Miała chustę na głowie i mlecznobłękitne, wodniste oczy. - Oni nic nam nie zrobią. Będą szukać ich!

Zakończony długim, brudnym od pracy w polu paznokciem palec wskazywał na Czarnego, Władka, majora i Wandę.

- Oni to zrobili, żeby ratować tę jego kochankę - z pogardą w głosie zawołał mężczyzna w średnim wieku, patrząc na Wandę. - Rosjanie nic nam

nie zrobią, to nasi sojusznicy. To oni są bandytami!

- Ludzie! Na miłość boską! - nie wytrzymał Władek. - Czyście rozum ze strachu postradali? To nie Rosjanie, ale KGB! Chcieli was wziąć na zakładników!

- Chcieli nas tylko przesłuchać! - odkrzyknął tamten. - A wy jesteście z kimś w zмовie! Słyszeliśmy o leśnych bandytach! Nie chcemy takich jak wy!

W tym momencie Staszewski zrozumiał kilka rzeczy. Stało się to jak gdyby jednocześnie, ponieważ na dłuższe rozmyślanie nie było po prostu czasu. Po pierwsze, niektórzy z uwolnionych zakładników, gdyby tylko mogli i mieli broń, obezwładniliby ich i oddali w ręce KGB, NKWD czy kogokolwiek. To był ten rodzaj ludzi, którzy słuszną przyznają zawsze silniejszemu. Po drugie, dotarła do niego groza i złożoność ich własnej sytuacji. Byli zdrajcami i bohaterami, bandytami i przestępcami w jednym, a wszystko zależało od punktu widzenia. Po trzecie, jeśli nadal będą tak sterczeć i dyskutować, równie dobrze już teraz mogą sami ukręcić sobie stryczki na szyję. Niech więc historia zadecyduje o tym, co ma się stać dalej.

- Kto chce, ucieka w las. Kto nie chce, niech zostaje - oznajmił. Są decyzje, których nie można podejmować za innych.

Część więźniów zdecydowała się pobiec za nimi. Były to głównie kobiety z kilkuletnimi dziećmi, które z desperacją taszczyły na rękach.

- Rozpierzchnijcie się! - zawołała Wanda. - Biegnijcie na Kursko!

Wtedy właśnie, gdy cała czwórka wraz z uciekinierami znalazła się już pod osłoną lasu, do ich uszu dobiegł warkot nadjeżdżających ciężarówek, na pniach drzew zatańczyły odbłaski zbliżających się reflektorów. Nadciągał Ulianow. Biegli dalej, nie zatrzymując się. Kobiety z dziećmi usiłowały się ich trzymać, ale major po raz kolejny nakazał, że mają uciekać, nie zważając na nich. Rosjanie mieli psy, o czym Staszewski dobrze wiedział. Ich wściekłe ujadanie docierało aż tutaj.

- Zostaniemy nieco z tyłu, w razie czego osłonimy uciekających! - zawołał. - Damy im więcej czasu. Mamy broń.

- Wanda, biegnij! - nakazał Władek.

- Zostaję z wami - krótko odparła dziewczyna nieznoszącym sprzeciwu

głosem.

„Czwórka przeciwko dziesiątkom, może setkom radzieckich żołnierzy” - pomyślał major.

Martwił się o naboje. Pewną część amunicji zużyli w czasie walki z wartownikami. Owszem, zabrali im potem magazynki, ale nie było tego wiele. Zresztą nawet gdyby mieli jej pod dostatkiem i tak ich szanse byłyby właściwie zerowe.

Radzieccy wojskowi już wypadali z ciężarówek. Słysząc było ujadanie rozjuszonych psiej sfory, trzaski łamanych gałęzi, głośne pokrzykiwania. Na przedzie przezornie trzymał się Ulianow wraz ze swoimi ludźmi z KGB, wykorzystując strategicznie fakt, że pojazdy na wąskiej leśnej drodze musiały sunąć jeden za drugim. Uznał pewnie, iż będzie lepiej, jeśli radzieccy żołnierze nie zobaczą zbyt dużo.

Czwórka Polaków jeszcze czekała. Chcieli dać jak najwięcej czasu więźniom, którzy zdecydowali się uciec, i w razie czego zatrzymać ostrzałem pogoń. Znajdowali się wystarczająco blisko, by słyszeć poszczególne słowa. Zwłaszcza jeśli były wykrzyczane głośno.

- Towarzysze! Porwali nas bandyci!

- Dobrze, że jesteście!

- Uciekli tam, w tamtą stronę!

Głośna palba wystrzałów uciszyła krzyki. Zimny dreszcz przeszył ciało Staszewskiego. Przez moment słysząc było jeszcze jęki, kolejne strzały jednak szybko je uciszyły. Przez chwilę w lesie zapanowała upiorna cisza. W tej ciszy zabrzmiał okrzyk Ulianowa:

- Mieli granaty! Podnieśli ręce, ale mieli w rękawach granaty, gotowe do rzutu! Tu jest dowód! W mojej ręce! Nie myliłem się, to pomocnicy polskich bandytów!

Odpowiedział mu jedynie szum wiatru w koronach drzew. Staszewski zrozumiał coś, o czym miał rozmyślać do końca swojego życia. To była kara. Specjalna kara dla niego. Za ucieczkę.

- Szukać reszty - krzyk agenta przeszył powietrze, odbił się echem po lesie - nie uciekli daleko! Strzelać bez ostrzeżenia! Chcę widzieć ich żywych,

albo mieć ich ciała! Zlikwidować wszystkich!

Kobiety z dziećmi znikły gdzieś w ciemności, major miał nadzieję, że zdołają umknąć. Ile sił biegli przez las, a za nimi rozlegało się ujadanie owczarków niemieckich i okrzyki ścigających ich radzieckich żołnierzy. Raz czy dwa Wanda przewróciła się, a Władek pomógł jej wstać i biegli dalej. Major trzymał ręce przed sobą, starając się rozgarniać tarasujące im drogę gałęzie. Z oczywistych względów nie mogli używać latarek. Czarny śmigał szybko, ale było jasne, że i on powoli zacznie słabnąć. Psy gończe dopadną ich pewnie góra w kilkanaście minut.

Czarny usiłował przypomnieć sobie wszystko, czego dowiedział się na temat gubienia pogoni. Wejść na drzewo. Zagrzebać się w leśnej ściółce. Mylić trop, kilkakrotnie wracając w to samo miejsce. Pozostawić jakąś przynętę, która oszuka psy. Przejść przez strumień, jakiś czas idąc z jego nurtem. Żadna z tych metod nie nadawała się, by zastosować ją w tej chwili. Pogoń szła za nimi bardzo szybko, szeroką tyralierą. Jeszcze minuta, może dwie, i ich dopadną. Szczekanie psów rozlegało się tuż-tuż.

- Trzeba spróbować podjąć walkę! - zawołał Czarny głosem, w którym brzmiała desperacja. - Wstrzymać ich choć na trochę! Ja zostanę, dam wam czas!

- Minuta! - wykrzyknął major. - Minuta, nie więcej, potem dołączasz do nas! Trzymaj!

Czarny skinął głową na znak, że rozumie. Złapał w locie rzucony przez majora magazynek bębnowy. W niewielkim wgłębieniu przypadł do ziemi, odciągnął zamek. Władek, major i Wanda pobiegli dalej. Czekał. Wiedział, że będzie skuteczniejszy, jeśli przypuści wroga bliżej. Naraz opanował go zupełny spokój. Lata ćwiczeń zrobiły swoje. Stabilnie oparł kolbę o ramię i niemal pieśczośliwym ruchem położył palec na spuście. Wytrzyma dłużej niż minutę. Jeśli tylko będzie wystarczająco staranny. Niebo przecięła błyskawica. Kiedy w ułamku sekundy w jej świetle dostrzegł swój cel, strzelił. Krzyk przeciwnika upewnił go, że nie chybił. Z drugiej strony ktoś odpowiedział ogniem.

14.

Każdy trzeźwo myślący człowiek miałby rację, sądząc, że major, Władek, Wanda i Czarny są już martwi. Tyraliera Rosjan rozciągała się szeroko i choć nie mogli tego widzieć, zaczynała okręzać ich czymś na kształt półkola. Psy zwęszyły trop i prowadziły Ulianowa oraz jego ludzi prosto do celu.

Decyzja Czarnego, choć z pewnego punktu widzenia heroiczna, nie była wcale przemyślana, bowiem błyski wystrzałów z pepeszy natychmiast zdradziły jego położenie. On też popełniał błędy. Rosjanie odpowiadali ogniem o przytłaczającej sile. Kule ścinały gałęzki, gwizdały między sosnami, przesywały powietrze. Rozbłyśki wystrzałów zdawały się przypominać pokaz fajerwerków. Odległość, jaka dzieliła Ulianowa od Czarnego oraz reszty Polaków, optymistycznie licząc, mogła w tej chwili wynosić jakieś czterdzieści metrów. Przodem gnały zziajane owczarki niemieckie, gotowe dopaść ich w każdej chwili.

Gdyby jednak zarówno ludzie Ulianowa, jak i inni Rosjanie, a także uciekający Polacy, nie byli tak zajęci walką, pościgiem i ucieczką - zauważyliby, że w lesie dzieje się coś dziwnego. Staszewski, już jako starzec, pośpiesznie sporządzając swoje notatki, sam zastanawiał się, kiedy to zobaczył. Kiedy to wyczuł. Próbował nawet sporządzić szkic całej sytuacji, ale nie wyszło mu, uznał, że to kiepski pomysł, zmiął więc kartkę i wyrzucił ją do kosza.

Zmiana, jaka nastąpiła w lesie, była powolna. Nieśpieszna i jakby niezależna od czegokolwiek. Tak wzbiera sztorm na morzu, które istniało na Ziemi wiele lat przed tym, zanim pojawił się człowiek, i będzie istniało miliony lat po tym, kiedy nas już nie będzie. Fala wichru uderzyła w drzewa, burza wzmogła się, pioruny cięły niebo bez opamiętania, huk grzmotów zagłuszał nawet odgłosy wystrzałów. Tu i ówdzie z trzaskiem opadały powoli wyrwane z korzeniami drzewa. Major, Władek, Wanda nie byli w stanie dalej uciekać. Drzewa gięły się wokół, jakby przygniatane niewidzialną dłonią wiatru. Zjawisko wykraczało poza zwykłą anomalię. W sile wiatru, w jego natężeniu, w gwałtowności burzy, w natarczywości chłoszczącego ziemię deszczu było coś nieskończenie pierwotnego i prymitywnego. Coś niszczycielskiego i twórczego zarazem. Jakby jeden ze składników rzeczywistości, ten odpowiedzialny za pojawianie się i giniecie gatunków, narodziny i śmierć planet oraz gwiazd.

Wtedy ujrzeli wściekły ogień wędrujący pośród drzew. „Żywy ogień” - pomyślał major, bo tylko takie określenie wydawało mu się choć w niewielkim stopniu odzwierciedlać to, co ujrział. Potężny, sięgający szczytów drzew.

Psy, porażone pierwotnym strachem, uciekały w panice. Rosjanie ratowali się ucieczką. Nawet sam Ulianow, na początku skamieniały z wrażenia, odwrócił się i zaczął biec w kierunku drogi. Minał dwóch żołnierzy, nie mógł jednak ich rozpoznać, ponieważ zmienili się w żywe pochodnie, a mimo to z ich ust nadal wydobywał się przeraźliwy wrzask. Nisko pochylony, z nogami ślizgającymi się w błocie, czepiał się drzew i brnął przed siebie, byle tylko ująć z życiem.

- Odwrót! - ryknął przeraźliwie, ale jego głos utonął w wyciu wichru.

Wtedy ujrział tę postać, nie mogło to być złudzenie. Potężną, wysoką może na kilka metrów zjawę, która wydawała się zbudowana z płomieni. Miała wiele ramion, którymi poruszała z niezwykłą szybkością, wszędzie siejąc śmierć i zniszczenie. Ścinała głowy uciekającym Rosjanom, jakby były to snopy zboża wystawione pod uzbrojoną w sierp wprawną rękę żniwiarza. Padały one na ziemię, a reszta ciała stawała w ogniu. Jeden, drugi, trzeci... zdawała się być wszędzie. Już jest na karku uciekającego żołnierza, już rozżarzone do czerwoności szpony rozdzierają jego gardło, w niebo tryskają strugi krwi, które ona, niejako w przelocie, chciwie wypija. Pazury rozrywają wnętrzności z niebywałą szybkością, ciało jeszcze biegnie, lecz jest już martwe.

Śmiertelny strach ogarnia agenta KGB. Chowa się za drzewem, dygocze cały. Nie w głowie mu teraz sięgać po jakąkolwiek broń, lepiej byłoby ukryć się gdzieś, zapaść pod ziemię, aby tylko ująć przed tą płomienną strzygą. Ktoś próbuje strzelać, jedynie ściąga na siebie natychmiastową śmierć, nie ma obrony przed Władczynią Śmierci. To straszna siła, zdolna niszczyć i zatrzymać całe dywizje. Siła, która nie ma prawa istnieć, a jednak jest tutaj i dokonuje na oczach Ulianowa tej strasznej rzezi.

Zbiera się nieco, strach dodał mu sił. Gnać przed siebie, byle prędzej! Widzi jakiegoś żołnierza, który postradawszy najwyraźniej zmysły, wkłada sobie lufę pepeszy do ust i pociąga za spust. Jego głowa eksploduje, fragmenty tkanki i krew obryzgują mundur i twarz Ulianowa. Wszystko jest lepsze, nawet śmierć, niż dostanie się w jej szpony.

Agent dociera jakoś do drogi, z kilkoma niedobitkami usiłuje dopaść ciężarówkę. Jednak płomienna strzyga niczym demon zniszczenia unosi się nad lasem, pojazdy jeden po drugim stają w ogniu, jakby były suchymi szczapami. Ekspłoduje paliwo. Płoną zwłoki więźniów i żołnierzy, zapach palonego mięsa rozchodzi się po lesie, nad którym rozlega się triumfalne, ogłuszające, nieludzkie wycie. Święto całopalenia. Ofiara zostaje złożona.

Można by rzec, że Ulianow postradał rozum. Nie oddawałoby to jednak, w opinii opisującego później zdarzenia Staszewskiego, sedna sprawy, bowiem agent KGB utracił go już wcześniej. Pozostaje jednak faktem, że leśną drogą gnał przed siebie w stronę bazy z jakąś nieludzką prędkością. Poraniony przez gałęzie, z twarzą zalaną krwią, sam wyglądał jak upiór. Za nim w pewnej odległości biegli inni żołnierze, niektórzy ciężko poparzeni, niedobitki dwuosobowego oddziału, który wyruszył w pogoń.

*

Ogień znikł, jakby wessany w jakąś dziwną strefę, gdzie nie istnieją ani czas, ani przestrzeń. Zupełnie jakby był świadomą, żywą istotą, która odchodząc, zabiera ze sobą wszystko, co stanowi jej materię. Niebawem do trójki przyjaciół dołączył też Czarny.

- Ogień nas nie zaatakował. - To było pierwsze zdanie, które wyrwało się z ust Wandzie, kiedy ta wreszcie odważyła się odezwać.

Nawałnica ucichła, wiatr osłabł, pomruki burzy stały się rzadsze i odleglejsze.

- Tam coś było - zdumionym głosem powiedział Władek. - Widzieliście to, prawda? Nie przywidziało mi się!

Major skinął w milczeniu głową.

- Może... dlatego, że położyliśmy się na ziemi. Nie byliśmy widoczni. To coś nas nie zauważyło. - Spadochroniarz próbował znaleźć jakieś wyjaśnienie.

Zapadła chwila ciszy, w której każde z nich usiłowało zrozumieć sens słów „to coś nas nie zauważyło”. Jeśli którekolwiek z nich doszło do jakiegoś wniosku, to nie powiedziało tego głośno. Major natomiast oznajmił, co już i tak było oczywiste:

- Musimy się gdzieś ukryć.

- A co potem?! - zachnął się Władek. - Ulianow, jeśli przeżył, nie odpuści tak łatwo. Będzie starał się nas znaleźć i obciążyć wszelkimi możliwymi zarzutami, jakie zdoła wymyślić. Po tym, co się stało, władza radziecka będzie potrzebowała kozłów ofiarnych.

- Las daje dobre schronienie, w lesie jest ziemianka, za trzy dni będę miał kontakt z łącznikiem. Może udałoby się was ewakuować i przerzucić do Londynu - podsunął Czarny.

To była jakaś możliwość, ale ucieczka z kraju nie wydawała się w tej chwili najlepszym pomysłem, ani majorowi, ani tym bardziej Wandzie i Władkowi. Ta dwójka jeszcze do niedawna sądziła, że ułożą sobie życie w Polsce. Poza tym obawiali się o bezpieczeństwo swoich rodzin, a przecież przerzucenie i uzyskanie azylu dla większej liczby osób mogło nie okazać się wcale takie łatwe. Bali się zemsty.

- Spróbujmy przedrzeć się do Kurska przez las - zaproponowała nagle Wanda. - Ukryjemy się w moim domu. Mamy sporą piwnicę, szopę, a do tego łatwo go opuścić w razie niebezpieczeństwa. Od strony ogrodu znajduje się furka, a za nią wysokie zarośla. Tam zaraz jest wejście do starego bunkra i podziemnego korytarza, z którego wyjście znajduje się pośrodku lasu. To dobra droga, by niepostrzeżenie dostać się do domu i uciec z niego w razie wpadki.

- To pierwsze miejsce, gdzie będą nas szukać - zaproponował komandos. - Nie są przecież aż tak głupi, by nie domyślić się, że poszukamy kryjówki we wsi. Pewnie wiedzą, że część więźniów mogła uciec i będą starali się powrócić do domów.

- Niekoniecznie. - Wanda wiedziała swoje. - Łapankę zorganizowali dość przypadkowo. Chodzili po wsi i zabierali każdego, kto im się nawinął. Zupełnie jakby chcieli zgromadzić określoną liczbę osób. Pytali nas oczywiście o nazwiska, ale nie zauważyłam, by je gdzieś zapisywali. Wielu ludzi nie miało ze sobą dokumentów, a oni wpychali nas w pośpiechu do ciężarówek. Złapali mnie, gdy na rowerze jechałam drogą, niedaleko od domu. Podałam nieprawdziwe nazwisko, tak na wszelki wypadek. Ludzie we wsi już od dawna nie ufają ruskim.

- Moglibyśmy przeczekać to całe szaleństwo, zyskać na czasie. - Pomysł

spodobał się Staszewskiemu. - Coś mówi mi, że Ulianow posunął się za daleko i to wszystko musi się niebawem skończyć. To chyba lepszy wybór niż ziemianka Czarnego.

Spadochroniarz ostatecznie w milczeniu skinął głową.

Przemykali przez las, wciąż mając przed oczyma straszliwą pożogę, jaka ogarnęła radzieckich wojskowych. Major miał głowę pełną sprzecznych myśli. Jego podejrzenia układały się w całość, chciał jak najszybciej podzielić się swoimi przemyśleniami, teraz jednak nie było na to czasu. Uważnie rozglądali się na boki, wreszcie zdecydowali się zapalić latarki. Wanda zdawała się dość dobrze odgadywać drogę, choć kilka razy rozglądała się z niepewnością. Posuwali się wzdłuż drogi, cały czas korzystając z ochrony, jaką dawała ciemność. W razie najmniejszego zagrożenia gotowi byli natychmiast wyłączyć latarki i skryć się w gęstwinie.

Po kilku kilometrach wędrówki zauważyli odległe światło samotnej latarni, znajdującej się na rozgałęzieniu dróg. Kursko było już blisko. Odbili od kamienistej szosy i cały czas poruszając się czymś na kształt wąwozu (major zastanawiał się, czy jest to naturalny twór, czy może efekt prac budowlanych prowadzonych przez nazistów), dotarli wreszcie do ogrodzenia z drewnianych sztachet. Tak jak mówiła Wanda, były tu wysokie zarośla, a pomiędzy nimi prowadziła wąziutka ścieżka. Tędy dotarli do starej furtki i dostali się na podwórko domu.

Czarny rozejrzał się uważnie i uznał, że miejsce może okazać się względnie bezpieczne, zwłaszcza jeśli to, co Wanda mówiła na temat podziemnego przejścia, okaże się prawdą. Wokoło roztaczał się gęsty las, a dom najbliższego sąsiada musiał znajdować się dobre kilkadziesiąt metrów stąd.

W jednym z okien płonęło nikłe światło lampki. Zadzwoił łańcuch przy budzie, pies zaszczekał krótko raz i drugi. Na ten odgłos za oknem coś się poruszyło. Otworzyły się drzwi frontowe, wypuszczając smugę światła. Jakaś kobieca postać. Za nią wyższa, męska.

- Wanda! Gdzieś ty była?! Umieraliśmy ze strachu - wykrzyczała kobieta.

- Ciszej, mamó! - zmitygowała ją Wanda.

Ojciec dziewczyny szybko złapał ją w ramiona i uściskał.

- Ludzie mówili, że ruscy zrobili jakąś łapankę we wsi. Wierzyć się nie chce! Władek! A oni to kto? - Wskazał ręką majora i Czarnego. Wpatrywał się w nich jak w zjawy, widząc zmaltretowane, ubłocone i słabo dopasowane radzieckie mundury.

- To nasi - wyjaśniła Wanda. - Ale szybko do środka! Wszystko wam wyjaśnię.

Zasiedli przy dużym stole w kuchni, której ściany obwieszane były świętymi obrazami. Wanda przedstawiła swoich rodziców majorowi oraz Czarnemu. Rzecz jasna o Czarnym nie wiedziała zbyt wiele, dla niej był po prostu jednym z żołnierzy, którzy pomogli odbić zakładników. Rodzice Wandy, Ludmiła i Jan, przysłuchiwali się rozmowie z przestachem, ale i rosnącym zainteresowaniem.

- Ulianow wpadł do naszej celi - opowiadała dziewczyna. - Strasznie krzyczał. Wszyscy się go bali. Mówił, że pozabija nas wszystkich i potopi ciała w kanałach wybudowanych przez Niemców, i nikt nigdy nie dowie się o naszym losie. Twierdził, że współpracujemy z jakimiś polskimi bandytami, którzy kryją się w lasach i przy starym bunkrze zamordowali jego ludzi. Zapowiadał, że będzie nas przesłuchiwał, a także że ogłosi ultimatum: za każdego zabitego przez „polskich bandytów” radzieckiego żołnierza zginie trzech Polaków.

- Hitlerowskie metody - mruknął z gniewem Czarny. - Czy on naprawdę wierzy, że działają tu jacyś partyzanci? - W tym momencie zreflektował się, a nawet lekko uśmiechnął. - Moja rola jest, oczywiście, zupełnie inna. Londyn dowiedział się, że w podziemiach Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego znajduje się coś, prawdopodobnie jakieś urządzenie lub przedmiot o niebywałej wartości. Nie wiadomo, czy chodzi o skarb, czy też jakąś tajną broń.

Wtedy major w skrócie opowiedział o tym, co odkryli Rosjanie, a potem o własnej wyprawie do mauzoleum. Opisał późniejszą podróż drezyną przez podziemne miasto. Kiedy w swojej relacji dotarł do niezwyklej, realizującej rozmaite czynności maszyny Zuse Z4, a także reaktora atomowego przystosowanego do wywołania niekontrolowanej eksplozji i zniszczenia podziemnego miasta - na twarzy komandosa odmalowało się najwyższe zdumienie, połączone z niedowierzaniem.

- To wszystko prawda - potwierdził Władek. - Jestem naocznym świadkiem.

- Nic dziwnego, że Londyn tak bardzo chce dowiedzieć się czegoś więcej o sekretach tego miejsca - stwierdził Czarny. - A co z tym sarkofagiem? Mówicie, że jest tam coś na kształt świątyni?

- Tak - przyznał major. - To straszne miejsce. Kojarzy się z jakimś pogańskim kultem. Wszystkie nieszczęścia rozpoczęły się właśnie od momentu, kiedy ruscy naruszyli spokój mauzoleum.

- Nie chciałabym się wtrącać - nieśmiało odezwała się pani Ludmiła - ale to wszystko zadziwiająco zgadza się z lokalnymi legendami.

Ojciec Wandy chrząknął znacząco, jakby chciał zmitygować żonę.

- Daj spokój - przerwał jej. - To jedynie bajki, których nikt nie bierze poważnie. Nie zawracaj tym głowy panom wojskowym. Podaj lepiej mocnej herbaty i tego swojego placka ze śliwkami. Władek i panowie żołnierze pewnie głodni i strasznie zmęczeni.

- Co do placka i herbaty, to nie odmówimy - odparł Czarny. - Ale musimy też wysłuchać, co na ten temat wiedzą ludzie. To może być niezwykle ważne dla wyjaśnienia zagadki. W każdej plotce może tkwić jakieś ziarno prawdy.

- Jeśli zrozumiemy, co tak naprawdę się tu dzieje, co to za dziwna postać była w lesie i skąd bierze się ten morderczy ogień, może uda nam się jakoś uratować własną skórę - poparł go Władek.

Pani Ludmiła przyrządziła herbatę i postawiła ją przed uciekinierami, w dużym porcelanowym dzbanku. Przed każdym znalazła się filiżanka i talerz z dużym kawałkiem ciasta śliwkowego. Zabrali się za jedzenie, lecz z uwagą nadstawiali uszu.

- Ludzie powiadają, że kiedy baza była jeszcze w rękach niemieckich, przyjechał tu sam Adolf Hitler. Chciał osobiście nadzorować prace nad jakimś szczególnie ważnym, niezwykle tajnym projektem. W podziemiach umieszczono coś o szczególnej wartości.

- Tym czymś mogła być maszyna elektronowa połączona z prototypowym reaktorem... - podpowiedział Czarny.

Pani Ludmiła nie zwróciła większej uwagi na jego słowa. Wpatrywała się gdzieś w dal, jakby chcąc możliwie najdokładniej przypomnieć sobie wszystkie miejscowe plotki i podania.

- Razem z nim pojawili się pewni bardzo szczególni ludzie. Bardzo niezwykli. Prawie nikt nie miał z nimi bezpośredniego kontaktu, a jednak w uszach dźwięczy mi pewna nazwa, którą ktoś gdzieś zasłyszał - „tugowie” albo „thugowie”.

- Może był to ktoś w rodzaju SS-manów? - zasugerował major.

Pani Ludmiła pokręciła w zamyśleniu głową.

- Mówiono, że przyjechali prosto z Indii.

Nagle Wanda poderwała się z krzesła. Wybiegła z kuchni i po chwili przyniosła dwa przedmioty. Władek natychmiast rozpoznał jeden z nich. To było pudełko, w którym Wanda trzymała dziwne, cygańskie karty. Drugim była jakaś książka w podniszczonej okładce.

- To wszystko układa się w spójną całość! - wykrzyknęła przejęta. - Patrz, Władek, pamiętasz naszą rozmowę? Cyganie przywędrowali z Indii... Nazwa „thugowie” wydała mi się przez moment znajoma, ale całe wyjaśnienie znajduje się w tej powieści! Już wiem, kim jest ta płomienna strzyga!

- Co to za książka? - zainteresował się pan Jan. - Nigdy wcześniej jej nie widziałem.

- To romans. Indyjski. „Szkarłatny płomień”. To znaczy, autorem jest Anglik, lecz akcja rozgrywa się w Indiach. - Wanda lekko poczerwieniła. - Ale jest tu wyjaśnienie całej tajemnicy.

- Chwileczkę - zaproponował major. - Mamy uznać, że wyjaśnienie sekretu nazistowskiego podziemnego miasta i śmierci żołnierzy znajduje się w indyjskim romansie napisanym przez jakiegoś Anglika?!

- Jestem przekonana, że tak właśnie jest - bez zmrużenia oka odparła Wanda.

*

- Fabuła nie jest może szczególnie wyszukana... - kontynuowała Wanda.

- Bohater powieści, sir Leopold Smith, trafia do Indii, gdzie poznaje ubogą dziewczynę z ludu. Zakochuje się w niej bez pamięci, ponieważ jest ona niezwykle piękna. Niestety, rodzice dziewczyny są przeciwni związkowi. Sir Smith jest bardzo zdumiony. Kocha swoją wybrankę autentyczną miłością i w dodatku, jako człowiek bardzo zamożny, może zapewnić jej doskonałą przyszłość. Pragnie zabrać dziewczynę ze sobą do Londynu, aby tam zrobić z niej prawdziwą damę. Niechęć rodziny, a szczególnie zapalczego i porywczego starszego brata, wydaje mu się niezrozumiała i postanawia zbadać sprawę. Odkrywa, że rodzina Shiji zawarła straszny pakt z tajemną sektą thugów. Żyją oni na terenie Indii od tysiący lat i odznaczają się niezwykłym okrucieństwem. Jedną z ich ulubionych zabaw jest mordowanie niczego niespodziewających się podróżnych. Włóczą się więc po Indiach w poszukiwaniu swoich ofiar. Gdy napotkają grupę wędrowców, przysiadają się do nich i częstują winem. Kiedy tamci zapadną w sen, thugowie mordują ich po cichu, dusząc za pomocą specjalnych pasów wypełnionych monetami. Taki pas błyskawicznie łamie kręgi szyjne człowieka i powoduje natychmiastową śmierć. Potem thugowie rozpalają święty ogień. Odcinają trupom głowy i palą je w ognisku, intonując przy tym najrozmaitsze pieśni. Legenda mówi, że dzięki tej ofierze zjednują sobie przychyłność bogini o imieniu Kali. Spójrzcie tutaj. - Wanda pokazała zdumionym słuchaczom wizerunek tajemniczej kobiety o wielu ramionach, znajdujący się na wieczku pudełka. - Wygląda na to, że to właśnie bogini Kali. Wierzenie musiało widocznie pozostać także w kulturze Cyganów, którzy przywędrowali do Europy z Indii... Posłuchajcie dalej. Bogini Kali uwielbia swąd palonego ciała. Delektuje się także krwią swoich ofiar. Najczęściej pojawia się w miejscach bitew oraz wszędzie tam, gdzie płoną zwłoki. Jej żywiołem jest ogień. Jest bóstwem śmierci i zniszczenia. Sama Shija miała być złożona jej w ofierze.

Przez moment zapanowała martwa cisza. Wszyscy w zdumieniu zastanawiali się nad słowami Wandy.

- Chcesz nam powiedzieć... - zaczął ostrożnie Władek - że to, co zaatakowało radzieckich żołnierzy, to właśnie bogini Kali?

- Wszystko się zgadza. Thugowie, ogień. Hitler mógł specjalnie sprowadzić tych ludzi, kazać im odprawić ceremonię, wykorzystać tajemną wiedzę, a potem stworzyć coś na kształt mieszkania dla Kali, podziemnej świątyni.

- Pokaż mi to pudełko - zażądał nagle Staszewski.

Zabrał je z rąk Wandy i przez chwilę uważnie oglądał. Potem otworzył je i badawczo przyglądał się niezwykłym kartom. Oglądał umieszczone na nich symbole i szkice anatomiczne. Wreszcie zabrał głos:

- Choć cała historia wydaje się nieprawdopodobna, to wszystko pasuje do naszej układanki. Hitler fascynował się eugeniką. Miał bzika na punkcie czystości rasowej. Szukał początków rasy aryjskiej w najdalszych zakątkach świata. Prawdopodobnie również w Indiach. Cyganie mogli znać jakiś sekret i być może dlatego aż tak bardzo ich nienawidził. Postanowił ich wyniszczyć. A teraz, spójrz na to, Władek, i powiedz, czy ten znak nie wydaje ci się znajomy.

Uniósł w górę pudełko, tak by wszyscy mogli zobaczyć wyryte na nim obok bogini Kali symbole.

- Swastyka! - wykrzyknął zdumiony Władek.

- Zgadza się - przyznał major. - I to nie byle jaka. To nasza dziwna lewoskrętna swastyka, jaką odkryliśmy na kamieniach, których użyto do zamurowania przejścia. To jednocześnie indyjski symbol bogini Kali.

- A zatem to grobowiec Kali - stwierdził Władek. - Dawne opowieści nie były zmyślane. Autor „Szkarłatnego płomienia” w pewnym stopniu opierał się na faktach.

- Gdyby nasze przypuszczenia były trafne, Kali mogłaby być kimś w rodzaju strażniczki podziemnego miasta - zauważył Czarny. - Może naziści chcieli zabezpieczyć w ten sposób swoje tajemnice przez odkryciem albo nawet w przyszłości wykorzystać potęgę bogini na polu walki. Mogłaby pomóc im wyniszczyć radzieckie dywizje w momencie ataku ze wschodu...

- Ale coś poszło nie tak - wszedł mu w słowo major. - Bogini wymknęła się spod kontroli. Pamiętasz nagranie żydowskiego fizyka, Ibrahima Bauma, które odnaleźliśmy w podziemnym mieście? Zmusili go do pracy przy jakimś projekcie „Ogień Zniszczenia”, ale sprawy poszły nie po ich myśli. Musieli szybko zacierać ślady... To zostało uwięzione w mauzoleum, ale uwolniło się, kiedy Ulianow zdecydował o wysadzeniu ściany.

- Pozostaje jeszcze jedno pytanie... - zabrał głos Czarny. - Jakkolwiek wydaje się to dziwne, jest faktem, że mamy do czynienia z jakąś potężną i

niszczycielską siłą. Na razie jej pojawienie się ocaliło nam życie. Do czego jednak jest zdolna i w jaki sposób można ją powstrzymać? Tego nie wiemy.

„To nie jest wcale ostatnie pytanie. I być może nie najważniejsze - pomyślał major. - Jest jeszcze coś. Jakiś decydujący czynnik”.

Nagle ciszę przerwało głośnie ujadanie psa. Wszyscy spojrzeli na siebie z niepokojem. Ludzie Ulianowa? Jakim cudem aż tak szybko ich znaleźli? Pani Ludmiła wstała od stołu, udała się do pokoju i podeszła do okna, delikatnie odsłaniając grubą zasłonę. Wyjrzała ostrożnie. Kiedy powróciła, jej twarz była blada.

- Pali się!

*

W domu Ostaszków wszyscy spokojnie spali. Pięciosobowa rodzina z trójką dzieci. Najmłodsze z nich miało pięć lat, średnie osiem, a najstarsze dziesięć. To właśnie najstarsza Emilia obudziła się jako pierwsza. Było jej duszno, więc majtnęła nogami i odrzuciła grubą kołdrę na bok. Śnił jej się jakiś koszmar, pełen dziwnych obrazów, w których lalki o powykrzywianych wściekłością twarzach goniły ją przez las. Ich oczy były puste, jakby wypalone ogniem. W dłoniach trzymały zakrzywione sierpy. Nawet teraz, już po obudzeniu się, miała wrażenie, że wyczuwa jakiś delikatny swąd, jakby przypalonej gumy. Cały stary dom pogrążony był w ciemności. Tata i mama spali na dole, w swojej sypialni, ona z rodzeństwem w jednym pokoju. Słysząc było spokojny oddech młodszego Rocha i najmniejszego Zygmunia. Zachciało jej się pić. Na dole, w kuchni stał duży garnek z kompotem truskawkowym. Postanowiła wstać po cichu, żeby nikogo nie obudzić. Za oknami wzmógł się wiatr, zatrzeszczało stare drzewo. Nie było w tym nic dziwnego. Tata z mamą spierali się już od dłuższego czasu, czy wyciąć ten straszny, na wpół obumarły dąb. Mama twierdziła, że to on był sprawcą panoszącej się w budynku wilgoci. Tata bronił drzewa, mówiąc, że latem daje sporo cienia.

Miała już dziesięć lat, więc nie bała się ciemności. W każdym razie nie powinna się jej bać. Nie chciała również zapalać światła, by nie pobudzić innych domowników. Latarka tymczasem znajdowała się gdzieś w sieni. W noce tak mroczne, jak ta, gdy chmury przesłaniały księżyc, w domu było

naprawdę ciemno. Znała dość dobrze trasę, a jednak poczułaby się sporo pewniej, mając ze sobą jakieś źródło światła. Przypomniała sobie, że w korytarzyku, znajdującym się za drzwiami ich sypialni, stoi szafka. Ostatnio spostrzegła tam małą świeczkę i zapalki. Rodzice wielokrotnie przestrzegali ją przed niebezpieczeństwem, jakie niesie ze sobą ogień. „Ogień jest zdradziecki” - mawiał ojciec. Ona jednak uważała, że przestrogi te skierowane są przede wszystkim do młodszego rodzeństwa. Miała już przecież całe dziesięć lat! Umiała posługiwać się świeczką i zapalkami.

Zrobi to szybko, zejdzie na dół, napije się kompotu i wróci do łóżka, zanim ktokolwiek się zorientuje. Wychodząc z sypialni, cicho przymknęła za sobą drzwi. Nie chciała, by blask świecy obudził jej rodzeństwo. Wszystko przekształciłoby się wtedy w zabawę pod hasłem: „wymknijmy się i nie dajmy złapać rodzicom”. Nie mogła pozwolić sobie na takie dziecinady. Po omacku znalazła świeczkę i zapalki. Potarła draskę i przytknęła płomień do świecy. Z miejsca otoczyły ją rozedrgane cienie. W umieszczonym na ścianie lustrze ujrzała odbicie swojej drobnej, ładnej, lecz bladej twarzy. „Mogłabym być duchem” - pomyślała. Przyświecając sobie, zeszła powoli i ostrożnie po drewnianych schodach, przygryzając dolną wargę za każdym razem, gdy jeden ze stopni głośno zatrzeszczał. Już była prawie na dole, gdy posłyszała jakiś dziwny dźwięk dobiegający z za frontowych drzwi. Brzmiało to jak ciche skwierczenie przypalanego na blasze tłuszczu. Choć serce zaczęło jej mocno walić, pokonała jeszcze te kilka stopni i znalazła się w przedsiionku. Tutaj zapach spalenizny był już całkiem wyraźny. Nie wiedziała, co zrobić. Dziecięcy instynkt podpowiadał jej, że powinna jak najszybciej pobiec obudzić rodziców. Może to pożar?

Płomień świecy poruszył się niespokojnie. Przechylił w stronę drzwi, tak jakby zasysany jakimś niewyczuwalnym ciągiem powietrza. Dziwne ukradkowe skwierczenie przybrało jeszcze na sile. Musiało to być złudzenie, jakie wytworzyło się w zalęknionym umyśle Emilii, a jednak zdało jej się, że w tym paskudnym dźwięku pobrzmiewają jakieś sylaby, jakby ktoś przemawiał z wielkim trudem.

Wpuść mnie.

Wrzasnęła głośno i przeraźliwie. Świeca wysunęła się jej z dłoni i upadła na podłogę. Stary chodniczek zajął się ogniem.

- Tato! Mamo!

Zaczęła głośno piszczeć.

Rodzice błyskawicznie zerwali się z łóżka. Co się dzieje?! Wpadli do przedpokoju, twarze blade, włosy potargane. Ale to nic, nie stało się przecież nic strasznego. Dywanik płonie, ale ogień da się pewnie jeszcze ugasić. Całe szczęście. Strach pomyśleć, gdyby pożar się rozprzestrzenił. Ojciec w mgnieniu oka ocenia sytuację. Trzeba wybiec do studni. Stoi tam wiaderko pełne wody. Wystarczy chlusnąć szeroką strugą i będzie po strachu. Wrywa się do drzwi.

- Tato! - krzyczy Emilia. - Nie wychodź na zewnątrz!

- Co?! - zdumiewa się ojciec. - Nie przeszkadzaj!

- Nie! Proszę, nie wychodź na zewnątrz, tam ktoś jest!

Dziecinne fanaberie, i to w takiej chwili. Ogień jest jeszcze do opanowania, ale za kilkanaście sekund może wymknąć się spod kontroli. Firanka w oknie już zajmuje się płomieniem. Odsuwa dziecko energicznym ruchem ręki. Na górze słychać przestraszone piski dwójki pozostałych dzieci. Roch pojawia się na schodkach, patrzy na straszną scenę rozgrywającą się w świetle płomieni. Za rękę trzyma nie mniej przerażonego Zygmunta.

- Dzieci, schowajcie się! - krzyczy matka.

Roch widzi, jak jego ojciec odpycha Emilę i otwiera drzwi. Wtedy nisko nad ziemią, niczym rzeka wdzierają się ogień. Jego macki błyskawicznie rozprzestrzeniają się, szukają ofiar. Roch nie ma odwagi, by zacząć krzyczeć. Ciało Emilii i jego rodziców błyskawicznie stają w ogniu, ma jednak wrażenie, że ogień najpierw wdarł się w ich ciała, a potem zaczął palić je od wewnątrz. Z ust i oczu matki buchają płomienie. Trzyma się jednak nadal na nogach, odwraca się w ich stronę, jakby próbowała coś mówić, ale nie może już nic powiedzieć, ponieważ ogień wypalił jej struny głosowe. Jej włosy przypominają płonący stóg siana. Ogień pożywia się całą trójką i szuka następnych ofiar. Przybiera na poły ludzką postać kobiety o wielu ramionach, z których każde dzierży poplamiony zakrzepłą krwią sierp. Głowa jego siostry, przypominająca wypalony czerep, zostaje odcięta od tułowia. Podobny los spotyka ojca i matkę. Głowy leżą teraz na podłodze, pośród powodzi ognia i wpatrują się w Rocha i Zygmunta poczerniałymi, wypalonymi otworami ust i oczu. Zupełnie jak lalki w śnie Emilii.

Dzieci zwierzęcym odruchem strachu rzucają się do ucieczki. Wpadają do

sypialni, krzyczą wniebogłosy, zatrzasują za sobą drzwi. Płomienie ognia nie dają jednak za wygraną. Wsączają się przez dziurkę od klucza, przez szparę pod drzwiami. Roch próbuje dopaść do okna, otworzyć je na oścież. Może uda się wyskoczyć, wyrzucić Zygmunta. Nie jest przecież wysoko. Drzwi otwierają się z hukiem, ogień wybucha, zagarnia ich i przez chwilę ciemność nocy rozświetlają płomienie. Pośród nich słychać przeraźliwy krzyk palonych żywcem dzieci.

*

Ludzie nadbiegają na ratunek, ale dom stoi już w ogniu. Wtem płomienie znikają, jakby wessane niewidzialną siłą.

- Patrzcie tam, w górę! - krzyczy przerażony sąsiad.

Chmura ognia unosi się ponad domem, przybiera jakby ludzką postać. Przemieszcza się ponad dachami domów, nadpala szczyty wysokich drzew. Zbiegowisko, które nie zdążyło jeszcze nawet powstać, rozprasza się, każdy w panice ucieka w swoją stronę. Nie czas teraz na domysły, gołym okiem przecież widać, że nie jest to zwykły pożar.

Także Wanda z rodzicami, Czarny, Władek i major wypadają przed dom. Wiedzą, że muszą się ukrywać, a jednak z przerażeniem obserwują boginię Kali dokonującą dzieła zniszczenia.

- W każdej chwili musimy być gotowi do ucieczki! - krzyczy Czarny. - Najlepiej do tunelu, może tam nas nie dostanie.

Major jak zahipnotyzowany obserwuje niebywałe zjawisko. Bogini zmienia swoją postać, raz staje się potężnym płomieniem, to znów dostrzec można rozwichrzone włosy, zmysłowe piersi, dziesiątki ramion uzbrojonych w śmiertelne sierpy. Snopy iskier sypią się z nieba, słychać przeszywający ni to jęk, ni to skowyt. Wokoło straszna wichura. Kali jest jak ucieleśnienie wszystkich legend, jakie major zasłyszał w dzieciństwie, pierwowzorem strzyg, upiórów i wampirów.

Tym razem znów mają wiele szczęścia, bogini pieców krematoryjnych i stosów ofiarnych przemieszcza się nad wsią, tu i ówdzie dachy zajmują się ogniem. W końcu, jakby chwilowo nasycona, podrywa się w górę i znika gdzieś wysoko pomiędzy chmurami. We wsi panika, wszyscy rzucają się do

gaszenia. Niebawem nadjedzie straż pożarna i Milicja Obywatelska. Uciekinierzy postanawiają na powrót skryć się w domu.

*

Bogini śmierci i zniszczenia opuściła Kursko, ale bynajmniej nie zaprzestała swojego krwawego dzieła. Jednym z mankamentów pracy robotnika leśnego jest to, że nieraz późno kończy on swoją pracę. Polega ona nie tylko, jak mogłoby się wydawać osobie niewtajemniczonej, na wycince drewna, ale również na jego sortowaniu, układaniu, znakowaniu i sprzątaniu. Na tej robocie może zejść nieraz cały dzień, a i spory kawałek nocy. Tak też było i tym razem. Józek od Malinowskich późno dziś skończył pracę. Jedzie teraz na rowerze przez las i myśli o tym, czego to nasłucha się od swojej żony. Raz, że obiecał w robocie zbyt długo nie siedzieć, a dwa... no cóż, rąbanie drewna to ciężka praca, nie zaszkodzi więc troszkę gardło zwilżyć, najlepiej czymś mocniejszym.

„Znowuś wypity!” - niemalże słyszy głos swojej ślubnej.

Nie jest łatwo utrzymać równowagę na starym rowerze, to chyba wina tych łysych opon i dawno niesmarowanego łańcucha. Do wsi niewiele mu już zostało. Wyjechał już z lasu, teraz droga prowadzi przez szerokie pola. Nagle jakieś uderzenie wiatru, rozgląda się z niepokojem. Pewnie idzie burza. Zboże wzdyma się, wokoło latają plewy, jakiś pyłek wpada mu do oka. Coś błyska na horyzoncie, raz za razem, chmury nabierają krwistego zabarwienia. Musi być, że jakaś ciężka nawałnica nadchodzi. Pedałuje więc zawzięcie, jak na złość znów jest pod górę.

To nie żarty. Wichura staje się tak silna, że niemal spycha go z roweru. Powoli ogarnia go strach. Jest sam, na rozległym polu, nie ma się gdzie schować. Chociaż nie do końca. Nieopodal drogi, w polu stoi stary traktor. Tam, na ziemi należącej do Sieremiaków. Nie ma już z niego żadnego pożytku, zepsuł się, mieli zaciągnąć go do stodoły, ale ciągle zwlekają. Można by też spróbować dotrzeć do jakiegoś gospodarstwa, poprosić o schronienie. To jednak nie za bardzo mu się uśmiecha. Nie lubią się z Sieremiakami, zadzierają nosa, ich syn wstąpił do partii. Lepiej będzie dobrnąć do starego traktora, pewnie jest otwarty, bo na wsi nikt niczego nie zamyka, i w środku przeczekać nawałnicę.

Widzi już starą maszynę. Rower postanawia zostawić przy drodze, niebawem po niego wróci. Co za zawierucha! Nie sposób iść dalej. Pochylony przemierza wzburzone pole i dociera do szoferki. Otwarte. Wchodzi do środka i zatrząskuje za sobą drzwi. Przez myśl przechodzi mu wariacki pomysł, jakby tak udało się uruchomić ten traktor i podjechać kawałek. To jednak tylko taka myśl. Nie ma kluczyka, a poza tym wie dobrze, że maszyna nie jest na chodzie.

Wicher uderza o szyby. Traktor jest ciężką maszyną, lecz Józek ma wrażenie, że kołysze się lekko. Może jest wypity, ale chyba nie aż tak bardzo. Zimno jak diabli, temperatura spadła chyba o dobre dziesięć stopni. Wyciąga więc z kieszeni spodni paczkę papierosów i zapala jednego. Zawsze to jakiś sposób, żeby trochę się ogrzać i dodać sobie animuszu.

Jest ciemno, więc nie widzi dokładnie tego, co dzieje się za brudnymi szybami. Gdzieś nad sobą, między chmurami dostrzega ogniste rozbłyski. Burza. Znajduje się w rolniczym pojeździe, niczym w zamkniętej klatce. Próbuje przypomnieć sobie, czy to dobrze, czy źle. Może pioruny będą bezsilne. Ni stąd, ni zowąd przenika go myśl o paliwie znajdującym się w zbiorniku. Pewnie jest go mało albo nie ma nawet wcale. Wiatr śwista po rozległej przestrzeni.

Nagle wyczuwa podejrzaną swąd, jakby palonej gumy. „Coś się fajczy” - przemyka mu przez głowę. Pijacka pewność siebie nagle ulatnia się bez śladu. Ta noc zdaje się inna od wszystkich, i to w trudny do nazwania sposób. Uczucie zagrożenia staje się coraz silniejsze, lęk ogarnia go wezbraną falą. Chmury ponad polem zdaje się przenikać jakaś przybierająca na sile ognista poświata.

Przez pełne alkoholowych ciągów życie oszukiwał samego siebie. Zawsze wierzył, że znany w okolicy „Józek od Malinowskich” jest kimś w rodzaju fikcyjnej postaci, którą on sam wykreował. Trochę z przekory, trochę dla zabawy. To Józek był pijakiem, awanturnikiem, to on bywał niedobry dla swoich dzieci. Nie on. On sam był przecież kimś zupełnie innym. Kimś w gruncie rzeczy dobrym.

W jednej chwili traktor spowiły jęzory ognia. Złapał za klamkę, ale cofnął dłoń z okrzykiem bólu. Była bardzo gorąca. Do wnętrza dostawał się dym. Pocztał, że się dusi. „Wydostać się stąd jak najprędzej” - myślał gorączkowo. Ogień jednak napierał ze wszystkich stron. Z zadziwiająco

głośnym hukiem implodowała jedna z szyb i płomienie wdarły się do szoferki. W ułamku sekundy, słysząc swój własny krzyk, uświadomił sobie kilka rzeczy. Po pierwsze, nie było dwóch różnych osób. To on był odpowiedzialny za wszelkie zło, jakie wyrządził w swoim życiu. Po drugie, że ta noc jest inna od wszystkich, ponieważ jest nocą jego śmierci. Po trzecie, że zbiornik paliwa wcale nie jest pusty.

Gwałtowna eksplozja spowiła jego ciało nieskończonym żarem.

15.

Baza Armii Czerwonej w Kęszycy Leśnej, 28 kwietnia 1957 roku, godzina

2

Ulianow rozumiał, że jego godziny są już policzone. Rozpaczliwie usiłował pojąć sytuację, w której się znalazł, ponieważ czuł, że jedynie to pomoże mu pozostać przy zdrowych zmysłach. Chwilę wcześniej miotał się po całej bazie, wydając rozkazy, przygotowując obronę. Ilu ludzi stracił? Kiedy nastanie dzień, trzeba będzie posłać żołnierzy, by policzyli trupy, pozbierali szczątki. Zbyt dobrze znał KGB, by wiedzieć, że to nie ujdzie mu płazem. Prawda wyglądała tak, że w rezultacie jego niedopatrzeń, błędnych decyzji i nieudolności - śmierć poniosły dziesiątki, a może nawet setki radzieckich żołnierzy. Oczywiście nie miało to większego znaczenia. Za to mógłby nawet otrzymać order. W Związku Radzieckim nikt nie liczył się z życiem zwykłego szeregowca. Zwycięstwa odnosiło się przewagą liczebną, tworząc barykady z trupów. Jeśli na drodze stawały niemieckie karabiny maszynowe, żołnierze otrzymywali rozkaz „naprzód” i szli przed siebie, aż nazistom skończyły się naboje. Jeśli przeszkodą był głęboki wąwóz, zasypywały go stosy ciał, tworząc drogę dla kolejnych oddziałów. Liczył się jedynie cel. Jeśli ktoś próbował uciekać - od tego byli oni, podążający zawsze z tyłu, w cieniu, agenci NKWD. Z miejsca likwidowali dezertersów, zdrajców i tchórzki.

Problem tkwił gdzie indziej. Wojna się skończyła, a oni znajdowali się na terenie podległego Związkowi Radzieckiemu kraju. Miał działać dyskretnie, ale zbrodnie pokrzyżowały jego plany. Niebawem atak zatrzymał jego pościg, którego celem stanowiła likwidacja niewygodnych świadków. Narobił zbyt dużo hałasu - na tym polegał jego błąd. Dopóki działał dyskretnie, zgodnie z zasadami sztuki, mógł bezkarnie zabijać. Mógł wszystko. Posiadał na to ciche przyzwolenie władz radzieckich i nikt, a już na pewno nie Polacy, nie mógł w tej sprawie niczego uczynić. Mógłby torturować i rozstrzelać jeńców jednego po drugim. Ukryć ciała, zakopać je w lesie lub potopić w kanałach. Gdyby ktokolwiek potem znalazł zwłoki, wystarczyło winę zvalić na bandytów, Niemców lub kogokolwiek. To oni tworzyli prawdę. Prawdą było to, co oznajmiła władza radziecka.

Jednak w tym przypadku sprawy zaszły już za daleko. Konsekwencje były zbyt dalekosiężne. Prócz zwykłych żołnierzy zginęli też prawie wszyscy ludzie z jego specjalnego oddziału, a to nie były już przypadkowe osoby. Ich rodziny posiadały często kontakty w partii komunistycznej, rodzice lub dziadkowie byli zasłużonymi weteranami aparatu bezpieczeństwa. Na domiar złego, ze strategicznego punktu widzenia poniósł druzgocącą porażkę. Nie udało mu się znaleźć winnych. Nie pochwycono polskich bandytów i spiskowców. W Związku Radzieckim czekała za to kula w łeb.

Wydarzenia zaskoczyły go swoim niebywałym tempem. Miał przejąć kontrolę nad sytuacją, zaprowadzić porządek, zasiać w sercach Polaków strach. Przyuczyć ich do karności. Uświadomić, że są jedynie nic nieznaczącymi drobinkami w potężnej maszynie dziejów. Tymczasem wszystko zawaliło mu się na głowę. Zajadłe usiłował odnaleźć jakieś wyjaśnienie tego, co sam ujrzał w lesie pod Kęszycą Leśną. Do cholery, sam widział tę postać unoszącą się kilka metrów nad ziemią. Nie mogła to być jednak prawda, raczej rodzaj przywidzenia, halucynacji. Filozofia marksistowska wyraźnie wyjaśniała, że duchy, demony i piekielne zjawy nie istnieją. Prawdziwą rzeczywistość stanowią jedynie atomy i próżnia. Zatem zaatakowali ich jacyś ludzie, kto wie, zapewne przy użyciu prototypowej broni. Przemysłnym sposobem zrzucono na nich fosforowe bomby zapalające lub uruchomiono jakieś urządzenia, być może miotacze płomieni wystrzeliwujące wysoko w powietrze płonąca mieszanekę. Musieli więc być tam sprawcy zasadzki z krwi i kości, a panika, wyobraźnia i zbiorowa psychoza zrobiły swoje. To było jedynie słuszne wytłumaczenie i tego należało się trzymać. Jedynie słuszne wytłumaczenie nie poprawiło jednak wcale jego położenia. Co będzie, jeśli wróg przypuści atak na bazę? Jeszcze kilkanaście godzin wcześniej uważał to za mało prawdopodobne. Teraz nie był już niczego pewien. Jeśli istniał jakiś właściwy moment, by wezwać odsiecz, to właśnie teraz.

Pobiegł do swojej kwatery, wpadł do gabinetu i złapał za telefon. Czerwona linia. Zaczerpnął haust powietrza. Musi się opanować. Może nie wszystko jest jeszcze stracone. Owszem, oskarżą go o nieudolność, ale każdy przecież popełnia błędy. W lesie kryły się całe bataliony polskich bandytów, partyzantów, dywersantów i komandosów. Cóż złego jest w tym, że potrzebuje więcej sił, więcej ludzi, by zapanować nad sytuacją. Musi odzyskać nad sobą panowanie, starać się, by jego głos brzmiał spokojnie i

rzeczowo.

W chwilę później w gabinecie słychać było tylko jego głos. Rozmowa odbywała się po rosyjsku. Ulianow czuł się jak budowniczy, pod którym chyboce się, a w końcu zaczyna rozpadać rusztowanie.

- Tak, towarzyszu pułkowniku. Niespodziewany atak partyzantów z lasu, prawdopodobnie jakiś niewykryty do tej pory oddział polskich bandytów. Duże siły. Ilu? Trudno powiedzieć. Kilkudziesięciu, może kilkuset. Dobrze zorganizowani. Ciężka broń. Pociski zapalające. Prawdopodobnie mieli wsparcie z powietrza. Wielu naszych zginęło.

Jak do tej pory szło mu nadspodziewanie dobrze. Jednak jego rozmówca zdawał się wiedzieć znacznie więcej, niż Ulianow podejrzewał. Tak, nie był wcale jedynym władcą na tym zamku. KGB wszędzie miało swoje oczy i uszy.

- Nie udało mi się... nie udało mi się niczego wyjaśnić. Mam już pewne swoje podejrzenia... Tak, to prawda, ponieśliśmy straty... ten sam oddział, wcześniej, jak podejrzewam, przeprowadził zamach, zginęło kilku moich ludzi... Czemu nie złożyłem raportów? Czemu żołnierze zostali wciągnięci w pułapkę? Nie, towarzyszu, niczego nie ukrywam. Nic więcej nie wiem, zapewniam was. To atak, niespodziewany atak ze wszystkich stron. Przyślijcie jakąś pomoc.

Z trudem utrzymywał słuchawkę telefonu w spoconej i drżącej dłoni. Nie mógł się opanować. Strach uchwycił go w żelazne kleszcze. Z jednej strony niebezpieczeństwo kryjące się w lesie, z drugiej - zimna, do bólu wyrachowana i bezwzględna machina polityczna. Nie wiedział, czego boi się bardziej. Rozmowa jednak zdawała się przybierać dobry dla niego obrót. Decyzja o ruchach wojsk wymaga rozkazu zwierzchników ze sztabu, to rzecz zrozumiała, ale niebawem pojawi się pomoc w dużej sile.

- Wrocław? Dlaczego nie Legnica? - jęknął Ulianow do słuchawki. - Towarzyszu, nie możemy czekać tak długo... Nie, nie jesteśmy pod ostrzałem.

Podszedł do okna i rozejrzał się trwożliwie.

- Na razie nie widać nigdzie przeciwnika. Nie słychać strzałów, to burza z piorunami - oznajmił zgodnie z prawdą. - Rozumiem. Czwarta Armia Lotnicza nie nadaje się do tego zadania. Czekamy w takim razie na Wrocław.

Przyslijcie czołgi!

Chwila ciszy, w której twarz Ulianowa nabrała sinawej barwy.

- Nie, towarzyszu. Nie jestem pijany. Wszystko melduję zgodnie z prawdą.

Po chwili powoli odłożył słuchawkę. Musieli przecież mu uwierzyć. Jeśli w bazie znajdowali się informatorzy, a tego był właściwie pewien, ci na górze musieli już coś wiedzieć o sytuacji. Zgodnie z zapewnieniem rozmówcy Dwudziesty Korpus Pancerny zostanie powiadomiony. Ile czasu może upłynąć, zanim pojawią się tu pierwsze czołgi? Może cztery godziny? A zatem do świtu nadejdzie odsiecz.

Nagle spostrzegł za oknem coś, co wzburzyło w nim krew, a jednocześnie z niewiadomej przyczyny przeraziło go. Oto grupka kilkunastu radzieckich żołnierzy, wraz ze swoimi rodzinami, tuż pod oknem strzegących szlabanu, mocno zdezorientowanych wartowników, klęczała na ziemi. Odrzucili broń, pozdejmowali hełmy. Mundury mieli osmalone, musiały to być niedobitki, jakie ocalały z ognistej rzezi. Przed nimi stał jakiś szeregowiec, trzymając w rękach coś, co z tej odległości Ulianow w pierwszej chwili uznał za antenę. Pionowy słupek z przymocowaną do niego poprzeczną belką i drugą niżej, umieszczoną na ukos. Nagle dotarło do niego, co to jest. Prawosławny krzyż! Radzieccy żołnierze wpadli w panikę, klęczeli na ziemi i odmawiali modlitwy. To było niebezpieczne. Swoim strachem mogli w każdej chwili zarazić innych.

Jak szalony wypadł z kwatery, na złamanie karku popędził na dół, wypadł na plac apelowy. Kiedy dopadł do grupy klęczących na ziemi Rosjan, zawahał się. Nie miał prawa tak postępować. To nie byli Polacy. Bądź co bądź, to radzieccy obywatele. Moment ten jednak trwał krócej niż mrugnięcie okiem. Dorwał nawiedzonego kaznodzieję, wyrwał mu sklecony naprędce z patyków krzyż, połamał i cisnął na ziemię. Z rozmachem uderzył go w twarz. Rozmodlony tłumek zamilkł, wpatrując się w niego z przerażeniem. To nie mieściło mu się w głowie. Owszem, żony i dzieci. Ale na klęczkach trwali również regularni radzieccy wojskowi.

- Bacność! - wydarł się. - Nie chcę tu żadnych guseł! Zrozumcie wreszcie, to, co się stało, to zbrojna napaść! Stoją za nią ludzie z krwi i kości! Policzymy się z nimi! Armia Radziecka jest już w drodze! Jeśli trzeba będzie,

zrównają z ziemią cały las i wszystkie wsie!

Pot ściekał mu z twarzy i mieszał się z padającym deszczem. Toczył wokoło rozwścieczonym wzrokiem. Docierało do niego, jak bardzo utracił kontrolę nad sytuacją. Bał się upadku morale własnych żołnierzy. Bo wtedy... nikt go już nie będzie bronił. Ludzie sprawiali jednak wrażenie jakby pogrążonych w transie. Ociągając się, wstawali z kolan, spoglądali na agenta nieufnie. Teraz nawet w postawie wartowników spostrzegł jakąś niesubordynację. Nie zasalutowali na jego widok, nie wyprężyli się na baczność.

„Wszyscy już wszystko wiedzą - pomyślał. - Sądzą, że to moja wina. Spiskują. Przez te wszystkie dni tkwiłem w świecie swojej wyobraźni. Wodzili mnie za nos. Nawet sztab wie więcej ode mnie. Ludzie ze wsi musieli powiadomić o sytuacji Milicję Obywatelską. Ta nie podjęła żadnych konkretnych kroków, ale musiała dać znać o sprawie komuś wyżej”.

Ludzie wpatrywali się w niego z rosnącym przestraszaniem. Nagle zrozumiał, że nie wpatrują się wcale w niego, ale w coś, co znajdowało się za jego plecami. Odwrócił się. Ponad lasem dało się zobaczyć rozbłyśki światła i coś na kształt odległej chmury ognia, unoszącej się nad drzewami i przemieszczającej ze sporą prędkością.

- To demon ognia! - zawołała żona jakiegoś żołnierza.

- Zło nadciąga, aby nas pochłonąć - zawtórował jej męski głos - chroń nas, Boże!

- To jest najzwyklejsza burza! - ryknął Ulianow. - Rozumiecie?! I nic ponadto! Nic! Pożar i wiatr! A w lesie... w lesie są polscy bandyci, którzy przygotowują się do zadania ostatecznego ciosu!

Nikt nie miał odwagi mu zaprzeczyć, ale agent rozumiał, że mu nie wierzą. Szaleństwo zabobonu musiało tkwić gdzieś głęboko przyczajone w ludzkim umyśle, mimo prowadzonego w Związku Radzieckim, zakrojonego na szeroką skalę programu edukacyjnego. Tyle godzin pracy nauczycieli poszło na marne, nie pomogły ani wykłady o Darwinie, ani o Marksie. Nie pomogło palenie przydrożnych kapliczek i zamienianie cerkwi w magazyny zbożowe. Wystarczyło, że zobaczyli coś, czego nie umieli pojąć, doświadczyli zjawiska, jakiego nie potrafili wyjaśnić.

- Wstawać! Wstawać mi z tych klęczek! - Krzyk dobrze mu robił,

pozwalał odzyskiwać poczucie sprawowania władzy. - Kobiety i dzieci mają pozostać w swoich mieszkaniach. Pozamykać drzwi i okna.

Pobiegł do znajdującego się we wnętrzu garnizonu pomieszczenia, w którym znajdował się mikrofon. Skrzeczący pogłos jego słów rozlegał się teraz w całej bazie, dobiegając z głośników, tak zwanych szczekaczek.

- Tu dowódca Ulianow! Wszyscy wojskowi mają przygotować się do obrony bazy. Pobrać z magazynów wszelką broń, jaka jest dostępna. Nadciąga odsiecz! Powtarzam: nadciąga odsiecz, dywizje pancerne są w drodze! Przygotować stanowiska karabinów maszynowych! Oficerowie do mnie!

Odłożył mikrofon. To ostatnia szansa. Niech atakują. Powstrzyma ich, kimkolwiek są. Niezależnie od tego, jaką broń dysponują. Poprowadzi obronę, jak bohaterowie pod Stalingradem. Odniesie zwycięstwo, chociażby na placu boju miał pozostać jedynie on sam, Ulianow. Jeśli trzeba będzie, poświęci ich wszystkich. Tam, w lesie, dali się zaskoczyć. Tutaj, gdzie stoją murowane budynki, obrona będzie łatwiejsza. To jedyny sposób, aby ocalić skórę. Jeśli mu się uda - otrzyma Order Zwycięstwa.

Wdrapał się po schodach, wpadł do jednego z pomieszczeń, porwał za ciężki megafon. Postanowił wyjść na dach, aby stamtąd obserwować rozwój sytuacji. To, co ujrzał, nie napełniało go bynajmniej optymizmem. W bazie zapanowała niebywała anarchia. Mnóstwo ludzi biegało bezładnie, rozlegały się jakieś komendy, ale wszystko tonęło w ogólnym zgiełku. Atak w lesie był druzgocący, zginęło wielu wyższych rangą oficerów. Ten sprawnie działający zazwyczaj aparat, pozbawiony części decyzyjnej przekształcił się w podrygującego i wymachującego bezładnie szponami stwora. Każdy zdawał się myśleć przede wszystkim o sobie. Owszem, przywrócono już oświetlenie, reflektory płonęły, na dachach rozmieszczono stanowiska karabinów maszynowych, umocnione workami z piaskiem. Brakowało jednak koordynacji, a on, Ulianow, nie był wojskowym strategiem. Nie miał żadnego doświadczenia w dowodzeniu bitwą.

Tymczasem z zatrważającą prędkością znad lasu zbliżała się chmura ognia. Unosiła się w powietrzu i agent znów nie mógł oprzeć się wrażeniu, że przypomina ludzką postać. Była coraz bliżej. Gdzie są oficerowie? Czyżby poginęli? Jak dowodzić walką, jeśli nie ma się adiutantów lub łączności radiowej? Wszystko to działo się zbyt szybko, cios okazał się nieoczekiwany

i nie sposób było w krótkim czasie się po nim otrząsnąć, przygotować obronę.

Chmura ognia była już blisko, może dwieście lub nawet sto metrów od miejsca, w którym zaczynał się teren bazy. Ogień ogarniał drzewa, lecz porzucał je po chwili i nadciągał coraz spieszniej. Poniekąd dawało się to wytłumaczyć zacinającym deszczem, gałęzie musiały być mokre, a jednak jakąś częścią swojego umysłu wyczuwał, że nie jest to trafna odpowiedź. W działaniu płomieni była widoczna jakaś celowość... inteligencja. Nie był to jedynie bezmyślny żywioł, który zadawała się czymkolwiek, co akurat znajdzie się na jego drodze. Ulianow nie mógł oprzeć się wrażeniu, że płomienie są zachłanne, wygłodniałe, poszukują kolejnych ofiar, że wiedzą, czego pragną. Wiatr uderzył w dachy z taką siłą, jakby miał zaraz przewracać wszystkie budynki niczym zabawki. Pioruny cięły na oślep i momentami robiło się jasno jak za dnia.

Słaniając się na nogach pod naporem wichury, uruchomił przenośny akumulator, w jakimś zaślepieniu nie bacząc w ogóle na to, że bardziej niż inni narażony jest na uderzenie pioruna. Przytknął megafon do ust i wrzasnął:

- Ognia!

Strzelać. Walić na oślep, po lesie i po drzewach.

- Nisko ogień!

Nie był pewien, czy ktokolwiek posłyszał jego głos w potępieńczym wyciu wiatru, ale natychmiast po prawej stronie, na dachu sąsiedniego budynku, w którym znajdowała się pralnia i świetlica, huknęła seria z ciężkiego karabinu maszynowego Diegtiariewa. Zawtórowały mu serie z kolejnych dachów, rozgrzane do czerwoności pociski znaczyły ciemność świetlistymi smugami. Lufy karabinów ziały ogniem. Gromy wystrzałów były jak muzyka dla jego uszu.

Nie bez przyczyny rozkazał kierować ogień nisko. Ktokolwiek operował tą niezwykłą maszyną, musiał znajdować się blisko, skryty między drzewami. Istniały przecież urządzenia zdolne do wytwarzania dużych ilości ognia. I takie jak kinematograf - potrafiące wyświetlić na ekranie lub na jakiegokolwiek przeszkodzie dowolny obraz. Na przykład taki jak wieloręcznej kobiety, widma uzbrojonego w dziesiątki sierpów. Przeszkodę taką, zastępującą ekran sali kinowej, mogły stanowić niskie, gęste chmury.

Wymagało to dobrego sprzętu, źródła światła o dużej mocy, ale przecież - nie było niewykonalne.

Huraganowy ostrzał lasu nie przyniósł jednak obrońcom dawnej nazistowskiej Regenwurlager żadnego pożytku. Płomienie zstąpiły z nieba i z niespotykaną furią zaatakowały stanowiska ogniowe. W jednym momencie całą bazę wypełniły odbijające się szerokim echem od ściany lasu potężniejsze wrzaski płonących żywcem ludzi. Najstraszniejsze było jednak widmo unoszące się ponad dachami. Liczne ramiona z niebywałą szybkością wykonywały swoją straszną pracę. Ludzkie głowy spadały odcinane niehumanitarnie ostrymi sierpami, szybowały w górę z płonącymi oczyma. Stanowiska karabinów maszynowych w mgnieniu oka zmieniły się w płonące ofiarne stosy.

Porażony tym widokiem Ulianow zrozumiał, że jedynym ratunkiem dla niego samego jest błyskawiczna ucieczka. Rzucił się w stronę wjazdu, spadł po szczeblach drabiny. Uciekać! Nie był w stanie prowadzić dalej obrony. Ale dokąd? Pędem pokonał dwie kondygnacje i wpadł do piwnicy. Do budynku wbiegli jacyś ciężko poparzeni radzieccy żołnierze. Niektórzy z nich byli oślepieni, wszyscy rozpaczliwie krzyczeli i wymachiwali rękoma. Wyminął ich, rozdając na prawo i lewo ciosy za pomocą kolby pistoletu. Z drogi!

Zbiegł po prowadzących w dół wąskich betonowych schodach. W jednym z pomieszczeń stał duży zbiornik z wodą zgromadzoną na wypadek awarii. Bez namysłu wskoczył do niego i zanurzył się aż po szyję. Nawet tutaj dobiegały go słabnące odgłosy wystrzałów i krzyki świadczące o rozmiarach hekatomb. Ogień jednak być może nie zdoła go osiągnąć. Niebawem nadejdzie pomoc. Musi tylko przetrwać do świtu.

16.

Kursko, niedziela 28 kwietnia 1957 roku, godzina 2.30

„Co się tam, do cholery, wyprawia?” - pomyślał major, nasłuchując odległych serii wystrzałów dobiegających od strony bazy. Brzmiały one, jakby toczono tam regularną bitwę. Tak zresztą w istocie było.

Siedzieli ukryci w domu Wandy, jednak każde z nich zdawało sobie sprawę, że nie mogą pozostać bezczynni. Na własne oczy zobaczyli potęgę uwolnionej bogini Kali i jej niszczycielską siłę. Nie mogli zaprzeczyć temu, czego stali się naocznymi świadkami.

- Kali dobrała się ruskim do dupy-zawyrokował Czarny. - Zaatakowała wieś, a teraz dopadła ich. Trudno powiedzieć, kiedy to się skończy.

- Może nie skończyć się nigdy - powiedziała pobladła Wanda. - Zniszczy ich, a potem będzie siała spustoszenie po okolicznych wsiach. Nikt nie zdoła się jej przeciwstawić. Zaatakuje miasta. Mogą zginąć miliony ludzi.

- Musimy jeszcze raz przypomnieć sobie wszystko, co wiemy na jej temat - zawyrokował major. - Wszystkie szczegóły, choćby wydawały się na pozór mało ważne.

- Jest boginią chaosu i zniszczenia - odparła Wanda. - Tyle potrafię powiedzieć na podstawie tego, czego dowiedziałam się ze „Szkarłatnego płomienia”, choć oczywiście nie jest to zbyt wiarygodne źródło. Podobno w istocie nie jest nawet zła.

- Dobre sobie! - prychnął ojciec Wandy, pan Jan. - Pali ludzi żywcem, zabija całe rodziny i nie jest zła?!

- Nie, to nie tak... - wyjaśniła Wanda. - Ona jest zła, ale jakby jedynie z naszego, ludzkiego punktu widzenia. Hindusi wierzą, że jest jednym z ważnych elementów całej rzeczywistości. Aby mogło pojawić się nowe życie, wszystko, co stare, musi odejść, zostać zniszczone. Kali spełnia taką rolę w całej przyrodzie. Jest uosobieniem tej siły. Jej żywiołem jest ogień. Niszczy, ale też tworzy. Królestwem Kali jest noc. Po każdej jednak nocy przychodzi dzień.

- Ogień... - Major zamyślił się na chwilę. - Czym pokonać ogień?!

- Wodą - spokojnie powiedział Czarny.

Wszyscy spojrzeli na niego pytająco. Przez moment panowała niezręczna cisza.

- Nikt nie jest w stanie ugasić takiego ognia - odparł Władek. - Żaden człowiek... a już na pewno my nie jesteśmy w stanie tego zrobić.

- To jasne - odparł komandos. - Ale naturalnie to woda jest największym wrogiem ognia. Tak wygląda to przynajmniej w przyrodzie, tak też się najczęściej mówi.

- Zaraz... - Staszewski na coś wpadł. - Mam pewną myśl, nie wiem tylko, na ile jest ona możliwa do zrealizowania. Pamiętasz, Władek, jak przyjechaliśmy tu po raz pierwszy? Jeździliśmy po okolicy i robiliśmy szkice, zdjęcia. Zastanawialiśmy się, po co Niemcy pobudowali tu tyle kanałów. Sądziliśmy, że chcieli zalać okolicę... Niektóre z nich, jak chociażby ten przy wejściu do podziemnego miasta, wydawały się stworzone do zalania podziemi. Może nieprzypadkowo przewidziano taką możliwość? Może sami Niemcy chcieli zalać podziemne miasto, lecz przeszkodziła im w tym ofensywa Armii Radzieckiej?

- Chodzi o ten kanał w lesie, połączony z Jeziorem Kęszyckim? - upewnił się Władek.

- Tak. Gdyby udało się zniszczyć zabezpieczenia, betonową tamę, wielkie masy wody wdarłyby się bezpośrednio do podziemi...

- Zalewając je razem z sarkofagiem bogini Kali - dokończyła Wanda. - Zwariowany pomysł, ale wydaje się wykonalny. Jeśli jej siłę stanowi ogień, będzie unieruchomiona.

Major i Władek spojrzeli na Czarnego.

- W ziemiance w lesie mam jeszcze kilka silnych ładunków wybuchowych - oznajmił.

- Zatem nie ma czasu do stracenia - zdecydował major. - Pozostaje tylko jeszcze jedna, największa trudność. Musimy przeprowadzić całą operację wtedy, gdy Kali będzie znajdowała się w swoim grobowcu w podziemnym mauzoleum. Inaczej nic z tego nie będzie.

- Chwila! - Władek poderwał się na nogi. - Wanda, co powiedziałaś o

Kali? Że jej królestwem jest noc?

- Tak, tak przynajmniej mówi się w tej książce. Thugowie zawsze atakowali po zmroku. Nigdy w świetle dnia...

- Właśnie. Zabójstwa żołnierzy też miały miejsce po zmroku. Każdy atak Kali następuje, kiedy jest ciemno.

- Myślisz, że... - Major spojrzał na przyjaciela. - ...Kali wraca do swojego grobowca, kiedy nastaje dzień? Że nie może atakować w świetle słońca?

- Istnieje wiele legend - stwierdził Czarny - które nie dotyczą może Kali, ale wielu innych mitycznych stworzeń, takich jak chociażby strzygi czy wampiry. W ludowych podaniach często mówi się, że są bezsilne wobec światła dnia i gdy ono nastaje, chronią się i zapadają w coś na kształt hibernacji.

- Mamy opierać się na ludowych bujdach?! - zachnął się pan Jan. Żona posłała mu uspokajające spojrzenie, choć sama wydawała się mocno zaniepokojona. - To nonsens.

- Może nie tak wielki, jak mogłoby się wydawać - odparł z namysłem Staszewski. - Legendy są przekazywane z pokolenia na pokolenie. Żyją własnym życiem i każdy naród dodaje do nich coś nowego. Wszystkie jednak mogą brać swój początek z jednego wspólnego źródła. Legenda o Kali może być pierwowzorem dla wszystkich opowieści o strzygach i wampirach. Królestwem Kali jest noc. Rzeczywiście, wszystkie ataki następowały po zachodzie słońca. Coś mówi mi, że nie jest to zbieg okoliczności.

- Zatem musimy działać szybko - podsumował Czarny. - Major wskaże miejsce, a ja zdetonuję ładunek, kiedy wstanie słońce. Musimy działać sprawnie i z najwyższą ostrożnością. Nie mam pojęcia, jak rozwinie się sytuacja.

Wszyscy poderwali się od stołu, przy którym zasiedli na czas narady. Gdzieś we wsi słychać było pojękiwanie syreny. To prawdopodobnie wezwana Milicja Obywatelska usiłowała rozeznąć się w sytuacji. Strażacy dogaszali pożary, zapewne dziwiąc się ich niezwyktemu charakterowi. Towarzyszący Kali ogień niszczył swoje ofiary, jednak później znikał bez śladu, pozostawiając zaledwie nadpalenia na meblach, ścianach i dachach. Towarzyszył bogini niczym wierny pies, powracający do swojej władczyni

na jej wezwanie i stanowiący jej własną istotę.

- Wyjdziemy tylnym wyjściem - zaproponowała Wanda. - Tak będzie bezpieczniej. Jesteście przecież poszukiwanymi zbiegami.

- Ty nigdzie nie idziesz! - kategorycznie oświadczył pan Jan. - Nie chcę stracić dziecka.

- Muszę! - gwałtownie sprzeciwiła się Wanda. - Moje miejsce jest przy Władku. Kiedyś to on uratował mi życie. Teraz czas, żebym to ja mu pomogła.

- Nie, Wanda. - Władek delikatnie zasłonił jej usta dłonią. - To, że uratowałem ci życie, nie ma teraz żadnego znaczenia. Nie możesz narażać się bez potrzeby. To bardzo niebezpieczna misja. Poza tym... - dodał, rozmyślnie starając się dobrać argumenty - spowalniałabyś jedynie nasze działania. Nie jesteś żołnierzem, brakuje ci przeszkolenia. Bez ciebie poradzimy sobie szybciej, a więc będziemy bezpieczniejsi.

- Władek ma rację - potwierdził pan Jan. - To wojskowa misja.

- Nie wydam pozwolenia na twój udział - stanowczo oświadczył Staszewski. Nie chciał narażać życia młodej dziewczyny, poza tym i tak bardzo im już pomogła.

Wanda nie wydawała się zadowolona z takiego obrotu sprawy. Chciała iść, walczyć, pomagać wojskowym. Musiała jednak przyznać, że jest tylko zwykłą dziewczyną. Pewnie nie potrafiłaby nawet strzelać, gdyby zaszła taka potrzeba.

- Zsynchronizujmy zegarki - zakomenderował Staszewski. - Gdybyśmy musieli się rozdzielić, powinniśmy działać zgodnie co do sekundy.

- Ile mamy amunicji? - zapytał Czarny.

Sprawdzili magazynki. Mieli w pełni naładowaną broń krótką i nieco amunicji do pepesz. Powinno wystarczyć, jeśli oczywiście nie dojdzie do jakiegoś większego starcia.

Korzystając z osłony ciemności i wybujałych zarośli, wymknęli się tyłami do lasu. Tutaj odważyli się zapalić latarki. Warunki pogodowe były bardzo trudne. Ponad lasem szalała wichura, z nieba lał deszcz, burza przemieściła się, lecz nadal niebo raz za razem rozjaśniały nagłe błyski

wydobywające kontury splątanych gałęzi. Nogi ślizgały się na rozmokłym gruncie, światło latarek tonęło w ciemnościach.

Zgodnie z informacją Czarnego znajdowali się w odległości paru kilometrów od jego kryjówki. Dystans ten musieli pokonać sprawnie, przedzierając się przez las i nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Komandos szedł przodem, kierując się wskazaniem niewielkiego kompasu. Widać było, że świetnie radzi sobie z orientacją w terenie.

Kilka razy przeskakiwali przez tarasujące im drogę pnie drzew, pokonywali głębokie wąwozy, na jakie często można się w tych lasach natknąć. Część z nich sprawiała wrażenie sztucznych i wykonanych ręką człowieka. Teraz major pomyślał, że być może były one częścią składową wielkiego systemu zabezpieczeń. Takiego, który w razie zagrożenia mógłby zalać wodą podziemne miasto. Wszystko się zgadzało. Przed oczyma stanęły mu kręgi wypełnionych czarną wodą kanałów w podziemnym nazistowskim mauzoleum. Może one również były czymś w rodzaju zabezpieczenia albo jakąś symboliczną wskazówką?

Kiedy dotarli do kryjówki Czarnego, pogoda ustabilizowała się. Ustał deszcz, a wiatr rozpędził część chmur. Marsz zajął im przeszło godzinę. Ukazało się nocne niebo pełne blednących już gwiazd. Powoli nastawała dziwna szarość, kontury drzew stawały się coraz wyrazistsze, była to ta pora dnia, kiedy daje się już wyczuć najlżejszą zapowiedź przedświt. Ptaki zaczynały budzić się pośród gałęzi.

Ziemianka Czarnego była niewielką piwniczką, w której człowiek musiał pochylać głowę, aby się w niej pomieścić. Liczyła może dwa metry na dwa i nie mogła zaoferować w zasadzie niczego poza ochroną przed ulewą lub wiatrem. Posiadała sporządzony z brzoźowych gałęzi dach, od góry przysypany warstwą ziemi i dla niepoznaki przykryty liśćmi oraz mchem. W takiej kryjówce przetrwać mógł dłuższy czas jedynie człowiek zahartowany i świetnie obeznany z lasem.

Czarny spakował do płóciennego wojskowego plecaka kilka pakunków, w których major rozpoznał dynamit i lont. Czy taka ilość wystarczy do przerwania betonowej tamy na kanale? Trudno było to oszacować na oko.

Wszyscy trzej odczuwali już spore zmęczenie. Wiedzieli jednak, że muszą dać z siebie wszystko. Major miał w pamięci swoją przysięgę

wojskową i rozkaz obligujący go do ochrony miejscowej ludności, który przecież nigdy nie został odwołany. Na Władka zawsze można było liczyć. Trudno było dokładnie powiedzieć, jakie motywy kierowały Czarnym. Major nie miał okazji poznać go bliżej, a jednak wyczuwał w nim determinację. Sprawiał wrażenie człowieka, który zawsze robi to, co w danej sytuacji należy zrobić, i wykonuje swoje zadanie na sto procent. Zresztą niczego innego nie mógł się spodziewać po przedstawicielu jednej z najbardziej elitarnych wojskowych formacji, jakie kiedykolwiek powstały.

Nurtowała go tylko jedna kwestia. Wiedział, że formację cichociemnych założono na rozkaz generała Sikorskiego i została ona stworzona do walki desantowej z niemieckim okupantem. Sądził, że wraz z zakończeniem wojny jednostka przestała istnieć. Postanowił zapytać o to Czarnego, a wtedy tamten odpowiedział tylko jednym zdaniem, którego major miał nie zapomnieć do końca swoich dni: „Żołnierzem jest się całe życie”. Staszewski domyślił się wówczas, że garstka cichociemnych nadal postanowiła kontynuować walkę i pracowała dla brytyjskiego wywiadu. Z pewnego punktu widzenia była to zdrada, za którą groziła kara śmierci. W tych czasach jednak nic nie było oczywiste.

Znajdowali się już w okolicy bunkra, przy którym śmierć ponieśli ludzie Ulianowa. Nieopodal wejścia do podziemnego miasta. Major niewiele mógł dostrzec, nadal jeszcze panowała szarówka, a jednak w swojej głowie starannie odtwarzał topograficzną mapę terenu. Wszystko zdawało się posiadać tutaj swoje przeznaczenie. Do tej pory uważał, że szczególne położenie bunkra było przypadkowe. Przypominał on bowiem wzgórze, ale patrząc z szerszej perspektywy znajdował się nieco poniżej reszty terenu.

Dalej, w lesie, tam, gdzie teren piał się łagodnie pod górę, znajdował się głęboki kanał, doprowadzony tu aż od Jeziora Kęszyckiego. Strugi wody musiały spływać w dół i zacząć zalewać podziemne miasto. Ile czasu mogło upłynąć, nim wdarłyby się na najniższe kondygnacje? Trudno było to ocenić, ale major miał nadzieję, że do następnej nocy podziemna świątynia zostanie całkiem zalana.

- Obserwujcie bunkier - cichym głosem powiedział Czarny. - Ja założę dynamit. Kiedy zobaczycie, że Kali powróciła do swojego schronienia, wystrzelcie dwukrotnie w powietrze. Wtedy odpalę lont.

- Ruszaj więc - pośpieszył go major. - Może być tu w każdej chwili.

Potem dokładnie poinstruował Czarnego, gdzie znajduje się kanał. Cichociemny zniknął za zasłoną drzew, a major i Władek ukryli się w zaroślach, żeby obserwować bunkier. Lada moment pierwsze promienie słońca mogły wystrzelić zza horyzontu. Rozwidniło się już niemal zupełnie.

- Nie ma jej - z przejęciem powiedział Władek. - Może ten cały nasz pomysł jest do niczego? Może mieć przecież jakąś inną kryjówkę.

- A może jest już w środku - zastanowił się na głos Staszewski.

- Patrz! - Przyjaciel szarpnął go za ramię, wskazując w niebo.

Przyłgnęli jeszcze bardziej do ziemi, starając się ukryć jak najlepiej. Tym razem jednak najwyraźniej dopisało im szczęście. Na horyzoncie pojawiła się ognista smuga, przybliżająca się do nich w dużym tempie. Zaszumiały roztrącane wiatrem czubki drzew. Nasycona całonocną orgią krwi i ognia bogini Kali powracała do swojego matecznika. Pęd gorącego powietrza wzburzył trawy, poderwał w górę pył, postrącał kaskady sosnowych igieł. Przypominała teraz ognisty podmuch, szybującą w powietrzu płomienną kulę.

- Zniknęła w wejściu - wyszeptał Władek i sięgnął po broń, aby dać sygnał.

- Poczekaj jeszcze moment - powstrzymał go major. - Niech znajdzie się w sarkofagu. To najniższa kondygnacja. Jeśli rzeczywiście za dnia zapada w coś na kształt letargu lub hibernacji, dajmy jej trochę czasu. Będzie bardziej bezbronna.

Czy Czarny jest już gotów? Czy założył ładunki wybuchowe? Szło im nadspodziewanie dobrze. Z jakiegoś powodu Staszewski przeczuwał, że ten stan rzeczy może nie potrwać zbyt długo. Na wschodzie powoli zaczęła ukazywać się majestatyczna kula czerwonego, wstającego słońca.

17.

Baza Armii Czerwonej, niedziela 28 kwietnia 1957 roku, godzina 5.20

Wszędzie panowała złowroga cisza, jeszcze bardziej przerażająca niż krzyki i strzały. Ulianow spojrzał na zegarek. Na dworze panowała szarówka, lecz lada chwila wstanie słońce. Gdzie pomoc?! Wtem do jego uszu dobiegł cichy, lecz narastający z każdą chwilą pomruk. Czołgi jadą...

Siedział ukryty w ciemnej piwnicy, jedynie od czasu do czasu włączając latarkę, by oszczędzać baterię. Nosił ją często przy sobie, na wszelki wypadek. Do tej pory nie miał odwagi wyjść na zewnątrz. Wypełził jedynie ze zbiornika, cały ociekając wodą, i siedział tak w kącie, pograżając się w gorączkowych domysłach. Co tam się stało? Czy ktokolwiek przeżył? Jacyś ludzie wcześniej rozpaczliwie dobijali się do jego kryjówki. Na wszelki wypadek zabarykadował drzwi przy pomocy ciężkiej metalowej skrzyni z piaskiem. Teraz zdawał sobie sprawę, że powinien wyjść ze swojego schronienia i przeprowadzić rekonesans. Nie miał jednak odwagi tego uczynić. Śmierć mogła zaić się w każdym zaułku, ostrząc swoją zdradziecką kosę. Dopiero powoli narastający basowy pomruk sprawił, że podszedł do drzwi piwnicy, odemknął je i uchylił ostrożnie. Ktoś musiał przeżyć. Niektórzy zapewne wpadli na ten pomysł co on i poukrywali się w zakamarkach piwnic. Byli też pewnie i tacy, którzy uciekli do lasu.

Ostrożnie wyszedł z piwnicy, obojętnie mijając leżące przy drzwiach trupy o poparzonych ciałach, wpatrujące się w niego oskarżycielsko. Nagle jeden z nich uchwycił go za kostkę. Ulianow wrzasnął, wyrывая z obrzydzeniem nogę. Człowiek ów nie był jednak do końca martwy. Z ust rannego dobył się cichy jęk.

Wdrapał się po schodach i wyszedł z piwnicy. Cały czas nasłuchiwał. W końcu zdecydował się wyjść przed budynek. Oślepiły go jasne światła nadjeżdżających pojazdów. Przysłonił oczy dłonią. Spodziewał się całej dywizji pancernej, tymczasem na plac wjechało zaledwie kilka transporterów opancerzonych, z których wysiadła grupa żołnierzy. „Co się dzieje? - pomyślał. - Czyżby nie do końca poważnie potraktowano mój meldunek?”. Czarna warszawa podjechała przed budynek i zaparkowała niedaleko miejsca, w którym stał Ulianow. Wysiedli z niego jacyś ubrani po cywilnemu

ludzie. Było ich czterech.

- Towarzysz Ulianow? - upewnili się.

Skinął głową, czując, że zasycha mu w gardle.

- Zdajcie broń - zażądał jeden z przybyszów.

Jeśli Ulianow miał jeszcze jakąś iskierkę nadziei, zgasła ona w tym momencie. Opuścił głowę, posłusznie odpiął kaburę, wydobyl makarowa i położył go na wyciągniętej lewej dłoni agenta.

- Pojedziecie z nami - oświadczył ten lakonicznie.

Był niski, łysiejący, ubrany w czarny płaszcz. Na twarzy miał okrągłe okulary w drucianej oprawie. Sprawiał wrażenie nikczemnego. Jego prawa ręka spoczywała spokojnie w kieszeni płaszcza i Ulianow nie musiał specjalnie się wysilać, by domyślić się, co się tam znajduje. Chciał protestować, wyjaśniać, zdawać relację ze zdarzeń, tłumaczyć się. W spojrzeniu tych ludzi było jednak coś takiego, co kazało mu zamilknąć. Posłusznie wsiadł do samochodu, który ruszył, kierując się poza bramę bazy. Kątem oka widział żołnierzy, jak trzymając broń, rozchodzą się na wszystkie strony, oceniając sytuację. Zrozumiał, że już nie sprawuje tutaj władzy.

Agenci milczeli, beznamietnie wpatrując się przed siebie. Samochód trząsał, tłukąc się po leśnej drodze. Dokąd go wiozą? Nagle wszystko zrozumiał. Oni wiedzieli. Wiedzieli wszystko od samego początku, obserwowali jego poczynania. Był mięsem armatnim, częścią eksperymentu. Tam, w podziemiach Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego, w podziemnym mieście, rzeczywiście coś się znajdowało. Coś skrajnie niebezpiecznego, a on, Ulianow, uwolnił to. Teraz będą starali się zatrzeć sprawę, zatuszować, sprawić, by pamięć o wszystkim znikła. Rodziny zabitych otrzymają lakoniczne zawiadomienia, orderzy i rentę po poległych. Nikt nie odważy się pytać o szczegóły. On sam natomiast zostanie zlikwidowany, jako nieudolny agent, ale przede wszystkim jako człowiek, który wie zbyt wiele.

Samochód zatrzymał się. „Wysiadać!”. Ulianow był niemal nieprzytomny ze strachu. Stał na dygocących nogach. Wiedział jednak dobrze, gdzie się znajduje. W pobliżu wejścia do podziemnego miasta. Zanim jeszcze w głowie zaświtała mu jakakolwiek myśl, jego dłoń machinalnie musnęła kieszeń. Latarka znajdowała się na miejscu. Tego mu nie zabrali. Szansa, że

jeszcze zdoła jej użyć, była bliska zeru, ale... istniała.

- Dlaczego mnie tu przywieźliście? - zapytał drżącym głosem.

Jeden z agentów roześmiał się cicho, jakby usłyszał dobry dowcip.

- Chcieliśmy z wami, towarzyszu, porozmawiać. Tutaj nikt nie będzie nam przeszkadzał. Opowiedzcie nam, co wiecie o podziemnym mieście. - Powiedział to tonem człowieka, który jeszcze raz chciałby usłyszeć znaną już, lecz ulubioną historyjkę.

Oczywiście Ulianow wiedział, że to zmyłka. Nie spieszyli się. Delektowali się chwilą. Zapalali papierosy z właściwą sobie nonszalancją, jakby sycąc się jego strachem. A może rzeczywiście chcieli go przesłuchać, dowiedzieć się czegoś, czego może jeszcze nie wiedzieli. Zanim go sprzątną. Ulianow spojrzał w niebo. Nastawał świt.

Nagle gdzieś niedaleko huknęły strzały. Dwa, jeden za drugim. Agenci rozejrzeli się z niepokojem. „Teraz albo nigdy” - pomyślał i dał drapaka.

- Stój!

Natychmiast huknął strzał, ale pocisk chybił, odłupując z sosny drzazgę. Skądś wiedział, że strzelał mały nikczemny człowieczek w okularkach. Nie oglądał się jednak, jak oszalały pędził z głową nisko pochyloną nad ziemią i schowaną w ramionach. W stronę bunkra. Była jedna szansa na milion, że mu się uda. Zamierzał jednak tę szansę wykorzystać w stu procentach. Jeśli uda mu się dopaść do bunkra i ukryć w środku... jest prawie uratowany. To nie może być daleko. W podziemiach spróbuje zgubić pogoń. Ma latarkę.

Znów strzał, świst kuli, ale gdzieś wysoko nad głową. Za nim było słycać trzaski roztrzączanych przez pościg gałęzi. Delikatna poranna mgła ścieląca się pomiędzy drzewami działała na jego korzyść. Parł przed siebie całą energią strachu, a miał go w sobie teraz bardzo wiele. Olśniła go szaleńcza myśl. Tak genialna i wielka, jak słońce. Legendarny pociąg. Metro. Nie podejrzewał, oczywiście, że nawet gdyby pociąg Hitlera, jak twierdzili Polacy, rzeczywiście znajdował się w podziemnym mieście, to nadal nadawałby się do ucieczki. Major i Władek musieli jednak jakoś wydostać się z podziemi. Istniało więc stamtąd inne wyjście, umożliwiające zgubienie pościgu. To był jego plan w wersji minimalnej. W wersji maksymalnej zaś - tunel metra, gdyby tylko okazał się możliwy do przebycia, mógłby okazać się sposobem na ucieczkę poza granice Polski, a być może nawet - jak głosiła

legenda - do Berlina Zachodniego.

Najtrudniejszym etapem ucieczki było pokonanie otwartej przestrzeni dzielącej las od wejścia. Tam, jak na złość, mgły mogło w ogóle nie być. Przez kilkanaście sekund będzie stanowił idealny cel. Mógł albo biec zygzakiem, by utrudnić ścigającym go agentom trafienie, albo spróbować przebyć tę odległość szalonym sprintem. Wybrał to drugie. Chociaż serce niemal wyrwało mu się z piersi, przyśpieszył jeszcze bardziej, by zyskać na czasie i zwiększyć dystans. Powinien znaleźć się przy wejściu do bunkra w tym momencie, w którym pierwszy ścigający go agent wypadnie na polanę.

Z miejsca, w którym wynurzył się z lasu, miał do przebycia jakieś czterdzieści metrów dzielące go od upragnionej kryjówki. Bardzo dużo jak na człowieka, do którego strzelają. Nie zastanawiając się wiele, pognął na łeb i na szyję. Kiedy był w połowie dystansu, z lasu wypadł pierwszy ze ścigających go ludzi. Zastanawiał się przez krótką chwilę, czy biec dalej za uciekinierem, czy złożyć się do strzału. To były cenne dla Ulianowa sekundy, dzięki którym zyskiwał niewielką przewagę. Agent zdecydował się strzelać. Wziął uciekającego Ulianowa na muszkę i pociągnął za spust. Był jednak zmęczony pościgiem, jednocześnie łapczywie łapał ustami powietrze, ręka mu drgnęła i - choć był dobrym strzelcem - chybił. Dzięki temu małemu podarunkowi od losu uciekający Ulianow zdołał dopaść do wejścia. Wskoczył w nie, nisko pochylając głowę i słysząc, jak kolejny pocisk gdzieś niezwykle blisko odłupuje fragment betonu. Skryła go ciemność.

*

Czarny bez większych trudności odnalazł betonową zaporę zatrzymującą spiętrzoną w imponującym kanale wodę. Mógł on mieć dobre pięć metrów szerokości. Głębokość trudno było oszacować, jednak kierując się wysokością samej tamy, można było przypuszczać, że wynosi co najmniej trzy metry. Cichociemny zastanawiał się nawet, czy słowo „kanał” jest w tym przypadku adekwatne. Była to właściwie niewielka sztuczna rzeka, której koryto wyryto pracą ludzkich rąk.

Jeśli zgodnie z informacjami od majora kanał łączył się z jeziorem, to po detonacji ładunku niepowstrzymana masa wody musiała runąć, zalewając zagłębienie, w którym znajdował się bunkier, i zacząć w szybkim tempie

wdzierać się do podziemi, docierając w końcu do podziemnego mauzoleum. Aby wybuch był maksymalnie skuteczny, należało w przeszkodzie wykonać odwiert, a następnie w nim umieścić dynamit i zdetonować. Na to jednak nie było ani czasu, ani możliwości. Należało więc umieścić dynamit w najślabszym punkcie zapory, to znaczy na samym jej środku. To powinno wystarczyć.

Czarny podszedł z boku do tego miejsca, posuwając się wzdłuż przeszkody. Umieścił dynamit na środku zapory. Nagle postyszał strzały. Najwyższy czas. Odpalił lont i dał dwa kroki w tył, szykując się do ucieczki. To go zgubiło. Momentalnie zapadł się w ziemię aż po pas. W pośpiechu, mimo całego swojego doświadczenia, nie zauważył prostej, zabezpieczającej to miejsce pułapki. Pod cienką warstwą ziemi, przez lata przysypaną jeszcze przez opadające z drzew liście, znajdował się dół wypełniony zwojami drutu kolczastego. Próbował się uwolnić, lecz na próżno. Drut nie był ułożony przypadkowo, stalowe pętle zaciskały się na jego nogach tym mocniej, im gwałtowniej nimi szarpał. Należało zachować spokój. Mógłby wydostać się z pułapki, gdyby miał więcej czasu. Lecz czasu nie miał już prawie w ogóle. Lont dopalał się, docierając w pobliże ładunku wybuchowego. Ile czasu jeszcze mu zostało? Nie więcej niż kilkanaście sekund. Najdłuższe kilkanaście sekund jego życia, kiedy trzeba było podjąć decyzję. Od lat przeczuwał, że taka chwila w końcu nadejdzie. Tyle razy wymknął się śmierci, lecz ta cierpliwie na niego czekała. Wiedział, że przyjdzie prędzej czy później. I tak był w lepszej sytuacji niż wielu jego kolegów, którzy zginęli rozstrzelani lub po prostu zatłuczeni przez oprawców i pochowani w bezimiennych grobach. Mógł zginąć, prowadząc działania bojowe.

Jako człowiek jednak powinien spróbować ratować swoje życie. Wiedział, co może jeszcze zrobić. W desperackiej próbie nabrał pełne garście ziemi i sypnął nią na roziskrzony lont, do którego nie był w stanie dosięgnąć. Liczył, że może zdoła go w ten sposób zgasić. Nie zdołał. W następnej sekundzie potężna eksplozja rozerwała jego ciało. Nie zdążył nawet krzyknąć. Przez zniszczoną zaporę natychmiast runęły spiętrzone masy wody. Gdyby mógł to zobaczyć, stwierdziłby, że wykonał dobrą robotę.

*

Kiedy wiele lat później Staszewski sporządzał swoje lakoniczne notatki,

nie mógł zdecydować się, jak najlepiej opisać to, co wówczas się zdarzyło. Chyba ostatecznie sam nie był tego pewien. Zapiski w tym miejscu pełne są skreśleń i poprawek. Jedno było wiadomo, ktoś popełnił straszny błąd i kimś tym najprawdopodobniej był kąpiący w gorącej wodzie Władek.

Widząc wbiegających na polanę ludzi, zbyt mocno wychylił się z zapewniającej ukrycie wysokiej trawy. Został dostrzeżony. Prawdopodobnie jeden ze ścigających uznał to za część przygotowanej na nich zasadzki. Być może pomyślał, że Ulianow nieprzypadkowo uciekał właśnie w tę stronę, wiedząc, że w pobliżu bunkra znajdują się jacyś lojalni wobec niego wartownicy. Nie jest również wykluczone, że ten właśnie agent, nadbiegając jako ostatni, nie dostrzegł momentu, w którym Ulianow wpadł do bunkra. Widząc postać w trawie, zareagował odruchowo, zapewne biorąc ją za samego uciekiniera. Podczas chaotycznej strzelaniny największe tragedie zdarzają się właśnie przez przypadek i tak najwyraźniej było też tym razem. Faktem jest, że agent KGB strzelił do skrytej w zaroślach postaci. Wtedy Władek popełnił błąd.

- Stój! - krzyknął major, ale było już za późno.

Na zawsze pozostanie tajemnicą, dlaczego Władek poderwał broń do ramienia i otworzył ogień. Major zastanawiał się nad tym wielokrotnie podczas długich bezsennych nocy. Może zwyczajnie chciał się bronić. Może jednak, już od pewnego czasu wzbierała w nim wściekłość na agentów, zwłaszcza po rozstrzelaniu cywilów, którego byli świadkami. Władek nie zdołał mu tego nigdy wytłumaczyć, ponieważ w sekundę później leżał martwy na ziemi i wpatrywał się w majora niewidzącymi oczami. Z głowy ciekła mu wąska stróżka krwi.

- Władek! - krzyknął major, choć wiedział, że jest już za późno.

Czując, jak do oczu napływają mu łzy wściekłości, posłał w stronę agentów długą serię z pepeszy. Strzelał aż wyczerpała się amunicja. Był przekonany, że trafił co najmniej dwóch. Pozostali dwaj zdołali skryć się na powrót za drzewami. Potem wyrwał pepeszę z rąk Władka i nadal ostrzeliwując się, umknął w las. Wtedy jeszcze nie wiedział, że Czarny również nie żyje, choć przeczuwał już, że stało się coś złego, bowiem spadochroniarz nie pojawił się po wykonaniu zadania i major nie zobaczył go już nigdy więcej. Wiele lat później, kiedy udało mu się zbadać okolice wysadzonej tamy, odkrył zwoje splątanego, do cna przerdzewiałego już

drutu. Znalazł również przegniłe strzepy munduru oraz guziki i domyślił się przebiegu zdarzeń. Nie odnalazł natomiast szczątków. Być może woda przeniosła je w jakieś inne miejsce, skąd ktoś je zabrał. Sądził, że zajęli się tym zacierający ślady Rosjanie.

*

Ulianow posłyszał gwałtowną wymianę ognia na polanie przed bunkrem. Strzały z automatycznej broni. Dotarło do niego, że pojawił się jeszcze ktoś trzeci. Nie miał jednak ani chwili czasu, by zastanawiać się, kim są ci niespodziewani wybawcy, którzy zatrzymali podążającą za nim pogoń. Z pewnością byłby zaskoczony, gdyby poznał prawdę. Czuł, że jest prawie uratowany. Zapalał i zaraz gasił latarkę, by jej światło go nie zdradziło. Na razie należało jedynie biec jak najszybciej przed siebie.

Po pokonaniu około stu metrów skrył się w jednym z opustoszałych pomieszczeń i pozwolił sobie nawet na to, by opaść na ziemię, wspierając się o ścianę plecami. W podziemiach ukryje się, przeczeka, spróbuje odnaleźć jakieś inne wyjście. Nie opuszczała go również myśl o ciągnącym się aż poza granice Polski legendarnym metrze. Oczywiście przebycie takiej odległości pieszo wiązałoby się z niemałym wysiłkiem. Nie posiadał zapasów żywności ani nawet wody pitnej, żadna latarka nie wytrzymałaby tak długo... A jednak Polacy jakoś sobie poradzili; weszli do podziemi i wyszli stamtąd, cali i zdrowi, w jakimś zupełnie innym miejscu, ponieważ ludzie Ulianowa obserwowali bunkier. Przebywali tam, pod ziemią, wiele godzin. Jeśli oni sobie poradzili, czemu jemu miałyby się nie udać?

Nasłuchiwał. Nikt go nie ścigał. Na polanie musiało się coś wydarzyć, ale działało to jedynie na jego korzyść. Kiedy ochłonął nieco, wyrzął ostrożnie na korytarz. Potem wyszedł i śpiesznie podążył znaną już sobie trasą. Mijał boczne korytarze, tonące w ciemności i prowadzące nie wiadomo dokąd. Raz opanowało go nawet poczucie, że mógł zabłądzić, ale szybko odzyskał orientację. Miał dobrą pamięć do szczegółów. Udawał się wprost do podziemnego mauzoleum, by stamtąd przedostać się w czeluście podziemnego miasta i w nich szukać ratunku.

Kiedy był już prawie na miejscu, przed wejściem, odniósł wrażenie, że skądś dobiegł do jego uszu stłumiony odgłos wybuchu. Musiał on być bardzo

głośny, skoro posłyszał go aż tutaj. Ostrożnie przekroczył zagradzające mu drogę rumowisko i wszedł przez otwór. Czuł się coraz bardziej niepewnie. Nadal wierzył głęboko, że istnieje jakieś racjonalne wyjaśnienie tego wszystkiego, co widział i co się wydarzyło. Był przesiąknięty nauką o materializmie. Na kursie filozofii marksistowskiej nauczono go, że zjawiska uważane niegdyś przez zabobonnych ludzi za niezwykle, z czasem dzięki potędze nauki znajdują swoje, często banalne, wyjaśnienia. Prowadzący zajęcia wykładowca przytaczał niezliczone przykłady ludzkiej łatwowierności, naiwności, myślenia życzeniowego czy wreszcie głupoty, która doszukiwała się zjawisk nadprzyrodzonych wszędzie tam, gdzie współczesna wiedza była chwilowo bezsilna.

Nie mógł jednak nic na to poradzić, że przed oczyma stawały mu zmasakrowane ciała strzegących podziemi agentów KGB. Zostali zabici w okrutny sposób, a teraz on sam znajdował się w tajemniczym mauzoleum. Na dodatek - bez broni. Jego jedyny oręż stanowiła latarka. Na jak długo mu wystarczy? Rozumiał niebezpieczeństwo płynące z samej ciemności. Nad innymi ewentualnościami wołał się zbyt wiele nie zastanawiać.

Wstrzymał oddech. Do jego uszu dobiegał jakiś dziwny wzmagający się szum. Nie miał jednak pojęcia, co może on oznaczać. Nagle spojrzął pod nogi. Woda. Skądś wpływała do mauzoleum, a jej poziom zdawał się gwałtownie podnosić. Wytrwale brnął jednak przed siebie, pokonując betonowe pomosty.

Nagle w miejscu, w którym znajdował się sarkofag, zapłonął jasny ogień. Ulianow, który znajdował się w odległości może dwudziestu metrów od niego, stanął jak wryty w ziemię. Potężny płomień przybierał kobiecą postać. Chciał rzucić się do ucieczki, ale nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Jego ręka w absurdalnym odruchu podążyła do kabury, ale nie znalazła tam tego, czego szukała. Uciekając, popełnił fatalny błąd, docierając aż tutaj. Mógł obserwować, jak płomienna zjawa majestatycznie odwraca się w jego stronę. Udawała się już na spoczynek, nasycona krwawym żniwem nocy. Przez moment Ulianow ujrzał jej kły, zwierzęce i niebywale ostre. Dostrzegł też pazury, przypominające szpony dzikiego zwierzęcia, i naszyjnik z trupich czaszek. Najstraszniejsze było jednak spojrzenie, które zdawało się chwytać jego duszę w żelazne sidła. Miał wrażenie, że spogląda w zimną, bezbrzeżną otchłań kosmosu, ku innym, pełnym przerażających kształtów światom, o jakich śnił czasem szaleńcy. Niczym objawienie spłynęła na niego nagła

świadomość, że śmierć, jakkolwiek straszna i bolesna, nie będzie wcale końcem jego gehenny. Porzucił słodką nadzieję nadchodzącej w cierpieniach utraty świadomości. Teraz należał do niej, był jej własnością.

Woda wzbierała i zbliżała się do sarkofagu, otaczając go ze wszystkich stron, przelewając kanały i wzbierając nieustannie, co zdawało się jeszcze bardziej potęgować gniew bogini. Ogień przybrał na sile, starając się jakby podjąć walkę ze swoim odwiecznym wrogiem - wodą. Dwa żywioły starły się w zacieklej walce. Mauzoleum wypełniał syk i kłęby pary. Przez moment Ulianow wierzył, że nagła powódź go ocali, jednak już w następnym momencie wyciągnęły się w jego stronę długie ramiona, wystrzeliły ponad wodą strumienie ognia. Poczuł, jak straszny ból smaga jego twarz i opadł na kolana. Spodziewał się następnego ataku - uderzenia uzbrojonych w sierpy ramion. Zamiast tego posłyszał opętane wycie, które przeszło go aż do szpiku kości. Kiedy odgłos umilkł, wokoło rozlegał się tylko szum wody, ogarniającej jego ciało i zalewającej podziemne mauzoleum. Ulianow zrozumiał, co się stało. Nie zginął, ale stracił wzrok. Jego oczy zostały wypalone.

18.

Major Staszewski, sporządzając swoje notatki, nie wiedział, co tak naprawdę przytrafiło się agentowi KGB, który szukał ratunku w podziemnym mieście. Przypuszczał, że mógł on zwyczajnie utonąć po tym, jak Czarny wysadził tamę. Jednak przez te wszystkie lata, kiedy mieszkał samotnie w starym leśnym domu, przypuszczał, że Ulianow mógł jednak jakimś sposobem ocaleć. Agent nawiedzał go wielokrotnie w dziwnych snach. Oślepiiony, z oczami wypalonymi ogniem bogini Kali, przemienił się w coś na kształt zwierzęcia, przemierzającego przypominające grobowce zakamarki podziemnego miasta i karmiącego się zdechłymi szczurami. Innym znów razem widział go w sennych majakach, jak jakimś cudem wydostaje się po omacku na powierzchnię przez szyb ewakuacyjny i przemierza las w poszukiwaniu pożywienia.

Wiele razy, rozmawiając z miejscowymi, słyszał niepokojące wzmianki o dziwnym, przypominającym żywego trupa człowieka, który wyłania się z lasu i pod osłoną nocy atakuje samotnych wędrowców. Nigdy nie wierzył w te brednie. Zawsze jednak, kiedy w jego śnie pojawiał się Ulianow, na samym końcu agent odwracał się w jego stronę, wpatrując się w twarz majora niewidzącymi oczodołami. Jego poparzoną twarz rozciągał zagadkowy grymas, jakby starał się mu coś powiedzieć.

Po tym, jak ostrzeliwując się z zabranej Władkowi pepeszy, zdołał umknąć przed ścigającymi go agentami KGB czekało go najtrudniejsze zadanie. Musiał powiadomić Wandę o śmierci jej ukochanego. Wiedział, że nikt inny nie powie jej całej prawdy. Dziewczyna przyjęła tę wieść w milczeniu i major mógł się jedynie domyślać, co stało się w jej sercu, które nagle umarło. Rok później popełniła samobójstwo. Po tym zdarzeniu jej rodzice wyprowadzili się i nikt nie wiedział, dokąd się udali. Obecnie dom, w którym mieszkała Wanda, został zasiedlony przez inną rodzinę, z dwójką dzieci. Major uznał, że nie powinien opowiadać im tej historii.

Dalszy scenariusz napisało samo życie. Kiedy Staszewski wracał z domu Wandy, na drodze zatrzymał go patrol Milicji Obywatelskiej. Jego nazwisko znajdowało się na liście poszukiwanych przestępców. Osadzono go w areszcie śledczym, a potem, po pokazowym procesie, skazano na karę śmierci. W końcu zamieniono mu ją na dożywocie, a ostatecznie - trafił do Szpitala dla Psychiczenie i Nerwowo Chorych, w Obrzycach. Diagnoza

brzmiała: „zespół urojeniowo-omamowy”. Tam też przesiedział aż do przemiany ustrojowej, kiedy to udało mu się wyjść na wolność.

Nie wiedział, co ze sobą począć. Nie mógł liczyć na niczyją pomoc. Rodzice pomarli, a on sam utrzymywał się ze skromnej renty. Odebrano mu wojskowe dystynkcje. Dla świata stał się nikim. On, który swego czasu, razem z Władkiem, w podziemnym mieście ocalił ten sam świat przed zagładą. W zasadzie wolałby wrócić do szpitala. Planował nawet popełnić samobójstwo. W tym strasznym życiowym położeniu pomógł mu proboszcz z pobliskiej miejscowości, Templewa. W głębi lasu, nieopodal Kęszycy, znajdowało się zapomniane osiedle popadających w ruinę i opuszczonych domków. W jednym z nich mieszkała samotna staruszka. Staszewski, dzięki protekcji księdza, zyskał dach nad głową w zamian za pomoc w codziennych sprawunkach oraz przeprowadzanie drobnych napraw. Jego protektorka niebawem zmarła, pozostawiając jednak testament, w którym wyznaczyła majora na swojego spadkobiercę.

*

A jeśli faktycznie jestem szalony? Jeśli lekarze mieli rację? Tłumaczyli mi to wiele razy. Zespół urojeniowo-omamowy. Nie jestem majorem. Nie jestem nawet żołnierzem i nigdy nim nie byłem. To, że uważam się za majora, jest skutkiem charakterystycznej dla zespołu urojeniowo-omamowego megalomanii. Nigdy nie skończyłem żadnych szkół. Mój wyuczony zawód to drwal. Wanda, Władek i Czarny, a nawet sam Ulianow - nie istnieli. Nie ma podziemnego miasta i mauzoleum. Nigdy nie było reaktora atomowego i komputera, który wówczas określili mianem maszyny elektronicznej.

Więc dlaczego tak dobrze pamiętam twarze moich przyjaciół? Słyszę ich głosy, jakby to było wczoraj? Czuję ich obecność w moim domu podczas długich wietrznych nocy, gdy za oknami szaleje burza? Wiem, że mnie odwiedzają. Przychodzą do mnie, by ulżyć mojej samotności.

A skąd mundur? Skąd broń? Mundur można kupić w sklepie, uszyć go na zamówienie. Broń można znaleźć lub ukraść, przechowywać przez lata ukrytą w lesie, jeśli tylko zatopić ją w oleju silnikowym.

Kim więc jestem?

Jestem żołnierzem Wojska Polskiego. Majorem Staszewskim.

Nie postradałem zmysłów. Znam tajemnice, których oni się boją. Uważają, że jestem nieszkodliwy, posiadam papiery wariata. Sam oświadczyłem, że jestem niespełna rozumu. Musiałem to uczynić, żeby dostać rentę. Musiałem udawać wariata, by ocalić życie. Stałem się pośmiewiskiem.

Pisać, pisać, jak najprędzej. To nakaz. Ludzie muszą się dowiedzieć prawdy. Są tacy, którzy nie uwierzą. Muszą się jednak znaleźć inni, których sprawa zainteresuje. Może kiedyś... już po mojej śmierci - zostaną zrehabilitowany. Może na moim grobie pojawi się słowo „żołnierz polski”. Salwa z broni odda cześć tym, którzy polegli. Chwała bohaterom! Wieczna chwała!

*

Notuje pośpiesznie swoje zakończenie. Dopisuje pojedyncze słowa, skreśla, poprawia. Czy aby czytelnik domyśli się właściwego przebiegu zdarzeń? Może ujął pewne sprawy zbyt pobieżnie, skrótowo. Ten przekłęty lakoniczny wojskowy styl. Cała nadzieja jednak w spotkanym w lesie człowieku. Dobrze patrzyło mu z oczu, sprawiał wrażenie takiego, który wiele potrafi zrozumieć. Może on zdoła ubrać to wszystko we właściwe słowa. Ale czy rzeczywiście jest pisarzem? Może to jeden z nich...? Cóż warta jest taka wizytówka... Mógłby go sprawdzić, ale nie ma na to czasu. Znowu przekroczono granicę, groza dawnych dni powraca, jest już u drzwi. Trzeba będzie zawierzyć instynktowi.

Wkłada notatki do dużej szarej koperty. Zakleja ją, dużymi drukowanymi literami przepisuje z wizytówki adres, nakleja znaczek. Wychodzi z domu i wrzuca przesyłkę do czerwonej skrzynki na listy, znajdującej się przy skrzyżowaniu dróg.

Wie, że ostatni, najważniejszy rozdział opowieści nie jest jeszcze skończony. Napisze go osobiście. Tym razem jednak nie przy użyciu papieru, ale krwi. Tak jak należy to uczynić. Jak wymaga tego legenda i stary rytuał zawarty w indyjskich pismach, które powstawały na długo przedtem, nim narodziła się europejska cywilizacja. Miał wystarczająco dużo czasu, by się do tego przygotować. Słońce już całkowicie skryło się za horyzontem.

Ona go znajdzie. Jest tego pewien. Jest jak pies gończy, nawet po tylu latach. Śmierć Alka nie była przypadkowa. To ostrzeżenie. Trzymaj się z

dala, stary durniu. Przybędzie tutaj, ponieważ znów ją uwolniono. Być może przypadkowo, penetrując zakazane podziemia. Może jednak celowo. Siła tak wielka zawsze będzie stanowiła pokusę dla każdego, kto wie o jej istnieniu. Podobnie jak podziemne miasto wraz z jego sekretami zawsze będzie przyciągało ludzi pokroju Ulianowa, żadnych nieprzebranych bogactw zgromadzonych w pociągu Hitlera.

Tym razem, choć wcześniej robił to przez dziesiątki lat, nie zamyka za sobą drzwi wejściowych. Obserwuje swoją twarz, kiedy starannie goli się przed lustrem. Zaczesał posiwiałe włosy. Musi to być złudzenie, lecz przez chwilę zdaje mu się, że w odbiciu znów widzi tego samego człowieka, którym był przed laty. Pełnego odwagi, dumy i werwy majora Staszewskiego.

Potem wyciąga z szafy mundur, który istotnie za oszczędzone z trudem pieniądze kazał uszyć krawcowi, na wzór tamtego dawnego, sprzed lat, który mu odebrali. Do pasa przypina kaburę, a w niej umieszcza sędziwego jak on sam visa. Na nogi zakłada lśniące i wypastowane wysokie oficerskie buty. Na głowę czapkę z orzełkiem. Jest gotów. W ręce nieodłączna latarka.

To prawda, że jest już stary, choć trzyma się prosto jak struna. Ta noc jednak będzie inna. Przez ten czas to duch będzie władał nad materią. Staszewski nie używa takich wyszukanych sformułowań. Czuje jednak wypełniającą jego ciało moc. Myśli o powstańcach warszawskich, o tych z Westerplatte i spod Monte Cassino.

Wychodzi przed dom i spogląda w nocne niebo, na którym widać nieprzeliczone gwiazdy. Może to stamtąd przybyła? Chmury nadciągają już znad lasu, wiatr wzmaga się ospale. Staszewski wie, co to może oznaczać. Ona powróci tu niebawem, jak zawsze żądna krwi i zniszczenia, pradawna bogini pól bitewnych i krematoriów. Odwieczne zło przywołane przez sektę thugów na rozkaz samego Himmlera, zafascynowanego wiedzą tajemną niegodziwca. Godziny mieszkańców wioski są policzone.

Czas teraz wywiązać się z rozkazu, którego nikt nie odwołał. Ma bronić tych ludzi. Kroczy dumnie pod baldachimem drzew, oświetlając sobie drogę latarką. Wokoło słychać wzbierający pośród lasu złowieszczy wicher.

W końcu dociera do wioski, staje na drodze i głośno woła:

- Mieszkańcy wsi! Obudźcie się! Do mnie! Natychmiast!

Gdzieniegdzie otwierają się okna. Kto tam wydziera się po nocy, kiedy przecież w telewizji serial? Nie dają ludziom odpocząć, a przecież jutro z rana trzeba znów iść do roboty. Kto da jeść zwierzętom, kto zaorze pole, kto zarobi na chleb?

- Cicho tam, stary dziadzie! - słyhać jakiś głos. - Wypił sobie i dokazuje.

- To ten wariat, co mieszka w lesie - wtóruje mu jakiś inny. - Gorzały się nachlał!

Major jednak nie ustępuje. Głośno, z uporem ponawia swoje wezwanie:

- Ludzie! Do mnie!

Kątem oka widzi, jak wichher dociska czubki potężnych sosen. Czy nikt tego nie dostrzega? Zabarwione ognistym blaskiem chmury zbliżają się, przesłaniają nocne niebo. Gdzieś tam, w oddali - błyski. Nadchodzi nawałnica. Taka jak wtedy. Taka jak zawsze, gdy ona się zbliża. Pogromczynie radzieckich dywizji. Siła zdolna powstrzymać armie.

Ludzie wyłażą z domów. Powoli gęstnieje niewielki tłumek. Widać mężczyzn, kobiety, dzieci. Większość łypie na niego nieufnie, z niechęcią. Jakiś dzieciak, może siedmioletni, podnosi z ziemi kamyk i rzuca nim w majora. Wywołuje to ostrożny aplauz. Ktoś pstryka mu zdjęcie telefonem komórkowym. Słyhać chichoty.

- Widziałem go, jak po wsi łąził. - Naprzód wysuwa się rosły mężczyzna. Major rozpoznaje w nim ojca Alicji, dziewczynki, która niedawno zabłądziła w okolice jego domu. - Koło dzieci się kręcił. Wszyscy wiedzą, że w więzieniu, a potem w psychiatryku siedział.

Ludzie skądś wiedzą, choć major przez wszystkie lata ukrywał sekret swojej przeszłości. Nadal jest wystarczająco bystry, by zrozumieć, że to nie przypadek. Cały czas był i jest obserwowany. Ktoś pracował na jego opinie całymi latami.

W głosie mężczyzny słyhać satysfakcję. Niech ludzie wiedzą, co to za gagatek z tego starego dziwaka, co opowiada, że jest majorem. Dość już takich jak on mąciwodów, co z renty żyją i nie chcą się brać za uczciwą pracę. Pewnie w dodatku kradnie z lasu drewno, widział go przecież nie raz, jak bez celu między drzewami łąził, a przecież po co do lasu się chodzi, jak nie po to by drewno kraść? Nawet dziecko to zrozumie.

- Grozi wam wielkie niebezpieczeństwo - oznajmia major. - Przed wielu laty agenci KGB uwolnili ukryte w podziemiach zło. Zostało ono przywołane tutaj na rozkaz Himmlera, przez ludzi nazywanych thugami. Pożary we wsi to nie przypadek! Spójrzcie na czubki osmalonych drzew. Ktoś powtórnie uwolnił boginię stosów ofiarnych i pieców krematoryjnych, Kali. Tej nocy ona powróci! Musicie natychmiast opuścić domy i uciekać. Ja stawię jej czoło.

W odpowiedzi słyszy chóralny wybuch wrogiego śmiechu. Zwariował! Stary dureń! Idź do domu! Człowieku, idź do domu, zanim wezwiemy policję, nie zakłócaj ciszy nocnej. Ludzie muszą się wyspać, żeby rano wstać do roboty.

- Aleś się, cudaku, przebrał! - woła jedna z kobiet, niska, korpulentna, koło czterdziestki. Wygląda jak szykujący się do ataku nosorożec. - Jak na dożynkową paradę!

Tylko jedna osoba mu wierzy. Jest nią dziesięcioletnia Alicja, z warkoczami i grubymi okularami sklejonymi plastrem. Ojciec stwierdził, że jest niezdarą, wszystko psuje i łamie, a on przecież ma pilniejsze wydatki niż kupowanie dzieciakowi nowych okularów. Poza tym major jest taki niezwykły, taki tajemniczy, mimo starości taki piękny w tym swoim mundurze, wysokich lśniących butach i wojskowej czapce. Przypomina postać z książek, które dla niej zawsze były odblaskiem jakiegoś innego, lepszego świata.

Zanim ojciec zdoła ją powstrzymać, podbiega do majora i łapie go za rękę.

- Ja panu wierzę. To chodzi o ten sam ogień, co spalił pana psa.

Major z powagą kiwa głową.

- Tak, to ten sam ogień. Teraz przyjdzie po was.

- Oddawaj dziecko! - ryczy ojciec.

Tłum pomrukuje groźnie. Ludzie otaczają go coraz ciasniejszym kołem, coś im się nie podoba, coś węższą... Dlaczego dziewczynka podbiegła do tego starego człowieka i złapała go za rękę? Czemu go objęła? Musiał widocznie wcześniej coś jej nagadać, namieszać w głowie, naopowiadać jakichś starych bajek. Wcześniej myśleli o nim z pogardą, teraz zdaje im się niebezpieczny.

Jak mogli dopuścić, by ktoś taki przez tyle lat mieszkał bezkarnie obok nich?

Ruszają w stronę ubranego w mundur starca, lecz zatrzymują się jak wryci. Dłoń, która mimo upływu lat nie utraciła wiele ze swojej szybkości, płynnym ruchem wydobywa z kabury visa. Od majora, trzymającego za rękę Alicję, dzieli ich nie więcej niż kilka metrów. Gdyby ruszyli na niego wszyscy hurmem, nie miałyby żadnych szans. Nikt jednak nie chce być pierwszy, nikt nie chce się wychylać. Przecież to wariat, psychiczny. Siedział w więzieniu, kto wie, co takiemu może strzelić do głowy? Mężczyźni, ci którzy byli w wojsku, z uwagą usiłują przyjrzeć się broni. Wygląda nieco staroświecko, ale może być sprawna. I prawdziwa.

- Więc dobrze! - z gniewem woła Staszewski. - Chcecie, to gińcie. Ja uratuję przynajmniej tę małą. Nic więcej nie mogę zrobić!

- Alicjo, wracaj natychmiast! Sprawię ci takie lanie, że popamiętasz! - woła ojciec dziewczynki, jednak ona ani myśli wracać. Mimo wszystko nie boi się tego dziwnego człowieka w mundurze. Czuje, że może i jest niezwykły, ale wcale nie chce zrobić jej krzywdy. Chce ochronić ją przed czymś strasznym, czymś, co ma wydarzyć się lada moment.

- Wziął zakładnika! - Słysząc wzburzone głosy. - Grozi tej małej bronią! Szybko, dzwonić po policję!

Stary major tymczasem, trzymając wszystkich w szachu groźbę użycia swojego visa, cofa się, trzymając Alicję za rękę. Nie, to ona trzyma jego. To niezwykle dziecko stanęło po jego stronie. Wycofują się i niebawem nikną za zasłoną drzew.

- Skryjemy się teraz w domu - informuje dziecko major. - Będziesz grzeczna i będziesz robiła dokładnie to, co ci powiem. Wiesz, co to wojsko?

Alicja posłusznie przytakuje. Czy... na pewno zrobiła dobrze, idąc z tym człowiekiem do jego domu? Przecież... prawie w ogóle go nie zna! Rodzice tyle razy powtarzali jej, by unikała kontaktów z nieznajomymi.

- A więc dobrze - kontynuuje major. - To będzie taka jakby zabawa w wojsko. Tylko całkiem na poważnie. Kiedy ci powiem, schowasz się na tyłach domu i będziesz siedziała tam jak myszka pod miotłą. Nieważnie, co będzie się działo. Możesz słyszeć różne odgłosy. Straszne krzyki i nawoływania. Nie wolno ci na nie reagować.

Zaprowadził dziecko do swojej sypialni. Dokładnie zasłonił okna. W pokoju zapanowała teraz ciemność, rozjaśniana jedynie nikłym blaskiem padającym od umieszczonej w kuchni, nakrytej czerwonym abażurem lampy. Alicja spojrzała na niego ze strachem w oczach. Coraz bardziej żałowała, że zdecydowała się podbiec do majora. Nagle pomyślała, że może zdołałaby uciec z powrotem do wsi. Musi tylko być grzeczna, postarać się, by zwariowany pan major zostawił ją na chwilę samą.

- Tak. Będę posłuszna. Nie robi mi pan krzywdy, prawda?

Major uśmiechnął się, wyciągnął dłoń i pogłaskał Alicję po głowie. W tych ciemnościach jego uśmiech mógł oznaczać wszystko.

- Musisz być bardzo dzielna. Od tego wiele zależy - odparł.

Potem zostawił dziewczynkę samą i wdrapał się na pięterko, by zlustrować okolicę. Wszystko działo się tak, jak przypuszczał. Krwawa luna na horyzoncie zbliżała się. Błyskały pioruny. Jak wtedy, jak przed laty. Powinna tu już być! Dlaczego jeszcze nie nadchodzi? Był przecież pewien, że się przebudziła. Płomienna strzyga, postrach radzieckich żołnierzy. Upiór z zamierzchłych czasów, który być może istniał, zanim na ziemi pojawił się pierwszy człowiek. Pradawna siła uosabiająca twórcze zniszczenie, czczona przez szalonych thugów.

Jeszcze raz drżącymi dłońmi przewertował stare indyjskie teksty, wszystko się zgadzało. A jeśli to nieprawda? Jeśli są to jedynie spisane podania, legendy, jakie ludzie powtarzali sobie przed tysiącami lat? Coś na kształt opowieści o Troi lub zamieszkujących Olimp bogach? Należało spróbować, to była ostatnia deska ratunku. Ostatni sposób, aby się jej pozbyć.

Czekał. Nagle posłyszał z dołu jakiś stukot. Dobrze znał stary dom, więc wiedział, że ktoś skradał się do drzwi. Zrozumiał. Wykazał się nieostrożnością. Najszybciej jak potrafił zbiegł po schodach i zobaczył wymykającą się dziewczynkę. Popędził za nią. Dzieci w tym wieku biegają bardzo szybko i z pewnością nie dałby rady jej dogonić. Miał jednak szczęście, Alicja zawadziła nogą o próg i jak długa wyłożyła się na ziemi. Z nosa spadły jej sklezione plastrem okulary. Dopadł ją jak wąż, złapał za ubranie. Wyrwała się.

- Pomocy! - krzyknęła histerycznie. - Niech pan mnie puści! Ja... nikomu nic nie powiem! Niech mnie pan nie zabija!

- Cisza! - huknął major i potoczył wzrokiem po zaroślach. - Właź do domu!

Siłą zmusił ją, by wstała z ziemi. Cały czas mocno trzymał dziecko za ramię, by nie mogło mu się wyrwać. Zaprowadził Alicję z powrotem do swojej sypialni. Trzeba coś z tym zrobić, nie może mu uciec. Wziął krzesło i niezgrabnie przywiązał do niego dziewczynkę za pomocą sznura, na którym zwykle rozwieszał pranie. Kiedy padało, chował starą konopną linę do domu, aby nie namokła.

- W życiu nie spotkałem równie niesfornego żołnierza - oznajmił.

Alicja była zbyt przerażona, by cokolwiek odpowiedzieć. Pociągała tylko nosem i chlipała cicho. Jej życie dobiegało końca i nic nie mogła na to poradzić.

- Nie becz! - uciszył ją Staszewski. - Podczas akcji wojskowych trzeba nad sobą panować. Dobrze zrobiłaś, że ze mną poszłaś. Nie mogę teraz jednak pozwolić, żebyś uciekła! Trzeba złożyć ofiarę.

Wpatrywała się w niego spoza okularów. Jaką ofiarę? Nie miała jednak odwagi zadać tego pytania... chyba dlatego, że znała na nie odpowiedź.

Staszewski wyszedł z sypialni, zostawiając dziewczynkę przywiązaną do krzesła. Czy na pewno dobrze zacisnął sznur? Dzieci w tym wieku są bardzo zręczne i gibkie. Nie może pozwolić tej małej uciec. Nie teraz. Nadchodzi czas całopalenia, ofiarnego stosu. Tylko w ten sposób można ją odesłać. Tak mówią stare pisma.

*

Policja z Międzyrzecza zjawiała się szybko. Rozpaczliwe telefony od mieszkańców zrobiły swoje, na miejsce przyjechały aż trzy migoczące niebieskimi światłami radiowozy. Wypadli z nich funkcjonariusze. Gdzie jest ten uzbrojony porywacz? Gdzie zwyrodnialec, który porwał małą dziewczynkę?

Ludzie, bardziej podekscytowani niż przestraszeni, tłumnie oblegają wysokiego policjanta, którego skronie zdobi już siwizna. Twarz ma poważną, przejętą, takiej historii nie było tu jeszcze nigdy. Tylko patrzeć, jak zjawi się prasa i telewizja. Żarłoczne hieny pojawiają się wszędzie, gdzie wydarzy się

coś strasznego. Wszystkiemu winni są najczęściej gapie, którzy robią zdjęcia, kręcą wszystko telefonami komórkowymi i cichaczem dzwonią na gorące linie, licząc, że również im dane będzie to niewielkie pięć minut sławy. Lub pieniądze.

Wysoki, niemłody już policjant przejmuje dowodzenie akcją. Podkomisarz Konecki wie, że nie wolno popełnić błędów, najważniejsze jest trafne rozpoznanie sytuacji. Jest wiele pouczających przykładów, w których niewielka pomyłka kosztowała ludzkie życie. Nie trzeba szukać daleko, ot chociażby ta niedawna akcja w Warszawie, kiedy patrol próbował zatrzymać niebezpiecznego awanturnika uzbrojonego w siekiere. Szaleniec wybiegł na ulicę, a policjanci w dobrej wierze oddali wymagane przez procedury strzały ostrzegawcze. Młodzi, niedoświadczeni, zapomnieli, że nad nimi znajdują się wypełnione gapiami balkony. Jedna postronna osoba zginęła, a druga została ranna. W takiej sytuacji zawsze gniew opinii publicznej skupia się na policjantach.

Ludzie gadają jeden przez drugiego.

- Zatkanął jej usta dłonią, przerzucił przez plecy i uciekł z dzieckiem do lasu.

- Zaszył się w tym swoim starym domu, o tam, prosto ścieżką, niedaleko stąd.

- Strzelał, żeby nas pozabijać.

- Nie, nie strzelał przecież!

- Ale mógł.

„Jedno wiadomo... - myśli szybko Konecki. - Trzeba bandytę okrążyć, ale nie podejmować żadnych działań aż do przybycia antyterrorystów. Uniemożliwić mu ewentualną dalszą ucieczkę, w żadnym wypadku nie narażać życia dziecka. Oddział specjalny jest już w drodze, może pół godziny i będą na miejscu. To fachowcy”.

Policjanci dzielą się na mniejsze grupy. Uzbrojeni w pistolety i latarki biegną ścieżką prowadzącą do domu majora.

- Nie za blisko! - ruga ich podkomisarz przez radiowy nadajnik. - Okrążyć, ale nie prowokować!

Z szaleńcami nie ma żartów. Różnie mogą zareagować na widok policyjnych mundurów. Wraz z antyterrorystami powinien pojawić się policyjny negocjator. Spróbuje rozmawiać z tym człowiekiem, a jeśli to nie przyniesie skutku, przypuszczają szturm, żeby odbić dziecko.

Policjanci, podzieleni na dwu- i trzyosobowe zespoły, przedzierają się przez las. Warunki pogodowe są bardzo trudne. Niebo przecina seria błyskawic, zaczyna lać deszcz, wiatr szarpie gałęziami. Gdzieś koronami drzew przemieszcza się niepokojąca łuna, ale nikt nie ma teraz czasu zastanawiać się nad tym, co może ona oznaczać. Prawdopodobnie światła z dalekiego miasta odbijają się w chmurach. „Niedobrze - myśli Konecki. - To może dawać bandycie przewagę”. Dowiedział się od ludzi, że ma do czynienia nie tylko z szaleńcem, który był leczony w Obrzycach, ale również kryminalistą. Taki człowiek może spróbować wykorzystać zawieruchę, by wymknąć się z okrażenia. Co innego miasto, gdzie dałoby się zamknąć ulice. Tutaj trudniej stworzyć skuteczny szczelny kordon. Szalony starzec pewnie świetnie zna wszystkie zarośla.

- Mieć oczy i uszy szeroko otwarte! - woła do krótkofalówki.

Dotarł już do miejsca, z którego widać stary dom. Słabo oświetlony, w dolnym oknie pali się lampa. Zasłony zaciągnięte. Niedobrze, nie widać, co się dzieje w środku. Snajper będzie miał utrudnioną robotę. Jeśli facet świadomie pozasłaniał okna, nie jest głupi. Konecki zastanawia się, czy nie spróbować jednak samemu podejść do drzwi, przecież każda minuta może być na wagę życia dziecka. Wie jednak, że pośpiech to zły doradca.

Czekać. Obserwować.

Mijają długie minuty. Dziesięć, dwadzieścia... pomoc nie nadciąga. Przyczyna może tkwić w wichurze. Krótkofalówka trzeszczy, traci łączność. Przekłeta burza! W takich okolicznościach antyterrorysty mogliby lecieć śmigłowcem, ale przy tej pogodzie jest to niemożliwe. Jadą więc zapewne samochodami, a to może zająć znacznie więcej czasu. O wiele więcej, jeśli wichura zatarasowała drogi połamanymi konarami. W tym czasie szaleniec może zabić dziecko.

Musi jednak upłynąć jeszcze dziesięć minut, aby zmienił swoje postanowienie i spróbował działać na własną rękę. Jeśli wsparcie się pojawi, to świetnie. Jeśli nie, trudno.

*

Major doskonale zdawał sobie sprawę, że policja okrążyła dom, aby uniemożliwić mu ucieczkę. On jednak wcale nie miał zamiaru uciekać. Stał przy oknie, na piętrze, skryty w ciemności tak, aby trudno było go dostrzec. Między pniami drzew tu i ówdzie błyskały latarki, co wydało mu się wyjątkowo nieprofesjonalne. Skradający się żołnierz nigdy nie powinien zdradzać swojego położenia, zwłaszcza jeśli jego przeciwnikiem był wyszkolony strzelec. Mimo ciemności dałby radę powystrzelać jak kaczkę wielu z tych funkcjonariuszy. Pomyślał o Czarnym i mimo powagi sytuacji uśmiechnął się pod nosem. Poradziłby sobie z nimi z łatwością i wymknąłby się z okrążenia jak wąż.

Rozumiał jednak plan policjantów. Nie przypuszczali szturm, ponieważ czekali na lepiej wyszkoloną, elitarną jednostkę. Z tamtymi nie poszłoby mu aż tak łatwo. Teraz jednak nie było zbyt wiele czasu na strategiczne rozważania. Alicja siedziała w sypialni na dole, a czas grał na niekorzyść. Jeśli bogini Kali się nie zjawi - albo się podda, albo policja weźmie dom szturmem. Znowu trafi do więzienia, na długie lata. A jeśli rzeczywiście zwariował i bogini nigdy się nie pojawi? Zespół urojeniowo-omamowy? Czy to możliwe, by jego pamięć wypełniała fikcyjna fabuła? Starał się przypomnieć sobie jak najwięcej z tamtych dni. Oczyma wyobraźni widział bunkier, twarz Ulianowa, ciała zamordowanych agentów KGB. Długie rozmowy z Władkiem, te dotyczące ważnych spraw, jak i zupełnie błałych. Niemal czuł zapach lasu, deszczu, mokrej ziemi i burzy, jaki wtedy towarzyszył im prawie nieprzerwanie. Pamiętał wyraz twarzy Władka, gdy ten martwy osunął się na ziemię, tuż obok niego. Czy można zatrzeć taką pamięć? Całymi latami wmawiano mu, że jest drwalem, a major to jedynie wytwór jego wyobraźni. Przed umieszczeniem w celi śmierci kazano mu nawet podpisać specjalne oświadczenie, w którym stwierdzał, że nigdy nie służył w wojsku, a wszystkie jego opowieści są kłamstwami. Stworzono mu nową biografię, w której z trudem ukończył szkołę zasadniczą i został przekupiony przez agentów imperialistycznego mocarstwa. W Obrzycach polewano go strumieniami lodowatej wody, tygodniami trzymano w izolatce i stosowano elektrowstrząsy. Oficjalnie - dla jego dobra, by pozbawić go urojeń... A może... by pozbawić go pamięci?

Jednak skoro na pewnym etapie swojego życia znalazł się w celi śmierci, czekając na wykonanie wyroku, musiał istnieć ku temu jakiś powód. Jak przez mgłę przypominał sobie sfingowane, całkowicie nieprawdziwe zarzuty, jakoby dokonywał zbrojnych dywersji, wykolejeń pociągów z użyciem materiałów wybuchowych, w których śmierć ponieśli żołnierze Ludowego Wojska Polskiego.

Poczuł, jak zimny pot zrasza mu czoło. Nigdy jeszcze nie był wystawiony na tak wielką wewnętrzną próbę. Może powinien natychmiast się poddać, wyjść z podniesionymi rękami, uwolnić to dziecko?

Potężny płomień nad lasem przeciął jego domysły. W jednej sekundzie wątpliwości znikły, jakby nigdy ich nie było. Ona nadchodziła. Z opóźnieniem, ale zbliżała się. Tak jak wtedy, przed laty. Kali. Bogini zniszczenia. Odczuł jednocześnie strach, radość i smutek. Było za późno, żeby się wycofać.

Policjanci nie dostrzegali jeszcze nadciągającej grozy, ale posłyszeli dobiegające od strony wsi potężne krzyki.

- Pali się!

- Ogień!

- Ratunku!

W jednej chwili majora opanował nagły, bezmierny i uroczysty spokój. Jest to uczucie jedyne w swoim rodzaju. Człowiek doświadcza go, gdy wie, że nie istnieje już żadna nadzieja ocalenia. To już był koniec. Wiedział, że Kali nie zadowolili się wsią. Ze swojego punktu obserwacyjnego nie mógł zobaczyć, co tam się działo. Nie potrzebował jednak widzieć, by wiedzieć. Zstępujące z nieba płomienie zmieniały ludzi w biegające i krzyczące żywe pochodnie. Z niewiarygodną szybkością stalowe sierpy ścinały głowy, a spragnione krwi usta bogini łapczywie łapały tryskające strugi krwi. Dziesiątki rąk dokonywały dzieła zniszczenia, rozrywając gardła i wnętrza, które zaścielały drogę niczym upiorne girlandy. Szyby w oknach pękały z hukiem od gorąca, płomienie opanowywały dachy, wdzierały się kominami i szybami wentylacyjnymi wszędzie, gdzie dotarły, siejąc śmierć i zniszczenie.

Krwawa pożoga zbliżała się w zastraszającym tempie. Major przyglądał się jej niczym stary kapitan, który po raz ostatni mierzy się ze swoim

wrogiem - wzburzonym oceanem. Zdawało się, że nic już nie powstrzyma tej strasznej furii, że przejdzie ona przez las, zapali drzewa, zmiecie z powierzchni ziemi dom majora i podąży dalej, by zabijać bez opamiętania.

Las przed domem napełnił się okrzykami i major zrozumiał, że policjanci dostrzegli niezrozumiałe dla nich niebezpieczeństwo. Ich ciała jedno po drugim stawały w ogniu, jakby były oblane benzyną. Tak, Himmler miał rację. To była siła zdolna zatrzymywać dywizje pancerne, strącać samoloty i niszczyć okręty na morzu. Garstka ludzi nie mogła jej się przeciwstawić.

Przypomniawszy sobie, jak wtedy, w podziemnym mieście, rozbili reaktor. Nigdy nie otrzymał za to żadnej nagrody. Chyba że nagrodą była śmierć przyjaciół, pobyt w celi i długie lata spędzone przymusowo w szpitalu dla obłąkanych. Teraz też nie otrzyma nagrody. Ponieważ nie będzie już żadnego „potem”.

Kiedy bogini Kali dotarła przed dom majora, ten wyszedł na zewnątrz spokojnym krokiem. Tryskające w niebo płomienie zdawały się nie robić na nim żadnego wrażenia, odbijały się tylko na jego twarzy, w jego oczach, niczym w zwierciadle. Nie przeraziły go również głośne jęki konających w zaroślach funkcjonariuszy. Gdyby ktokolwiek spojrział teraz w jego oczy, odniósłby wrażenie, że zagościła w nich jakaś prastara mądrość. Nadszedł czas przesilenia, czas ofiary.

„Przynajmniej jedna osoba zostanie ocalona - pomyślał. - Przynajmniej jedna, która na to zasługuje”. Rozłożył szeroko ręce, niczym kapłan.

Ujrzał teraz boginię Kali z całą wyrazistością, oko w oko. Znajdowała się może kilka metrów od niego. Czuł bijący od niej straszliwy żar, smród krematoriów, stosów ofiarnych, spalonych trupów dzieci, mężczyzn i kobiet. Z niespotykaną dokładnością ujrzał te siejące śmierć ostrza sierpów, o jakich opowiadały dawne pieśni, nucone pokątnie przez szalonych wędrownych kapłanów, zawsze za dnia, nigdy nocą, przy akompaniamencie fletów wykonanych z ludzkich piszczeli. Przekonał się, że naszyjnik z trupich czaszek nie jest tylko legendą. Straszne ociekające krwią usta bogini zdawały się rozszerzać z drwiną na widok tego nędznego śmiertelnego człowieczka, który zastąpił jej drogę. Zgodnie ze starymi podaniami, jakie po dziś dzień szepcze się w Indiach, Kali jest istotą inteligentną, choć uosabia niszczycielski, bezosobowy pierwiastek natury. Być może przez tę krótką chwilę zawahała się, zatrzymała, widząc przed sobą majora Staszewskiego,

który nie uciekał, lecz postąpił w jej stronę. Możliwe, że coś wyczuła. Niebezpieczeństwo. Nagle starzec przemówił.

- Ja, major Staszewski, oficer Wojska Polskiego, dobrowolnie składam ci, bogini, ofiarę z mojego serca i głowy! - zawołał donośnie. - Tak jak mówią stare pisma. Tak jak każe tradycja. Nie możesz odmówić, musisz przyjąć moją daninę!

Płomienie wystrzeliły gniewnie na wszystkie strony, rozległ się przeraźliwy syk wściekłości. Kali nie chciała nigdzie wracać, nie chciała odchodzić do czeluści, skąd ją przyzwano. Stare rytuały nadal jednak posiadały nad nią władzę. Dobrowolna ofiara, polegająca na poświęceniu swojego serca i głowy, nie mogła zostać przez nią odrzucona.

- Postępuję tak z własnej woli - upomniał ją Staszewski. - Oddaję swoje własne życie. To najwyższa forma całopalenia! Musisz przyjąć ofiarę, nasycić się nią, a potem odejść do królestwa śmierci!

Wściekłe wycie przeszło powietrze. Ręce bogini wysunęły się w stronę majora, by wydrzeć jego serce i obciąć mu głowę. Wypić jego krew. Taka była cena ofiary, jakiej oczekiwała Kali.

Staszewski nie czuł bólu. Czasem mówi się, że w chwili śmierci pojawiają się nasi przyjaciele, którzy odeszli dawno przed nami, by pomóc nam przejść przez granicę życia i śmierci. Dzieje się tak jedynie w przypadku osób, które dokonały jakiegoś wielkiego dobra. Major odniósł wrażenie, że jest przy nim Władek, że słyszy dobiegający gdzieś z oddali głos Wandy i nawoływanie Czarnego. Przyszli po niego, aby wesprzeć go w godzinie próby. Do tej pory zjawiali się jedynie w snach i w kolejnych odsłonach opowiadali swoją zamrożoną w czasie historię. Teraz stali się realni, rzeczywiści, niemal dostrzegalni. Major sam stał się częścią ich świata, ich opowieści.

Chwilę później było już po wszystkim.

Bogini Kali zniknęła, powróciła do krainy śmierci, tej samej, o której mówi się w niezliczonych starożytnych mitologiach. Ofiara majora zamknęła ponury rozdział zapoczątkowany przez thugów, realizujących zbrodniczy i szalony plan opętanej wiarą w potęgę nadprzyrodzonych mocy Himmlera.

*

Podczas ataku zginęło wielu ludzi. Ofiarami stali się nie tylko zwykli mieszkańcy wioski, ale również wielu spośród interweniujących policjantów. Wydarzenia, które miały miejsce w Kęszycy Leśnej, odbiły się jednak znacznie mniejszym echem w mediach, niż można się było tego spodziewać. Zeznania świadków utajniono, zasłaniając się dobrem prowadzonego śledztwa, które następnie dość szybko umorzono. Nieliczne wzmianki, jakie pojawiły się w sieci, szybko znikły z wyników Google i znalazły się na peryferiach Internetu. Najczęściej sprawę starano się przedstawić jako gwałtownie rozprzestrzeniający się pożar lasu, wywołany uderzeniem pioruna i eksplozją nielegalnego zbiornika z kradzionym paliwem, który jakoby miał znajdować się na jednej z posesji. Do tragedii miało dojść w trakcie policyjnej akcji.

Pojawiały się też dezinformujące wzmianki o rzekomo grasującym w tych rejonach piromanie-podpalaczu. Jeszcze inna wersja głosiła, że tragedię spowodowała katastrofa prywatnej awionetki, lecz i temu szybko ukręcono głowę. Przez pewien czas okolicę Kęszycy przeczesywali niezależni badacze, wyposażeni w saperki i wykrywacze metalu, jednak prócz widocznych śladów ognia nie znaleźli niczego interesującego. Okoliczni mieszkańcy zadziwiająco chętnie przystali na katastroficzną interpretację wydarzeń. Natomiast amatorski film, nagrany przez jednego z nich za pomocą telefonu komórkowego, uznano za bezwartościowy. Nie zainteresowała się nim żadna stacja telewizyjna i jakimś sposobem szybko zniknął on z serwisu YouTube. Zresztą podobno widać było na nim jedynie buzujący nad lasem ogień i dawało się posłyszeć krzyki umierających ludzi. Autor filmu nie odważył się podejść bliżej, by utrwalić jakiegokolwiek szczegóły.

Jedynym świadkiem, który zdawał się w tej sprawie mieć coś do powiedzenia, była dziesięcioletnia Alicja. Twierdziła ona, że stary major, zamieszkujący położony w pobliżu dom, ocalił jej życie przed straszną, złą siłą, którą można było określić jako „wędrujący ogień” lub „ognistą panią”, i poniósł przy tym śmierć. Dziewczynka jakoby miała uwolnić się z sypialni, w której była przetrzymywana, i przez okno obserwować całe zdarzenie z wnętrza budynku. Trudno jednak było traktować poważnie słowa dziecka, które w katastrofie utraciło oboje rodziców, więc skończyło się na konsultacjach z psychologiem i kilku dziecięcych rysunkach „ognistej pani”. Niewykluczone jednak, że obrazki te nie zostały wyrzucone, lecz znajdują się

nadal w jakimś archiwum. Świadczyły one, zdaniem specjalisty, o wystąpieniu u dziecka zespołu pourazowego, z którym młoda psychika radzi sobie często właśnie poprzez konfabulację. Dziecku bowiem trudno jest zaakceptować okrucieństwo samej natury, woli więc przypisywać je działaniu konkretnej, w tym przypadku nadnaturalnej istoty. Skłonność ta ponoć tkwi w każdym z nas.

Epilog

Za oknami zalegała już ciemność głuchej nocy. Światła przejeżdżających po ulicy samochodów przestały rzucać pełzające smugi na ściany mieszkania. Na biurku paliła się niewielka lampka, oświetlając stos kartek wypełnionych pośpiesznym pismem majora. Papier był lekko pożółkły, jakby pozyskany z jakichś starych zeszytów, co zdawało się przydawać zapiskom niejkiej autentyczności. Prócz notatek w kopercie znajdowało się kilka szkiców sporządzonych fachową ręką, a przedstawiających przybliżoną lokalizację wejść do podziemnego miasta.

Pisarz skończył już swoją pracę, dobiegł do mety, która jednocześnie zdawała się punktem startowym. Przed nim stał włączony laptop. Niczego nie zmieniał, nie ubarwiał, postarał się tylko opisać i uplastycznic niektóre sceny tak, by czytelnik łatwiej mógł sobie je wyobrazić. Nieraz nachodziła go ochota, by dodać jakieś zdarzenie lub ubarwić akcję, ale zrezygnował z tego zamiaru, dochodząc do wniosku, że byłoby to nieuczciwe. Książka nie będzie więc długa. Lepiej pozostawić postaci takim, jakimi były w notatkach majora, z lekka niedopowiedziane, niż wypełniać luki siłą swojej wyobraźni. Może lepiej będzie, jeśli zrobi to czytelnik, jeśli uzna za stosowne.

Kto jednak jest w rzeczywistości autorem tej niepokojącej opowieści? Major czy on sam? Po zastanowieniu musiał przyznać, że ten pierwszy. On był jedynie kimś w rodzaju redaktora lub literackiego rekonstruktora. Przyszło mu nawet do głowy, że twórcą figurującym na okładce powinien być właśnie Staszewski, by nie doszło do pogwałcenia prawa autorskiego. Z drugiej jednak strony lojalnie poinformował przecież czytelnika, od kogo pochodzi ta historia.

Zupełnie inną kwestię stanowiła autentyczność zdarzeń, której stopień trudno było określić. Czy stary major rzeczywiście był szalony? Może wszystko sobie wymyślił? Może nie był nikim więcej niż zwykłym drwalem, pracownikiem leśnym, który wiele lat spędził najpierw w kryminale, a potem

jako pacjent psychiatryka w Obrzycach? Fałszywa biografia to coś, co mogło powstać w umyśle złamanego życiem i odrzuconego przez otoczenie człowieka.

Pisarz widział go tylko jeden raz, rozmawiał z nim osobiście zaledwie chwilę, wtedy, gdy na leśnej ścieżce ten dał mu swoją wizytówkę. To z pewnością za mało, by poznać i ocenić człowieka. Cieszył się jednak, że wykonał ten drobny gest. Zapewne niewielu było ludzi gotowych porozmawiać ze zwariowanym starcem. A jeszcze mniej było takich, z którymi starzec chciałby podzielić się swoimi sekretami.

Przypomniawszy sobie jego nieco szorstki, mocny głos. Słyszał go w swojej wyobraźni podczas pisania, szczególnie w najbardziej dramatycznych momentach. Zupełnie jakby był tuż obok niego. Przed oczami stanęła mu sylwetka tego człowieka, smukła, dziarska i wyprostowana, oraz twarz o przenikliwych, skupionych szarostalowych oczach. Niemal poczuł mocny uścisk dłoni, którym został pożegnany.

Nagle przyszło mu do głowy, że odpowiedź na pytanie o prawdziwość notatek jest w pewien sposób względna i zależy od tego, kim sami jesteśmy. W zależności od tego, co porywa nasze serca, będziemy chcieli widzieć w Staszewskim szaleńca lub bohatera. Będziemy chcieli uwierzyć w jego opowieść lub uśmiechnąć się z niedowierzaniem i politowaniem. Zobaczymy go takim, jakim chcemy go widzieć.

Wstał od biurka i z wolna podszedł do okna. Odsunął zasłonę i wyjrzał na zewnątrz. Księżyc świecił jasno na bezchmurnym nocnym niebie. W zaparkowanym nieopodal samochodzie ktoś siedział. Dostrzegł wyraźnie nikły blask zapalającego się i gasnącego telefonu komórkowego. Jedna z pobliskich latarni zamrugła i raptownie zgasła. Potem poszedł do kuchni, by wstawić wodę na herbatę. Odkręcił gaz, potarł zapałkę, lecz zanim przytknął ją do palnika, przez dłuższą chwilę obserwował ogień, przesuwając w zamyśleniu płomyk przed swoimi oczami. W końcu odpalił palnik, kiedy poczuł, że zapałka parzy go w palce.

„Czy to możliwe, aby w tym miejscu należało zakończyć opowieść, postawić kropkę i zamknąć raz na zawsze sprawę majora Staszewskiego?” - zastanawiał się.

Nie. Z pewnością nie. Nawet w zapiskach szaleńca może tkwić jakaś

prawda. Należało to zbadać. Poznać lepiej historię Kęszycy Leśnej, Gródka, Regenwurmlager, Bazy Dżdżownic, niezwykłego przyjazdu Hindusów, a także Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego. Dowiedzieć się więcej na temat bogini Kali, morderczych thugów, symbolu swastyki. Ustalić, czy Himmler byłby zdolny do wydania rozkazu budowy podziemnego miasta i mauzoleum. Odnaleźć grób majora na cmentarzu. Chociaż w ten pośredni i wstępny sposób zweryfikować wiarygodność opowieści. Pobieżne, wyszukane w Internecie śladowe informacje to stanowczo za mało, by wyrobić sobie w tej kwestii zdanie.

Nagle wpadł na jeszcze jedno rozwiązanie. Staszewski rzeczywiście mógł nie być żadnym majorem, lecz drwalem, więźniem zakładu karnego, a potem pacjentem szpitala psychiatrycznego. Mimo to opowiadana przez niego historia rzeczywiście miała miejsce. Władek, Wanda i Czarny istnieli naprawdę. Przekartkował pośpiesznie zapiski. Odnalazł moment, gdy major wspominał o tajemniczych szeptach i wrażeniu obecności zmarłych przyjaciół. Może ten balansujący na granicy wyobraźni i rzeczywistości człowiek, odtrącony przez ludzi i pogrążający się w samotności - nawiązał coś w rodzaju kontaktu z tymi, którzy odeszli. Może oni cały czas tam na niego czekali. Obserwowali go, gdy samotnie przemierzał las. Z czasem stali się częścią jego własnego umysłu, opowiadając mu swoją historię i czyniąc z niego bohatera swojej opowieści.

Postanowił, że pierwszym porannym autobusem uda się do Międzyrzecza, a potem do Kęszycy Leśnej. Spróbuje rozpytać ludzi, porobić zdjęcia, przyjrzeć się tej sprawie z bliska, zbadać okolicę. Coś mówiło mu, że będzie musiał na siebie uważać.

*

Spis treści

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.
- 9.
- 10.
- 11.
- 12.
- 13.
- 14.
- 15.
- 16.
- 17.
- 18.